

---

**Jane Toombs**

---

---

**SZKARŁATNY KAMIEŃ**

---

---

## *ROZDZIAŁ PIERWSZY*

---

Do południa dzień zrobił się ciepły. Niemal zdążyłam już zapomnieć, że w czerwcu w dolinie San Joaquin zawsze panują upały. Przejechałam obok pomp pracujących na polach naftowych, potem minęłam dorodne sady pomarańczowe, posadzone przed zaledwie dziesięcioma laty. Drzewa kwitły i ich słodki aromat wdarł się do samochodu, wypierając ostry, chemiczny zapach ropy naftowej.

Zbliżałam się do pasma niskich wzgórz, które wznosiły przede mną swe kopuły, częściowo zasłaniając widok znacznie wyższych gór Sierra Nevada, których poszarpane szczyty pokrywały śnieżne czapy.

Kiedy skręciłam z autostrady w lokalną, dwupasmową szosę prowadzącą do miasteczka Naranada, spojrzałam przez ramię na dziewięcioletnią Tibbie, uśpioną na tylnym siedzeniu. Czy podjęłam słuszną decyzję?

Gdyby nowi właściciele bliźniaka w Santa Cruz nie postanowili zająć na własne potrzeby także połowy wynajmowanej przeze mnie, nie znalazłabym się na tej drodze, nie wracałabym do Szkarłatnego Kamienia. Dziesięć lat temu ślubowałam, że moja noga więcej tu nie postanie.

Pokręciłam głową. Nie byłam już tą naiwną i łatwowierną osiemnastolatką, jak wtedy. Poza rym prędzej czy później i tak musiałabym wrócić do Naranady i Szkarłatnego Kamienia, ponieważ chcąc nie chcąc trzy miesiące temu weszłam w posiadanie tej nieruchomości.

Po plecach przebiegł mi dreszczyk lęku, pomyślałam bowiem, że jestem ostatnia z Rollandów. Ostatnia z rodu. Moja cioteczna babka Faith zmarła, podobnie jak wcześniej ojciec, i teraz zostałam tylko ja,

Valora Rolland. No i oczywiście Tibbie, nosząca to nazwisko przez adopcję, a nie z urodzenia.

Pomieszkam tu tylko przez lato, powiedziałam sobie stanowczo. Potem sprzedam posiadłość. Mój dom jest w Santa Cruz, nie w Naranadzie.

Wyłącznie dla dobra Tibbie poprosiłam zarząd miasta o trzymiesięczny urlop i opuściłam stanowisko analizatora danych w dziale zatrudnienia. Próbowałam dotąd wszystkiego, co możliwe, żeby polepszyć stan zdrowia Tibbie, wszystkiego z wyjątkiem poświęcenia małej więcej czasu, dlatego to lato postanowiłam spędzić razem z nią, obojętne gdzie.

W Naranadzie nigdy nie mieszkałam na stałe, jedynie w letnich miesiącach odwiedzałam babkę Faith w Szkarłatnym Kamieniu. Pierwszy raz pojechałam tam mając siedem lat i wracałam potem rok w rok, aż do osiemnastych urodzin. Nie miałam nic przeciwko temu. Stojący w odosobnieniu stary dom fascynował mnie, a w miasteczku nawiązałam przyjaźnię. Cieszyły mnie te wakacje. Aż do osiemnastych urodzin.

Przestań rozpamiętywać przeszłość, zbeształam siebie w duchu. Co było, minęło. Skup się na Tibbie. Pomyśl, ile radości będzie miała z myszkowania po tym domu.

Ciekawe, czy babka Faith polubiłaby Tibbie. Teraz rozumiałam, że była znacznie bardziej przywiązana do mnie, niż to okazywała podczas moich wizyt. Mnie co prawda nie udało się jej pokochać, lecz czułam do niej sympatię, mimo że była choleryczką i despotką, a czasem zachowywała się wręcz dziwacznie. Miałam więc poczucie winy, że nie wzięłam udziału w jej pogrzebie. Akurat wtedy byłam jednak w Waszyngtonie na konferencji poświęconej zatrudnieniu i zbyt późno dostałam wiadomość.

- Czy już jesteśmy na miejscu? - dobiegł mnie senny głos Tibbie. Przelotnie uśmiechnęłam się do niej.

- Prawie. Popatrz, tam jest ranczo, o którym ci opowiadałam. To, gdzie hoduje się konie. Z bramą ozdobioną stalowym ogierem, który staje dęba.

Tibbie uniosła się i spojrzała na bramę.

- Rzeczywiście ogier. Bo czasami figury zwierząt są bez tego, no wiesz, męskiego czegoś.

- Jesteśmy w kraju ranczerów - wyjaśniłam. - Ranczerzy mają bardzo praktyczne podejście do zwierząt.

- Mój prapradziadek Rolland też był ranczerem, prawda?

- Był pierwszym hodowcą bydła z prawdziwego zdarzenia w Dolinie Tule. Sadził również pierwsze drzewka pomarańczowe. Niektóre jeszcze owocują.

- I zbudował Szkarłatny Kamień. Co za fantastyczna nazwa! Dlaczego dopiero w zeszłym miesiącu mi o nim opowiedziałś?

Nie miałam gotowej odpowiedzi.

Chyba po prostu niewiele o nim myślałam. - Częściowo była to prawda. Przez dziesięć lat robiłam, co mogłam, żeby wymazać to miejsce z pamięci.

- A teraz Szkarłatny Kamień jest nasz. - Tibbie upajała się brzmieniem nazwy. - To wspaniale mieć własny dom, nie sądzisz? Dotąd nigdy nie miałyśmy. Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę.

Nieczęsto kłamałam przed Tibbie, ale kiedy spytała mnie o pochodzenie tej nazwy, pospiesznie wymyśliłam historyjkę o pierścionku z pięknym szkarłatnym kamieniem, krwawnikiem, który należał kiedyś do jej praprababki Rolland. Nie mogłam się zdobyć na opowiadanie o kopulastym wzgórzu za domem, zwanym Mount Sangre, ani tym bardziej o tej okropnej płycie skalnej na jego szczycie.

- Czy w Naranadzie jeszcze mieszka ktoś, z kim bawiłaś się, jak byłaś mała?

- Nie wiem. Sądzę, że tymczasem większość się wyprowadziła.

Travis York może tam jeszcze siedzieć. Przecież rodzina Yorków miała ranczo po drugiej stronie Mount Sangre i żyła w tym miejscu równie długo jak Rollandowie. Co do Luisa Redhawka... Nie, nie chciałam o nim myśleć. Może zresztą gdybym powiedziała, że brak mi na to odwagi, byłabym bliższa prawdy.

- Mogłabym zaprzyjaźnić się z ich dziećmi. Miałam taką nadzieję - powiedziała Tibbie.

Uświadomiłam sobie, że musi denerwować się przed przyjazdem do nowego miejsca, gdzie nikogo nie zna. Tak samo było ze mną, kiedy

przyjechałam tu pierwszy raz, mając siedem lat.

- Znajdziemy sposób, żebyś nie czuła się osamotniona - zapewniłam Tibbie.

Kiedy wjeżdżałyśmy do Naranady, znów obróciłam się do tyłu i stwierdziłam, że Tibbie wpatruje się bez zachwytu w dość zdewastowane domy. Prawdopodobnie zastanawiała się, czy Szkarłatny Kamień wygląda tak samo. Łatwo wczułam się w jej położenie, bo przypomniało mi się, jak byłam niepewna i wystraszona, gdy matka z ojczymem zostawili mnie pierwszy raz u babki Faith, zanim odlecieli do Europy.

- Chcesz się przesiąść do przodu? Mogę na chwilę stanąć - zaproponowałam Tibbie.

- Doobra. - Niedbale przedłużyła samogłoskę, jakby sprawa nie miała dla niej wielkiego znaczenia, ale szybkość, z jaką zmieniła miejsce, zdradziła mi, że bardzo potrzebowała w tej chwili mojej fizycznej bliskości.

Przejechałam przez miasteczko pokazując jej miejsca, które zachowałam w pamięci. Trochę się zmieniło, ale w zasadzie była to ta sama Naranada, co kiedyś... Wszystkie sprawy można załatwić przy głównej ulicy na długości czterech przecznic, przy których zbudowano przede wszystkim domy mieszkalne. Oprócz biblioteki i siedziby rady miasta większość budynków była drewniana.

- Co to za wzgórze? - Tibbie wskazała w lewo, gdzie na tle południowego nieba rysował się zaokrąglony wierzchołek Mount Sangre.

Poczułam pot na dłoniach. Nazwa nie chciała mi przejść przez gardło.

- Mount Sangre. - No, stało się, wydusiłam to z siebie.

- Sangre. - Zamyśliła się. - To po hiszpańsku znaczy „krew”, prawda? - I nie czekając na odpowiedź, dodała triumfująco: - Założę się, że dom ma nazwę od tego wzgórza. Może także od pierścionka praprababci, ale od wzgórza przede wszystkim. - Spojrzała na mnie. - Czemu ono nazywa się Mount Sangre?

- Nikt tak naprawdę nie wie, co mieli na myśli pierwsi hiszpańscy osadnicy. - Próbowałam mówić obojętnym tonem, bo nie zamierzałam przytaczać żadnej z barwnych legend, oferujących wyjaśnienie. Dobrze wiedziałam, że w końcu ktoś z Naranady i tak je dziewczynce opowie.

Może powrót tutaj wcale nie był takim dobrym pomysłem.

Pokonałam znajomy zakręt i wjechałam w wąską aleję, wysadzaną masywnymi dębami, do których przyczepione były wyblakłe tabliczki z napisami „Wstęp wzbroniony” - po angielsku i hiszpańsku. Potem zamajaczyły przed maską samochodu dwie olbrzymie kamienne kolumny podtrzymujące bramę z kutego żelaza.

- Popatrz, tam jest napisane „Szkarłatny Kamień!” - zawołała Tibbie.

W roztargnieniu skinęłam głową, zajęta wspomnieniem dnia, w którym sama pierwszy raz zobaczyłam te metalowe litery. Brama była jak zawsze otwarta, przejechałam więc pod łukiem wspartym na kamiennych kolumnach i ruszyłam dalej krętym podjazdem obsadzonym palmami daktylowymi i drzewami oliwkowymi. Miłe powiewy ciepłego wiatru wypełniały wnętrze samochodu aromatem kapryfolium, Oczami wyobraźni ujrzałam splątane winoroślą pnące się po kratkach cienistej, wonnej altany przy stodole.

- O, ładnie tu pachnie - powiedziała Tibbie i wyciągnęła szyję, chcąc dostrzec budynek między drzewami. Za ostatnim zakrętem objawił się w całej okazałości.

- Ojej! - szepnęła Tibbie, najwyraźniej z podziwem i zachwytem.

Szara granitowa bryła Szkarłatnego Kamienia, zdobiona kutym żelazem, wznosiła się na dwa piętra. Wieńczył ją miedziany mansardowy dach z licznymi kominami. Jednolity wygląd frontu urozmaicały tylko głęboko osadzone okna podzielone na wiele małych szybek oraz zaokrąglony ganek przy drzwiach wejściowych, na który prowadziły trzy stopnie wykute w kamieniu.

Kiedy zatrzymałam samochód na półkolistym odcinku podjazdu, Tibbie odpięła pas bezpieczeństwa i odchyliła się do tyłu w poszukiwaniu aparatu fotograficznego.

- Chcę zrobić kilka zdjęć, zanim wejdziemy do środka - oznajmiła. - Dlaczego ty nigdy nie sfotografowałaś tego domu?

Wzruszyłam ramionami. Nie miałam ochoty mówić jej, że dziesięć lat temu schowałam do pudła wszystkie pamiątki z Naranady, także zdjęcia, i nigdy potem do niego nie zaglądałam.

Nim zdążyłam otworzyć bagażnik, przykuśtykał do nas Jed O'Neill.

- Mała Valora - powiedział z szerokim uśmiechem. - Niech pękne,

ale panienka wyrosła. Proszę pozwolić, wezmę bagaże.

Dołączyła do nas Tibbie, więc przedstawiłam ją Jedowi, który rzucił „cześć” na powitanie, po czym dokładnie jej się przyjrzał, przekrzywiając głowę.

- Hm, nie wydajesz mi się podobna do kogokolwiek oprócz siebie.

Po adopcji powiedziałam babce, czym dzieckiem jest Tibbie, sądziłam więc, że także Jed i Delia muszą o tym wiedzieć. Zatem również dla większości Naranady nie stanowiło to sekretu, co zresztą nie robiło mi różnicy.

Ale - Jed miał rację: Tibbie w niczym nie przypominała swojej matki.

Kiedy odszedł z bagażami w stronę domu, zauważyłam, że kuleje dokładnie tak samo jak przed laty, ani bardziej, ani mniej. Za to postarzał się; linie, widoczne kiedyś na opalonej twarzy, pogłębiły się w wyraźne zmarszczki, a kasztanowe włosy pokryły się tu i ówdzie siwizną.

- Nie lubię, kiedy ludzie mówią o mnie, ale nie do mnie - szepnęła mi Tibbie.

- Jed nie miał nic złego na myśli. Zawsze lubił dzielić się swoimi wrażeniami. A że od dziecka pracował dla babki Faith, więc jest tu już bardzo, bardzo długo i czuje się upoważniony do robienia wszelkich uwag na temat nas, Rollandów.

- Ala babka już nie żyje, czyli on pracuje dla ciebie, prawda?

Zamrugałam oczami, całkowicie zaskoczona. Oczywiście przyjąłam do wiadomości śmierć babki, ale mimo to wciąż zdawało mi się, że zaraz ją spotkam w saloniku, między jadalnią i kuchnią, jak udziela rad i wydaje polecenia, nieustannie przebierając palcami, pod którymi powstawały misterne koronki.

W samochodzie zostały tylko plecak Tibbie i moja wielka torba. Podałam małej jedno, sama dźwignęłam drugie i zatrzasnęłam drzwiczki.

- Zostawiłaś kluczyki w stacyjce - zwróciła mi uwagę Tibbie. - I nie zamknęłaś drzwi na klucz.

- Jed będzie mógł wprowadzić samochód do garażu. Nie martw się, nikt go nie ukradnie. Me tutaj.

- Przez dziesięć lat Naranada z pewnością nie zmieniła się na tyle, żeby w biały dzień nie można było zostawić na chwilę kluczyków w samochodzie zaparkowanym na prywatnym podjeździe.

Otworzyły się frontowe drzwi i w progu ukazała się Delia. Stała z założonymi rękami, podpierając nimi obfite piersi. W takiej samej pozycji widziałam ją przed laty, kiedy po raz pierwszy wchodziłam do tego domu.

- Najwyższy czas, żebyś wreszcie tu wróciła - powiedziała na powitanie.

Czas odmienił ją bardzo nieznacznie. Włosy nadal miała stalowosiwe, a jej niebieskie oczy rzucały bystre spojrzenia.

- Miło cię widzieć, Delio - odpowiedziałam, bynajmniej nie starając się nawiązać do jej słów.

- To jest moja córka, Tabitha. Tibbie, to jest pani Koski.

- Dla wszystkich jestem Delia - wyjaśniła, zwracając się do małej - więc i ty możesz do mnie tak mówić.

Tibbie uśmiechnęła się do niej niepewnie, a potem wróciła do podziwiania szklanego kandelabru z mnóstwem kryształowych paciorków i sopli.

- Przygotowałam dla was dwa sąsiednie pokoje, te, które zajmowałaś dawniej - powiedziała Delia. - Pamiętasz chyba... Ze schodów na lewo i korytarzem w głąb. Nie odprowadzę was. Już nie te lata. Nie mam serca do schodów.

- Dziękuję - powiedziałam i ruszyłam z Tibbie na piętro.

Jed zostawił bagaże w większej sypialni, którą zawsze nazywałam różowym pokojem, od kolona tapet. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że tapety wciąż tam są i nawet papier niezbyt wyblakł. Czerwone i różowe róże nadal pięły się po ścianie.

Przez łączące drzwi Tibbie przeniosła swoje rzeczy do mniejszego pokoju.

- Ty masz róże, ja mam motyle - zawołała do mnie. - I dach nad łóżkiem.

- Baldachim - poprawiłam.

- Wszystko jedno. I jest biurko z małą szafką na książki. Mamo, tu są prawdziwe stare książki o Nancy Drew, nie żadne kieszonkowe wydania.

- To moje - wyjaśniłam. - Rzeczywiście stare. Kiedy babka Faith mi je dawała, mówiła, że należały do jej młodszej siostry.



Charity straciła życie w wyniku tragicznego zbiegu okoliczności jeszcze przed dwudziestymi urodzinami. Także średnia siostra, a moja babka, Hope, umarła młodo, do tego zaś mój ojciec zginął w wypadku nie mając trzydziestu lat. Rollandom nigdy nie dopisywało szczęście.

Tylko mnie dopisało, pomyślałam z dumą. Mam wspaniałą córkę i dobrą pracę. I do tego... ta myśl przyszła nieproszona.., mam też Szkarłatny Kamień.

Na progu pojawiła się Tibbie z kolejnym tomikiem.

- Znalazłam jeszcze jedną twoją książkę, mam. Kiedy zobaczyłam ciemnoczerwoną okładkę, serce podskoczyło mi do gardła.

- Tu coś jest napisane: „Z życzeniami szczęścia w dniu osiemnastych urodzin dla Valory od Luisa”. Kto to jest Luis?

Sięgnęłam po książkę.

- Luis jest... był chłopakiem, którego znałam. - Mały tomik wierszy, mimo że lekki, ciążył mi w dłoni, przypominając o sprawach, które wołałam wymazać z pamięci.

- Czy chodziliście ze sobą?

- Nie. - To była prawda. Bez względu na to, co między nami zaszło, nigdy ze sobą nie chodziliśmy. Wtedy prawa do mnie rościł sobie Travis York. Ale Luis i ja... No, z nim było zupełnie inaczej. W owym czasie ta inność mnie przerażała.

Tibbie usiadła na moim łóżku.

- Tu jest zupełnie inaczej - powiedziała, niby echo powtarzając słowa, które właśnie przeleciały mi przez głowę. - Jakbyśmy wyjechały za granicę.

- Naranada ma niewiele wspólnego z Santa Cruz. Może dlatego, że schowana jest wśród wzgórz albo dlatego, że większość jej mieszkańców hoduje bydło lub pielęgnuje sady, albo dlatego, że jest taka mała. A może wszystko to naraz.

- Może i ja będę tutaj inna. - W głosie Tibbie zabrzmiała nadzieja.

Siłą woli stłumiłam gwałtowne uczucia. Zamiast wziąć córkę w ramiona i mocno przytulić w beznadziejnym geście ochrony przed tym, co złe, tylko uściśnęłam ją serdecznie, zmierzwiłam jej krótkie, kasztanowe włosy i powiedziałam:

- Może.

Tibbie nie powinna była wiedzieć, jak desperacko pragnę, żeby to lato pomogło jej wyzdrowieć. Przecież dlatego tu przyjechałyśmy... Nic bardziej mnie nie obchodziło od zdrowia małej. Co tam dawne sprawy! Na Tibbie przeszłość nie miała wpływu, a ja broniłam się przed jej ciężarem. Czyż nie zrobiłam wszystkiego, co w mojej mocy, żeby naprawić zło?

Skończywszy rozpakowywać bagaże, zeszliśmy do kuchni po stromych kuchennych schodach. Zwabił nas smakowity zapach świeżego pieczywa. Wiedziałam, że spotkamy tam Delię, i nie pomyliłam się. Wyciągała akurat z pieca blachę złocistobrązowych bułeczek. Młodsza kobieta, mniej więcej czterdziestoletnia, ładowała naczynia do zmywarki. Tymczasem Delia przełożyła bułeczki na ściereczkę, gdzie miały stygnąć, i przedstawiła nas pani Jennings, która poprosiła, żeby nazywać ją Lucy.

- Lucy tutaj nie mieszka, tylko dochodzi do pracy - ciągnęła Delia. - Ale muszę przyznać, że bez niej nie dałabym sobie rady. - Spojrzała na Tibbie.

- Pewnie masz ochotę na gorącą bułeczkę, tak samo jak kiedyś... - urwała, by po chwili dokończyć:

- ...panienka Valora.

Tibbie entuzjastycznie kiwnęła głową, a ja nie dałam po sobie poznać, że wiem o wahaniu Delii, która pospiesznie wypowiedziała moje imię zamiast innego.

Przysiadłszy na wysokich stołkach przy blacie w kuchni, obie z Tibbie zjadłyśmy po bułeczce ociekającej masłem i popiłyśmy mlekiem. Mniejsza o kalorie i cholesterol.

- Pewne rzeczy się nie zmieniają - powiedziała do mnie Delia. - Zawsze lubiłaś moje bułeczki, więc nie dziwię się, że Tibbie też je lubi. Ale w miasteczku jest huk zmian. Nie mieszka tu już prawie nikt z twoich znajomych, oprócz Trvisa Yorcka. Jego matka zapadła na zdrowiu i nie mogła znieść letnich upałów, więc razem z ojcem Trvisa przenieśli się do Oregonu, a jemu zostawili ranczo.

- A co z Luisem? - spytała Tibbie, starannie unikając mojego spojrzenia.

- Z Luisem? - Delia zmarszczyła brwi. - A gdzie ty o nim słyszałaś,

panienko?

- Znalazłam to imię w książce na górze. Delia rzuciła okiem w moją stronę.

- Doktor Redhawk... Tak się dzisiaj mówi o Luisie.

Tibbie skrzywiła się.

- Nie cierpię doktorów.

Trudno mi było wyobrazić sobie milkliwego, lecz fascynującego chłopaka, którego znałam, w roli lekarza medycyny z bezosobową zawodową rutyną i szablonowymi manierami. Czekałam, aż Delia powie coś więcej, ale ponieważ zamilkła, więc w końcu sama się odezwałam.

- Rozumiem, że doktor Redhawk nie odwiedza Naranady.

- A bo nie ma takiej potrzeby.

Ugryzłam się w język, żeby nie spytać o powód, bo Delia właśnie na to czekała. A jakie miało dla mnie znaczenie, co robił czy czego nie robił Luis?

- Mów sobie, co chcesz - wtrąciła Lucy. - Ja tam myślę, że dobry z niego doktor. Chodzę do niego, to wiem.

Serce zabiło mi mocniej. Lucy mieszka w miasteczku. Jeśli Luis jest jej lekarzem, oznacza to, że prowadzi praktykę w Naranadzie. Mieszka w Naranadzie.

- Luis siedzi tu na okrągło. Wyjechał tylko na naukę do college'u, żeby uczyć się na doktora - odezwała się znów Delia. - Kiedy wywiesił swój szyldzik, wielu ludzi się dziwiło, że mu się udało. Ja też. Tytułuje się „lekarzem domowym”. I podobnie jak chłopak Yorków jeszcze się nie ożenił.

Posłałam jej groźne spojrzenie. Przecież nie może sądzić, że interesuje mnie stan cywilny Luisa albo Travisa. Ale Delia nie patrzyła na mnie. Kusiło mnie, żeby oznajmić, iż nie zamierzam odnawiać dawnych znajomości, uznałam jednak, że najlepiej zrobię nie rozmawiając z nią na ten temat.

Luis mieszkał w samym miasteczku, więc niekoniecznie musiałam go spotkać. Przyjechałam tylko na trzy miesiące. Z pewnością uda mi się w tym czasie uniknąć spotkania na stopie towarzyskiej. Z medycznego punktu widzenia byłam zaś w całkiem niezłym stanie, a Tibbie potrzebowała opieki specjalisty, a nie lekarza od wszystkiego.

Ranczo Yorków zaczynało się dokładnie tam, gdzie kończyła się ziemia Rollandów, było więc prawdopodobne, że w końcu natknę się na Trávisa. Ale ponieważ i on, podobnie jak Luis, przez dziesięć lat nie podjął najmniejszego wysiłku, żeby mnie odnaleźć, byłam pewna, że wyrósł ze swych chłopięcych marzeń o zakończeniu zadawnionego sporu rodzin Yorków i Rollandów naszym ślubem.

Jako osiemnastolatka całkiem jasno dałam do zrozumienia obydwóm, że do końca życia nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Mówiłam wtedy całkiem poważnie i odtąd moje uczucia niewiele się zmieniły. Minęło jednak tyle czasu, że na pewno udałoby mi się zachować uprzejmy dystans, gdybym przypadkiem musiała z którymś odbyć rozmowę.

- Czy są tu jeszcze konie? - spytała Tibbie, usiłując wytrzeć zatłuszczone masłem palce w papierową serwetkę.

- W tej chwili tylko jeden - powiedziała Delia i spojrzała na mnie. - Ten kuc, na którym zwykle jeździłaś. To prawdziwy cud, że jeszcze się rusza, tak go Jed zapasł.

Jeszcze trzymano Misty'ego! Jakże uwielbiałam tego małego siwka nawet wtedy, gdy już byłam za duża, żeby go dosiadać.

- Mamo, czy możemy zaraz iść zobaczyć kucyka? - spytała Tibbie prosząco.

Zeskoczyłam ze stołka, podniecona prawie tak samo jak ona. Otworzywszy drzwi spiżarni stwierdziłam, że duża porcelanowa cukiernica z malowanym szlaczkiem w kwiaty kapryfolium wciąż stoi na dolnej półce. Uniosłam wieczko i wyjęłam dwie kostki. Babka zawsze kazała kupować cukier w kostkach, bo uważała, że jest o wiele lepszy niż sypki. Podałam Tibbie białe sześcianiki i obie wyszłyśmy kuchennymi drzwiami.

Kiedy miałam dziesięć lat, babka w końcu zrobiła ukłon w stronę nowoczesności i poleciła przerobić połowę stajni na garaż. Drzwi do tego pomieszczenia były teraz otwarte, zobaczyłam więc, że Jed wprowadził do środka mój samochód i zaparkował go przy lśniącym, choć wiekowym rolls Roy-sie, który należał do babki Faith.

Z garażem sąsiadowały pozostałości stajni. Kuca nie było w żadnym z czterech boksów. Spacerował na zewnątrz, po wybiegu. Kiedy Tibbie wyprzedziła mnie i wdrapała się na ogrodzenie, Misty zbliżył się klusem,

żeby otaksować obcą osobę.

- Połóż kostki cukru na dłoni - powiedziałam. Tibbie usłuchała i Misty żarłocznie je schrupał.

Tibbie zachichotała i wytarła dłoń w dzinsy.

- To łaskocze. - Kiedy okazało się, że nie ma więcej cukru, Misty odwrócił się do mnie. Głaskałam go po szyi zastanawiając się, czy kuc umie kogoś poznać po tak długim czasie.

- Mamo, czy będę mogła nauczyć się na nim jeździć?

- Tak, ale nie dzisiaj. Tibbie westchnęła.

- Wiem. Chcesz, żebym odpoczęła. Ale po co? Spałam przez całą drogę w samochodzie.

- Spałaś dokładnie godzinę. Chodź, szybko spojrzymy jeszcze na staw z kaczkami i wracamy do domu. Na bobrowanie przyjdzie czas jutro.

Ruszyliśmy niemal całkiem zarośniętą ścieżką. Tibbie znowu wybiegła naprzód. Na zakręcie straciłam ją z oczu. Zaraz potem usłyszałam jej krzyk.

Serce zabiło mi szybciej z niepokoju. Pognałam przed siebie co tchu. Tibbie siedziała skulona na ziemi.

- Moja noga, moja noga... - szlochała. Wstrzymałam oddech. Przy grubej gumowej podeszwie jednej z tenisówek Tibbie trzymała się jak przyklejona co najmniej półmetrowa, przegniła deska. Bałam się, że wiem, co się stało. Uklękałam obok dziewczynki i pociągnęłam za deskę. Tibbie krzyknęła z bólu, ale oderwałam deskę od buta. Wystawał z niej długi, zardzewiały gwóźdź, oblepiony teraz krwią.

Przytuliłam Tibbie i próbowałam ją uspokoić.

- Już dobrze - szeptałam. - Wszystko dobrze. -Wiedziałam jednak, co trzeba zrobić, żeby naprawdę zażegnać niebezpieczeństwo. Jak widać, nie sądzono mi było uniknąć spotkania Luisa.

Kiedy podniosłam głowę, stał nad nami Jed. Pochylił się i podniósł zdradliwą deskę.

- Słyszałem, jak dziewczynka krzyczy - powiedział. - Weszła na gwóźdź? Niedobrze. Wyrzucę to świństwo. - Wykonał ruch, żeby się odwrócić.

- Poczekaj - zatrzymałam go. - Gdzie ma gabinet doktor Redhawk?

Jed podał adres i Tibbie przy mojej pomocy do-kuśtykała do samochodu. Wpadłam jeszcze do domu po torebkę i pojechałyśmy do miasteczka.

Luis przyjmował w bungalowie przy Dolores Avenue, nie opodal głównej ulicy miasteczka. Wystrój gabinetu nie był ani kosztowny, ani obskurny. Może najodpowiedniejszym słowem byłoby „praktyczny”. Kiedy przyjechałyśmy, w poczekalni siedzieli dwaj starsi mężczyźni i kobieta w średnim wieku.

- Weszła na gwóźdź - powiedziała rejestratorce. - Ma wszystkie szczepienia, ale nie wiem, czy nie trzeba jej dać zastrzyku przeciwtężcowego.

- Mdli mnie - wybąkała Tibbie.

- Jest okropnie blada - stwierdziła rejestrorka. - Lepiej niech pani z nią wejdzie.

Tibbie ułożyła się na stole do badań i od razu poczuła się lepiej. Zdjąwszy jej but i skarpetkę, wzdrygnęłam się na widok krwi ciekącej z okrągłej rany w miejscu, gdzie gwóźdź, po przejściu przez gumę, wbił się w stopę. Tibbie, nie spuszczająca mnie z oka, uśmiechnęła się słabo.

- Pielęgniarką to ty nigdy nie będziesz, mamó. Wypełniłam kilka formularzy, które zabrała rejestrorka.

Wkrótce otworzyły się drzwi i wszedł Luis. Miał na sobie białą bluzę lekarską włożoną na bawełnianą koszulkę i grube spodnie w kolorze khaki. Jego posępna uroda intrygowała mnie, gdy byłam podlotkiem, ale w ciągu ostatniej dekady Luis dojrzał i zyskał na atrakcyjności. Patrzyłam na niego bez tchu, jakbym nadal miała siedemnaście lat. Skinął mi głową, ledwie spojrzawszy w moją stronę, po czym skoncentrował uwagę na Tibbie i w skupieniu obejrzał ją od stóp do głów. Dało mi to czas na odzyskanie spokoju.

Tibbie obserwowała go nieufnie.

- Kiedy byłem dzieckiem, też zrobiłem sobie gwoździem dziurę w nodze - powiedział do niej.

- Bolało jak diabli.

- Czy musiał pan iść do lekarza na zastrzyk? - spytała.

- Niezupełnie. Mój dziadek był szamanem, więc się mną zajął. - W trakcie tej rozmowy zaczął oglądać zranioną stopę.

- Kim był pana dziadek?

- Czarownikiem plemienia Miwoków. - Oczyszczył ranę jakąś białą pianistą substancją.

Tibbie zamruwała, ale nie zgłosiła sprzeciwu.

- Chce pan powiedzieć, że był Indianinem? - zainteresowała się.

- Właśnie. Tak samo jak ja. Dziadek zebrał wtedy dużo różnych liści i korzeni. Część zaparzył, inne ugotował, a resztę przeżuł.

- Przeżuł! - Zafascynowana opowieścią, Tibbie zdawała się całkiem obojętna wobec zabiegów Luisa na jej stopie.

- Tak było. Dziadek, Biegnący Lis, nauczył się tego wszystkiego od poprzedniego czarownika i dobrze wiedział, co się robi z którą rośliną. Kiedy przygotował składniki, przyrządził z nich maść i przyłożył mi do rany. Potem wykonał taniec czarownika. Nie dostałem ani zakażenia, ani tężca, więc musiał zastosować właściwą kurację. Nie sądzisz? - Z buteleczki, z nalepką „tetanus toxoid”, wciągnął trochę płynu do strzykawki.

- Pewnie tak.

- Wciąż dowiaduję się od Biegnącego Lisa rzeczy, których nie nauczono mnie w akademii medycznej.

- Na pewno nie uczyli tam, jak się żuje liście.

- Masz rację. - Zręcznie wbił jej igłę w przedramię i wstrzyknął szczepionkę. Zanim Tibbie zdążyła syknąć, było po wszystkim.

Pomógł jej usiąść.

- Jak się czujesz?

- Lepiej. Chyba jednak nie będę wymiotować.

- To dobrze. Pozwól dziś odpocząć tej nodze, a przez następne dwa dni nie przesadzaj z chodzeniem, dobrze? Nie musisz już się u mnie pokazywać, chyba że zamiast lepiej czułabyś się gorzej. Ale nie przypuszczam, żeby tak miało być. - Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, a potem wyciągnął do niej rękę. - Miło mi było cię poznać, Tabitho Faith Rolland.

Uroczyście wymienili uścisk dłoni.

- Wolę, kiedy mówi się do mnie Tibbie - powiedziała. - I wiem, że powinnam się zwracać do ciebie „panie doktorze”, ale przecież masz na imię Luis. Widziałam to w książce.

Uśmiechnął się do niej.

- W poczekalni?

- Nie, w moim pokoju, w Szkarłatnym Kamieniu. Dawno, dawno temu dałeś tę książkę mojej mamie.

Widziałam, jak tężeje, zanim jeszcze odwrócił się, żeby spojrzeć na mnie.

- Valora. - Wypowiedział moje imię tak cicho, że ledwie go usłyszałam.

Zniewolona jego hipnotycznym spojrzeniem, nie byłam w stanie poruszyć się ani wydać z siebie głosu. Kiedyś powiedział mi, że mam oczy zielone jak górskie paprocie. Jego oczy były bazaltowo czarne i niebezpieczne jak bezdenne topiel. Wiedziałam, że łatwo mogę w niej utonąć. Raz już prawie mi się to zdarzyło.

Ta sama niewidzialna siła, co kiedyś, przepływała między nami i tworzyła więź, którą czas raczej wzmocnił niż osłabił. Nie chciałam jej, ale nie potrafiłam się z niej wyswobodzić.

Wyciągnął do mnie rękę, a ja mimo woli odwzajemniłam ten gest, tęskniąc za jego dotykiem. Pragnęłam tego, bo Luis zawsze wyzwał we mnie pragnienie, tak silne i gwałtowne jak nikt inny.

Ale nim doszło do uścisku, Luis opuścił dłoń. Obrócił się raptownie i wyszedł z gabinetu.

- Miły jest - powiedziała Tibbie. - Zupełnie nie jak doktor. Nawet trochę żałuję, że już go nie zobaczymy. A ty nie żałujesz, mamó?

Żałować? Tak, żałowałam, że w ogóle wróciłam do Szkarłatnego Kamienia. I do Luisa Redhawka.



---

## *ROZDZIAŁ DRUGI*

---

Przez następne dwa dni przywykłyśmy z Tibbie do nowego miejsca. Widząc, jak wielką przyjemność sprawia małej myszkowanie po domu, uznałam, że jednak dokonałam słusznego wyboru. Skoro lato miało należeć do Tibbie, to jej radość wydawała mi się ważniejsza niż moje prywatne powody, dla których wołałabym być gdzie indziej.

Trzeciego dnia rano zbudził mnie ptak przedrzeźniacz, wyśpiewujący coś na drzewie za otwartym oknem. Lekki, ciepły wiatr niósł aromat pomarańczy znad pobliskich sadów. Z uśmiechem na twarzy przeciągnęłam się, bo przypomniały mi się leniwe letnie poranki w dziewczęcych czasach. Chociaż babka Faith uważała za swój święty obowiązek nieustanne wynajdywanie zajęć dla siebie i wszystkich dokoła, to raniem zawsze miałam święty spokój.

Wstałam i cicho podeszłam do drzwi łączących pokoje, żeby sprawdzić, czy Tibbie jeszcze śpi. Ku swemu zaskoczeniu zastałam puste łóżko. Zmarszczyłam brwi. Gdy zobaczyłam, że drzwi z mniejszej sypialni na korytarz są otwarte, ogarnęło mnie złe przeczucie. Ze względu na przypadłość nękającą Tibbie trzymałyśmy je zamknięte na klucz, a ona miała korzystać z przejścia przez mój pokój.

Sypiam lekko, więc w takiej sytuacji na pewno bym się zbudziła. Tymczasem Tibbie przekręciła klucz w drzwiach prowadzących na korytarz i wyszła. Ponieważ zwykle była posłuszna, nie sądziłam, by mogła coś takiego zrobić, gdyby zdawała sobie sprawę z własnych uczynków.

Coraz bardziej zaniepokojona, włożyłam dzinsy i bawełnianą koszulkę, wsunęłam sandały na nogi i pospieszyłam do kuchennych schodów, wołając Tibbie po imieniu.

- Nie, nie widziałam dziecka na oczy - powiedziała Delia, którą

zastałam w kuchni.

- Ja też nie - potwierdziła Lucy.

Kazałam Delii sprawdzić pokoje na dole, a Lucy - pokoje na górze. Sama wybiegłam na dwór z nadzieją, że może Tibbie poszła do kuca. Ale ani w stajni, ani w zagrodzie jej nie było, natomiast spotkałam Jeda.

- Nie widziałem ani śladu panienki Tibbie - stwierdził w odpowiedzi na moje zatroskane pytanie. - Czyżby się zgubiła?

Wiedziałam, że muszę mu wyjaśnić.

- Tibbie miewa ataki i czasami błądzi. Trochę tak jak lunatycy. Czy mógłbyś mi pomóc jej szukać?

- Oj, biedna dziewczynka. Chętnie do czegoś się przydam. Ty idź tędy - pokazał. - Ja pójdę tamtędy.

Wysłał mnie w kierunku Mount Sangre, więc szybko ruszyłam przez łąkę, która za dawnych czasów była warzywnikiem. Teraz rosły tam trawa, chwasty i młode drzewa. Pośrodku stała rozsypująca się szopa, zwrócona wrotami ku Mount Sangre. Gdy się do niej zbliżyłam, usłyszałam męski głos - odniosłam wrażenie, że znajomy.

- Jeśli nie powiesz mi, czego szukasz, to nie będę mógł ci pomóc, prawda?

- Gdzie to jest? - płacząco spytała Tibbie.

- Czy nie umiesz powiedzieć nic innego? - nalegał mężczyzna.

Tymczasem pędziłam już do szopy jak szalona. Za rogiem zobaczyłam blondyna zasłaniającego wejście. Tibbie nie widziałam, ale głośno ją zawołałam.

Mężczyzna obrócił się i wtedy zorientowałam się, że to Travis York. Uśmiechnął się do mnie, gdy przystanęłam zdyszana, i zrobił taki ruch, jakby chciał mnie objąć na powitanie, ale ponieważ mimowolnie uniosłam dłonie, żeby go powstrzymać, zrezygnował i zadowolony się owinięciem pasemka moich włosów wokół palca.

- Obciąłaś je, ale wciąż jest to płomienna rudość Rollandów - powiedział. - Cieszę się, Val, że wróciłaś do domu. Właśnie szedłem powitać cię znów w Naranadzie, kiedy spotkałem... Tibbie, prawda?... i doszedłem do wniosku, że to twoja córka.

Wyciągnął ramię, otoczył nim Tibbie i łagodnie wyprowadził ją z szopy. Mała, w kapciach i nocnej koszuli, potknęła się i poleciała prosto

w moje objęcia. Patrzyła nieprzytomnie, jak zawsze, gdy miała atak. Przytrzymałam ją przy sobie, wiedziałam bowiem, że nie zdaje sobie sprawy, co się z nią dzieje i nie pilnowana łatwo może znowu się oddalić.

- Sprawiała takie wrażenie, jakby nie wiedziała, gdzie jest i co robi - powiedział Travis. - Chciałem ją odprowadzić, ale usłyszałem, jak wołasz.

- Dziękuję ci za znalezienie Tibbie - odezwałam się. Miałam świadomość, że Travis oczekuje więcej, nie chciałam jednak zachęcać go do odnawiania przyjaźni. - Zaprosiłabym cię na kawę, ale...

Machnął ręką.

- Ale przeszkadzałbym w tej chwili. Rozumiem. Tibbie potrzebuje ciszy i spokoju. Czy kiedyś ci mówiłem, że ja też wędrowałem we śnie? Poczekam do południa. Po lunchu wpadnę i oficjalnie powitam cię w domu. - Znow przesłał mi ten sam chłopięcy uśmiech, który pamiętałam z dawnych lat.

Wydawało się, że prawie wcale się nie postarzał ten wysoki, przystojny, jasnowłosy mężczyzna. Nie mogłam odegnąć od siebie wspomnień miłych chwil, jakie spędziliśmy razem, zanim nadeszła ta upiorna noc na Mount Sangre. Przygryzłam wargę. Martwiłam się o Tibbie. Chciałam ją zabrać do domu, ale nie bardzo wiedziałam, jak pozbyć się Trávisa. On jednak sam rozwiązał mój dylemat.

- Do zobaczenia później - rzucił, obrócił się i odszedł energicznymi, dużymi krokami.

Westchnęłam, bo byłam teraz skazana na jego wizytę. Oto jak udało mi się trzymać z dala od tych dwóch mężczyzn, których nie chciałam spotkać nigdy więcej...

Otoczając Tibbie ramieniem, zaprowadziłam ją do domu. Nie opierała się, nigdy tego nie robiła. Kiedy znalazłyśmy się blisko zabudowań, zobaczył nas Jed i pomachał ręką, ale Tibbie zdawała się go nie zauważać. Podobnie jak mnie i wszystkiego dokoła. Tuż za progiem przystanęła nagle, rozejrzała się zmieszana i powiedziała z żalem:

- Nie mogę tego znaleźć. - Z tymi słowami odzyskała świadomość, tak samo jak zawsze.

Spojrzała na mnie załzawionymi oczami.

- Chyba znowu to miałam. Przepraszam, mamó. Uścisnęłam ją.
- To nie twoja wina.

Wpadłam do Delii, żeby powiedzieć, że Tibbie się znalazła, i wzięłam małą na górę. Zaczęłam od sprawdzenia, jak wygląda jej chora stopa.

- Dokąd tym razem poszłam? - spytała.
- Do szopy na naszej łące. Znalazł cię tam człowiek, który nazywa się Travis York.

- Ten, który mieszka po drugiej stronie Mount Sangre? - Kiedy skinęłam głową, dodała: - Słyszałam, jak Delia mówiła do Lucy, że on chce kupić majątek Rollandów. Czy to znaczy, że również Szkarłatny Kamień?

- Tak - potwierdziłam zastanawiając się, czy to, co powiedziała Delia, jest prawdą. W zamierzonych czasach, kiedy obie rodziny osiedlały się w tej dolinie, Yorkowie ostrzyli sobie zęby na grunty Rollandów, co doprowadziło do sporu i wzajemnej wrogości. Nawet nie przyszło mi do głowy, że Travis może być jeszcze zainteresowany ziemią Rollandów. Moją ziemią.

- Proszę cię, nie sprzedawaj tego domu! - Błagalny ton Tibbie zaskoczył mnie.

- Tymczasem nie planuję sprzedaży - powiedziałam zgodnie z prawdą.

Tibbie odetchnęła z ulgą.

- To dobrze, bo mi się tutaj podoba. - Poruszyła palcami u nogi. - Stopa już mnie prawie nie boli. Goi się, mamó, tak jak powiedział doktor Redhawk. Chyba wydobrzała na tyle, że mogłabym pojeździć na Mistym.

- Zobaczymy. - Stopa rzeczywiście wyglądała na zagojoną. - Umyj się, ubierz i zejdziemy na śniadanie.

Kiedy się szykowała, zamknęłam drzwi prowadzące z jej sypialni na korytarz i tym razem schowałam klucz do kieszeni. Nie odważyłabym się ryzykować następnych wędrówek córki. Mało to zbrojeńców na świecie? A gdyby znalazł Tibbie właśnie ktoś taki, a nie Travis...?

Po śniadaniu Tibbie bez przypominania zeszła do pokoju muzycznego, żeby poćwiczyć na fortepianie z różanego drzewa, który należał kiedyś do babki Faith. Nauczyciel muzyki z Santa Cruz zadał jej

pracę wakacyjną i jak dotąd grała nader sumiennie - niewątpliwie przyczynił się do tego zachwyty nad ozdobnym instrumentem.

Miałam wrażenie, że Delii i Lucy należy się wyjaśnienie w związku z problemem Tibbie, poszłam więc do kuchni. Zastałam tylko Delię.

- Chcę porozmawiać z tobą o Tibbie - powiedziałam. - Ona jest absolutnie normalnym dzieckiem, tylko od czasu do czasu miewa takie ataki, jak dzisiaj. Jeden z lekarzy porównał to do spacerów lunatyka. Tibbie pozornie zachowuje się z sensem, ale jednocześnie nie ma świadomości tego, co robi. Nikt jak dotąd nie znalazł na te jej ataki zadowalającego środka.

- W każdym razie dziewczynka wygląda zdrowo - powiedziała Delia.  
- Ale jej prawdziwa matka była trochę dziwna, a mówi się, że to zostaje we krwi. Jak ona radzi sobie z rym wszystkim? Puściłam mimo uszu nawiązanie do Willi.

- Ataki chyba mniej ją niepokoją niż mnie. Ja zawsze boję się, że odejdzie nie zauważona i zrobi sobie krzywdę albo ktoś ją skrzywdzi. Kiedy ma atak, mówi tylko: „Gdzie to jest?”, a dochodzi do siebie po słowach: „Nie mogę tego znaleźć”.

- A czegoż to biedne dziecko szuka?

- Po ataku sama nie ma zielonego pojęcia, czego szukała. Przedtem wyraźnie wie, ale wtedy nie odpowiada na pytania, więc dotychczas nie udało mi się ustalić.

- Może z tego wyrośnie. Westchnęłam.

Mam nadzieję. Myślałam, że może ten wspólny wyjazd na lato pomoże jej wyzdrowieć.

Delia przyjrzała mi się z uwagą. Po chwili skinęła głową, jakby podjęła decyzję.

- To chyba nie ma nic wspólnego z Tibbie, ale czy wiesz, że twoja babka spędziła ostatnie dni i noce życia snując się po domu i szukając czegoś?

Zrobiłam wielkie oczy.

- Czego?

- Mówiła coś o książce, więc przyszło mi do głowy, że chodzi o tę starą, którą dawno temu pożyczyłaś Travisowi Yorkowi. Zdawało mi się, że ją zwrócił, ale nie byłam pewna, więc w końcu jej powiedziałam, co

zrobiłaś. A ona jak na mnie naskoczy! „Książkę spaliłam - zawołała - ale gdzie jest to, co z niej wypadło? Kiedyś to miałam, a teraz nie mam. Sowa mnie wzywa, rozumiesz. Dlaczego nie mogę tego znaleźć?” - Delia pokręciła głową.

- Nie powiedziała wprost czego, ale ja chyba wiem. Dziesięć lat temu wysiała Jeda, żeby przeszukał szczyt Mount Sangre, i Jed wrócił ze srebrnym medalionem.

Dreszcz grozy przebiegł mi po plecach, kiedy uświadomiłam sobie, jaki przedmiot opisuje Delia. Medalion z sową, którym Travis posłużył się tamtej nocy.

- Czy wiesz, co babka zrobiła z tym medalionem? - spytała Delia. Pokręciłam głową.

- Po mojemu schowała, a kiedy pamięć jej się popsowała, nie mogła sobie przypomnieć, gdzie. - Delia zmarszczyła czoło. - Zabiły ją w końcu te poszukiwania. Była już przecież stara i miała słabe serce. A obijała się po całym domu noc w noc. Któregoś dnia o świcie usłyszałam hałas, potem zobaczyłam, że babki nie ma w łóżku. Zeszłam na dół i znalazłam ją na podłodze w bibliotece. Leżała twarzą do ziemi. Umarła na moich rękach.

- Nie... nie wiedziałam. - Myślałam, że babka spokojnie dożyła swych dni, leżąc w łóżku. Łzy zapiekły mnie pod powiekami. - Przykro mi.

- Masz powód. Nie trzeba było bez pozwolenia babki pożyczać tej książki, w której był medalion. Wiedziałaś przecież, jak pani Faith dba o rodzinne rzeczy.

Pochyliłam głowę, uznając słuszność reprimendy. Rzeczywiście wiedziałam, jak zaborczo odnosi się moja babka do wszystkiego, co posiada, a jednak pozwoliłam Travisowi wynieść tę okropną książkę. Ale nawet mi się nie śniło, jaki koszmar z tego wyniknie. Gorzko było dowiedzieć się teraz, że swą bezmyślnością przyczyniłam się również do śmierci babki.

- Trudno, stało się - powiedziała Delia. - Nawet największy żal nie wróci życia umarłemu.

Wiedziałam to aż nadto dobrze. Pośrednio ta okropna książka zabiła także Willę. Przeze mnie. Do kuchni wpadła Tibbie.

- Zagrałam etiudę i ani razu się nie pomyliłam. Słyszałaś?

Pokręciłam głową. Postanowiłam położyć krzyżyk na przeszłości. Uśmiechnęłam się z przymusem i powiedziałam:

- Wobec tego należy ci się nagroda. Zmień szorty na džinsy, to poprosimy Jeda, żeby osiodłał Misty'ego.

Zachwycona Tibbie popędziła w podskokach kuchennymi schodami na górę.

- Nie wygląda, żeby ten atak jej zaszkodził - uznała Delia.

- One wydają się nieszkodliwe. Aha, zapomniałam powiedzieć, że rano znalazł ją Travis York. Zapowiedział wizytę po lunchu.

Delia uniosła brwi, ale powstrzymała się od komentarzy.

Stuk kroków na drewnianych schodach obwieścił, że Tibbie przebrała się w rekordowym czasie. Wyszliśmy z domu poszukać Jeda i Misty'ego.

Mimo że kuc włókł się jak ślimak dokoła zagrody, a ja trzymałam go za uzdę przy pysku, Tibbie była zachwycona pierwszą jazdą. Twierdziła, że następnym razem będzie już mogła spróbować sił samodzielnie, bez mojej pomocy. Ale chociaż Misty bardzo się rozleniwił i zapewne nie groziło z jego strony najmniejsze niebezpieczeństwo, to niczego jej nie obiecałam.

Travis przyszedł po drugiej. W saloniku grałam z Tibbie w piotrusia. Travis natychmiast włączył się do zabawy. Wkrótce Tibbie chichotała jak szalona z jawnych oszustw, jakie robił, żeby pozbyć się przegrywającej karty.

- I tak nie może pan być czarnym piotrusiem, bo ma pan jasne włosy - oświadczyła.

- Ale nie mam pary. Tibbie pokręciła głową.

- No i co z tego?

Jeszcze nim skończyliśmy trzecią partię, którą po raz trzeci przegrałam ja, musiałam przyznać w duchu, że towarzystwo Travisa nadal sprawia mi dużą przyjemność. Zdążyłam już zapomnieć, jaki potrafi być uroczy.

- Widzi pan, to mama nie ma pary, tak jak w życiu - powiedziała nagle Tibbie.

Travis mrugnął do mnie znacząco.

- Może nie zawsze tak będzie. Tibbie przemyślała sprawę.
- Przydałby się jakiś tata, ale tylko z marną też jest mi fajnie.

Zamrugałam. Nigdy przedtem Tibbie nie wspominała, że brakuje jej ojca. Może i ją Travis oczarował. Ta myśl tak bardzo wyprowadziła mnie z równowagi, że nie zwróciłam uwagi, kiedy zaproponowała Travisowi, że zagra dla niego trudną etiudę. Powlokłam się za nimi do pokoju muzycznego całkowicie zaabsorbowana przeszłością, która odbierała mi radość z odnowienia koleżeńskich stosunków z Travisem.

Przecież nie miałam pewności...

Po wyjściu Trávisa dałam Tibbie książkę i wysłałam ją do pokoju, żeby odpoczęła, bo wstała o wiele za wcześnie, a sama szybko poszłam do kuchni, gdzie Delia przygotowywała wieczorny posiłek.

- Wspomniałaś ostatnio Willę - powiedziałam, siląc się na obojętny ton. - Ciekawa jestem, co stało się z tym jej chłopakiem na motorze?

- Masz na myśli Jacka Nortona? Ech, to był nicpoń. Wstąpił do marynarki i już nie pokazał się w miasteczku. I dobrze, diabli z nim. - Spojrzała na mnie przenikliwie znad ciasta wałkowanego na spód do jakiegoś wypieku. - To mógł być on, nie ma dwóch zdań.

Owszem. Ale nie mogłam też zapomnieć o dwóch pozostałych ewentualnościach. Delia zniżyła głos.

- Co powiedziałaś Tibbie?

- Że jej prawdziwa matka i jej ojciec nie żyją - odparłam zdecydowanie, nie zwracając uwagi na uniesione brwi Delii. Co innego mogłam powiedzieć córce? W tym przynajmniej połowa była prawdą.

Tibbie poszła do łóżka o dziewiątej i prawie natychmiast zasnęła. Ponieważ nigdy nie miała ataków w nocy, ani jednego zaraz po drugim, więc czułam się dość pewnie, by wyjść z domu. Powiedziałam Delii, że wybieram się na spacer po okolicy.

Szłam bez pośpiechu przez rozrzedzoną ciemność. Minęłam ogrodzenie winnicy, po którym piął się rozkwitający nocą jaśmin. Silna woń jego gwiaździstych białych kwiatów przypomniała mi letnie wieczory z czasów moich wizyt w Szkarłatnym Kamieniu. Podobnie jak większość nastolatek byłam romantyczna, więc lubiłam udawać kobietę fatalną, przekradającą się na schadzkę w staromodnej wiktoriańskiej świątyni dumania nad stawem. Lubiałam udawać, aż...



Pokręciłam głową. Dość przeszłości. Delia ma rację. Co się stało, to się nie odstanie. I właściwie dobrze, że tak jest. Chociaż nie planowałam odwiedzin w świątyni dumania, zgrabna ośmiokątna konstrukcja bez bocznych ścian zwabiła mnie swą nieodpartą siłą przyciągania. Wspięłam się na pagórek, weszłam po kilku schodkach i stwierdziłam, że wbudowane na stałe ławki pozostały nietknięte. Usiadłam i zapatrzyłam się na lśniące odbicie księżyca w tafli wody. Na wsi noc nigdy nie jest niema, zawsze słychać rechot żab i cykanie owadów. Kojące są te dźwięki, jakże różne od rozstrajających hałasów wielkiego miasta.

Nasłuchując odprężyłam się, toteż ogarnęła mnie senność. Dlaczego wyrzuciłam z pamięci tyle cudownych dni, spędzonych w Szkarłatnym Kamieniu? Niewątpliwie miałam rację, wracając tutaj.

Całkiem bez udziału woli, zobaczyłam oczami wyobraźni Luisa. Nie tego sprzed kilku dni, lecz takiego, jakiego zachowałam w pamięci przez dziesięć lat, z obnażonym torsem, w starych, spłowiałych dżinsach obciskających uda.

Być może ze względu na indiańskie pochodzenie Luis miał skąpe owłosienie na piersi - tylko kilka czarnych kędziorków dokładnie pośrodku, na mostku. Nie wiadomo dlaczego, widok jego nagiego torsu przejmował mnie dreszczem.

- Ależ on jest seksowny - szepnęła mi kiedyś Corenna, moja przyjaciółka, widząc go przy pracy na ranczu. - Gdyby gapił się na mnie tak jak na ciebie, stopniałabym na miejscu w jedną wielką kałużę.

- On się wcale na mnie nie gapi!

- Akurat! Robi to nawet w tej chwili. Po prostu jesteś za bardzo spietrana, żeby na niego spojrzeć.

- Aha, i stopnieć w kałużę. Dziękuję, nie skorzystam.

Corenna wpadła w niepohamowany chichot i dała mi spokój. A ja dobrze wiedziałam, jak często śledzi mnie to mroczne spojrzenie, zwłaszcza wtedy, gdy Luis pracuje w ogrodzie Rollandów. Jednak nawet przed sobą niechętnie przyznawałam się do dreszczyku emocji, jaki we mnie budził, tym bardziej więc nie wspominałam o tym przyjaciółkom. Zresztą owego lata wyglądało na to, że raczej będę chodzić z Travisem Yorkiem. W każdym razie tak uważał Travis.

Rzeczywiście, bardzo go lubiłam, ale nigdy w jego obecności nie odczułam głęboko w środku tego dziwnego, budzącego lęk ciepła, jakie Luis wywoływał we mnie zawsze, gdy spotykały się nasze spojrzenia.

Do niczego więcej nie doszło, gdyż, jak słusznie odgadła Corenna, nie tylko miałam za mało doświadczenia, by zrozumieć, co oznacza taka reakcja, lecz również bałam się władzy, jaką miał nade mną Luis nawet mnie nie dotykając. Z Travisem, owszem, całowałam się kilka razy, pozwoliłam mu na to i było przyjemnie, ale nigdy nie doprowadził mnie do takiego dziwnego stanu. Dlatego Travis był bezpieczny, a Luis nie.

Ale w któryś lipcowy wieczór, jak dziś osrebrzony blaskiem księżyca i pachnący jaśminem, zawędrowałam do świątyni dumania, która była jednym z moich ulubionych miejsc odosobnienia, tak prywatnym, że nie chodziłam tam z nikim innym, nawet z Travisem. Usiadłam i przyglądałam się gwiazdkom świetlików, pobłyskującym to tu, to tam w zaroślach. Jednocześnie siłą wyobraźni tworzyłam wizję wymarzonego kochanka. Niepokoiło mnie tylko, że ten obraz coraz bardziej przypomina Luisa.

Tamtej pamiętnej nocy wstałam i podeszłam do balustradki, uniosłam twarz do księżyca, zamknęłam oczy i pozwoliłam jego srebrzystości spływać po sobie i wnikać w głęb. Czułam nie nazwany czar delikatnych powiewów, które głaszały mi kosmyki włosów. W moim marzeniu byłam najpiękniejszą i najbardziej pożądaną kobietą świata, i tylko jeden jedyny mężczyzna osiągnął taką doskonałość, że mógł zostać moim ukochanym. Ten mężczyzna szedł srebrną ścieżką do świątyni dumania, wprost ku mnie; był blisko, coraz bliżej. Wiedziałam, że zaraz otworzę oczy i będzie stał przy mnie.

Otworzyłam oczy i osłupiałam. Był, naprawdę był! Wyciągnął do mnie ramiona, a ja w zamroczeniu zrobiłam krok naprzód i znalazłam się w jego objęciach. Gorący pocałunek wypalił w mojej duszy piętno jego imienia.

Chociaż wciąż oddawałam się marzeniu, trzeźwiejsza część mojej osobowości pojmowała, że to Luis trzyma mnie przy sobie i całuje. Przesuwałam palce po jego jedwabistych włosach, czułam dotyk jego ciała.. Tego właśnie pragnęłam od niego, tego się bałam, ale i za tym tęskniłam. Corenna miała rację. Topniałam, stawałam się jego częścią,

zachwycona tym doznaniem.

I było tak, póki Luis nie przerwał pocałunków, nie przestał mnie pieścić i nie cofnął się.

- Jeśli dotknę cię jeszcze raz, nic mnie nie powstrzyma. - Jego ochryply głos podniecił mnie. Nie chciałam, żeby się powstrzymywał. Za nic.

- Nie w ten sposób - powiedział. - Nie byłbym wobec ciebie uczciwy. Nie można.

- Mnie to nie obchodzi - szepnęłam, pragnąc jego dotyku.

- Teraz może nie, ale później tak. - Musnął palcem moje wargi, wrywając z nich westchnienie.

- Valoro, kochanie - szepnął. - Nie zapomnij mnie.

- I zniknął, porywając z sobą moje serce.

Poruszyłam powiekami, płosząc wspomnienie. Był czerwiec, a nie lipiec, a ja miałam dwadzieścia siedem lat, nie siedemnaście. Ale są rzeczy, które się nie zmieniają.

- Wiedziałem, że będziesz tu na mnie czekać.

- To głos Luisa!

Wyprostowałam się gwałtownie i patrzyłam, jak wchodzi po schodkach do świątyni dumania. Miał na sobie grube spodnie khaki, nie dżinsy, i zapinaną koszulę, nie bawełniany podkoszulek, ale poza tym wyglądał równie niebezpiecznie i pociągająco jak zawsze.

- Wcale... wcale na ciebie nie czekałam - powiedziałam zdradzając drżeniem głosu, jak mocno bije mi serce.

Spojrzał na mnie wymownie, bez słów dając mi do zrozumienia, że oboje znamy prawdę. Stwierdziłam nagle, że coś popycha mnie w jego ramiona tak samo, jak dziesięć lat temu. I chociaż nie miałam już siedemnastu lat, pocałunek wywarł na mnie równie wstrząsające wrażenie jak wówczas. Tylko tym razem zdołałam się cofnąć, zanim stopniałam.

Luis natychmiast zrobił krok do tyłu.

- Tak chyba będzie rozsądniej - powiedział. - Bo powinnaś jak najszybciej wyjechać z Naranady.

Wytrzeszczyłam na niego oczy, wciąż nie mogąc się pozbierać po namiętym pocałunku.

- Wyjechać?

- Obie powinnyście wyjechać. Ty i Tibbie. Co cię opętało, żeby sprowadzać tutaj córkę Willi?

Tym pytaniem zniweczył czar, jaki na mnie rzucił. Co go obchodzi, że postanowiłam spędzić lato w Naranadzie?

- Jestem właścicielką Szkarłatnego Kamienia - rzuciłam chłodno. - Mam święte prawo przywieźć tutaj moje dziecko.

- Wiem, że odziedziczyłaś majątek... Komu innemu ta kobieta mogła go zostawić? Ale myślałam, że jesteś rozsądniejsza i nie wrócisz.

- Tylko na kilka miesięcy. Poza tym, co uprawnia cię do mówienia mi tego wszystkiego?

- Nic - odparł. - Zupełnie nic. Ale rady może dawać każdy. Ja radzę ci spakować się i wrócić razem z Tibbie do Santa Cruz, zanim coś się stanie.

- A co ma się stać? - Rozdrażnienie brało we mnie górę, więc coraz bardziej podnosiłam głos.

- Co masz na myśli? Dlaczego próbujesz mnie wystraszyć?

- Nie wiem, jak ty, ale ja spędziłem dziesięć lat temu na Mount Sangre kilka najokropniejszych godzin życia. Nie łudź się. To, co wyrwaliśmy ze snu tamtej nocy, na pewno wciąż tam jest. Czeka. Wiesz, co stało się z Willą. Po co narażać Tibbie?

- Tibbie nie będzie chodzić nigdzie w pobliże tej skały! Już postanowiłam, że nie pozwolę jej wchodzić na Mount Sangre.

Pogardliwie prychnął.

- Czy jesteś w stanie pohamować Tibbie, żeby nie robiła tego, na co ma ochotę? Jeśli jest podobna do reszty dzieci, tylko podsycisz tym jej zainteresowanie.

Przełknęłam ślinę, bo nagle poczułam niepokój. Czy właśnie na Mount Sangre szła Tibbie tamtego ranka, kiedy znalazłam ją w szopie? Owszem, gdy była świadoma, zachowywała się posłusznie, ale podczas ataków traciła nad sobą kontrolę, a ja też nie mogłam przewidzieć, co zrobi.

- Cóż takiego jej grozi w ciągu dnia? - spytałam zmieniając taktykę.

- My przeżyliśmy to wszystko w nocy. A najgorsze mogło być skutkiem burzy.

- Nie było skutkiem burzy i dobrze o tym wiesz. Jesteście z Tibbie w niebezpieczeństwie, póki mieszkacie w Szkarłatnym Kamieniu. Gdybym nie był tego taki cholernie pewny, po co miałbym cię wyganiać z miasta teraz, kiedy cię odnalazłem?

- Jak to „odnalazłem”? Przed chwilą powiedziałaś, że mam wracać do Santa Cruz, więc niewątpliwie od dawna wiesz, gdzie mieszkam. Czyli nie ma mowy o odnajdywaniu. Mogłaś przyjechać do mnie, kiedy tylko chciałaś.

- A po co? Jasno dałaś do zrozumienia, że nie życzysz sobie więcej mnie widywać. „Póki żyję”, dokładnie takich słów użyłaś. Czy cieszyłabyś się, gdybym przyjechał?

Pokręciłam głową. W swoim czasie rzeczywiście nie chciałam widzieć ani Luisa, ani Trávisa. Bałam się.

- No więc dlaczego miałbym ci się narzucać i napytać biedy nam obojgu? - ciągnął. - Cholera, nie powinnaś była tu przyjeżdżać. Dla mnie Naranada jest domem. Ludzie mnie potrzebują. Ale nie ma tu miejsca dla ciebie. Ani dla Tibbie.

Pomyślałam o rodzinach Miwoków, rozproszonych po okolicznych wzgórzach i dolinach, w większości biednych jak kościelne myszy. Luis wrócił zaopiekować się swoimi, którzy naprawdę go potrzebowali. Lekarz był dla nich bezcenny. A moim domem Naranada nie była i nie było możliwości, żeby się nim stała. Żeby zarobić na utrzymanie Tibbie, musiałam mieszkać w mieście, które dawało pracę specjalistom od zatrudnienia.

Mimo to bardzo nie chciałam, żeby okazało się, że Luis ma rację, zmuszając mnie do wyjazdu. Nie chciałam, żeby miał rację w czymkolwiek, nawet w tym, że bez wątpienia odciąłabym się od naszej znajomości, gdyby próbował mnie znaleźć, kiedy studiowałam na uniwersytecie w Santa Cruz. Szczególnie po śmierci Willi.

- To prawda, nie chciałam, żeby przypominano mi o tym, co stało się na Mount Sangre - broniłam się. - Nie możesz mnie winić za to, że nie miałam ochoty widzieć cię w pobliżu. Ale skąd masz pewność, że z upływem czasu nie zmieniłam zdania? Przez dziesięć lat ani razu nie próbowałaś nawiązać ze mną kontaktu. Jeden list trudno byłoby nazwać zobowiązaniem na całe życie.

Wiedziałam, że zachowuję się irracjonalnie, ale nie dbałam o to. Dotknięcie Luisa obudziło we mnie długo uśpioną namiętność, której nie chciałam odczuwać, nie śmiałam nawet dopuścić jej istnienia.

Nie odpowiedział słowami. Zamiast tego chwycił mnie za ramiona i wycisnął na moich ustach pocałunek, w którym nie było czułości, tylko czyste pożądanie. Pobudził nim wszystkie moje nerwy. Pragnęłam, żeby to wrażenie trwało bez końca.

A potem, tak samo jak przed dziesięcioma laty, Luis nagle mnie puścił i odszedł wielkimi krokami, zostawiając mnie sam na sam z bolesnym, nie spełnionym pragnieniem.

- Niech cię szlag trafi, Luis - mruknęłam. - Niech cię szlag.

---

## *ROZDZIAŁ TRZECI*

---

Wszędzie panował mrok, tylko bladą twarz Willi oświetlał wątki złocisty odblask. Pochodził od pierścionka z kocim oczkiem na jej lewej ręce, tego, który dawno temu dostała ode mnie w prezencie. Ale przecież Willa nie żyje.

Uśmiechnęła się smutno.

- Chodź ze mną, Valoro.

Kiedy gęsty mrok nieco ustąpił miejsca szarości wieczoru, ruszyliśmy na przechadzkę po pomarańczowym sadzie, Willa i ja, a przy nas gorliwie przebierał łapkami jej czarny kotek z białym pyszczkiem. Mimo pozornego spokoju czułam w ustach smak strachu, a w środku zimno, na które nie pomagały nawet lekkie, ciepłe powiewy wiatru, wprawiające w szelest liście wokół nas. Wreszcie nie wytrzymałam i chciałam ostrzec Willę, że w mroku czai się niebezpieczeństwo, ale nie mogłam wydobyć z siebie słowa.

Nagle biała sowa, której sylwetka groźnie rysowała się nad sadem, opadła jak kamień na ziemię, chwyciła w szpony kocię i uniosła je z sobą. Śmiertelny krzyk przerażenia zwierzątka jeszcze długo brzmiał mi echem w uszach.

Obróciłam się do Willi i stwierdziłam, że jestem sama. Z wysoka, ze starego płatanu rosnącego za sadem, doleciało mnie złowrogie pohukiwanie sowy. Cztery razy.

- Sowa śnieżna zapowiada śmierć - szepnęła babka Faith.

Raptownie rozejrzałam się wokół, ale chociaż czułam słodki, upajający zapach konwalii, babki nie mogłam dostrzec.

- Czerwień wabi kolibra. Czerwień krwi. - Me rozumiałam, o co jej chodzi, ale ten niesamowity szept zmroził mi krew w żyłach.

Zanim ogarnęła mnie ciemność, wyczułam pod palcami jedwabistą

miętkość pióra.

Zbudziłam się w panicznym przerażeniu, gorączkowo szukając przycisku nocnej lampy. Kiedy wreszcie błysnęło światło, usiadłam na łóżku i patrzyłam szeroko rozwartymi oczami na róże pnące się po ścianie i kurczowo przyciskałam do piersi skrzyżowane ramiona. Powtarzałam sobie, że jestem bezpieczna w swoim pokoju i nikogo poza mną tu nie ma.

W wyobraźni wciąż widziałam śnieżną sowę, pikującą z rozłożonymi skrzydłami i wyciągniętymi w dół szponami. Dziesięć lat temu to nie był sen. Willa i ja naprawdę spacerowałyśmy po sadzie i naprawdę widziałyśmy, jak sowa porywa kotka.

Wyobrażenie odmieniło się i przybrało kształt białej emaliowanej sowy wrytej w metalu, jeszcze bardziej śmiertelnej i okrutnej niż żywy ptak. Uświadomiłam sobie, że przywołałam w pamięci obraz medalionu, który Travis znalazł w tej okropnej starej książce. Babka Faith podobno spaliła książkę, ale co zrobiła z medalionem? „Sowa mnie wzywa”, powiedziała do Delii. Cóż to znaczyło? Czyżby wierzyła w przesąd, według którego sowa wzywająca człowieka po imieniu zapowiada śmierć? Czy roilo jej się, że słyszała swe imię w pohukiwaniu ptaka, polującego w pomarańczowym sadzie? I czy umarła podczas poszukiwań medalionu z sową?

Po tej straszliwej nocy dziesięć lat temu Travis zwrócił książkę, ale nie medalion. Utrzymawał, że go zgubił. Według Delii znalazł go Jed i oddał babce Faith. Gdzie medalion jest teraz? Przebiegł mnie dreszcz, potrząsnęłam głową. Szkoda, że nie mogłam potrząsnąć nią dość mocno, by wyrzucić z myśli te koszmarnie wspomnienia.

Mój wzrok przyciągnęła zielona plamka na białej pościeli. Wyciągnęłam do niej rękę i głośno zaczerpnęłam powietrza. W dłoni trzymałam małe, połyskujące piórko kolibra. Jednocześnie zdawało mi się, że czuję ledwie wyczuwalny aromat konwalii.

To był sen, powiedziałam sobie zdecydowanie. We śnie wróciła przeszłość. Tylko że nie wyjaśniało to realności piórka w mojej dłoni.

Sen zaczął się od błysku kociego oczka w pierścionku, który pod wpływem nastroju chwili podarowałam Willi na jej osiemnaste urodziny, miesiąc przed moimi własnymi. Byłam wtedy u siebie w pokoju i



przeglądałam zawartość hebanowej szkatułki z biżuterią, przysłanej mi przez matkę. Willa zapukała, więc zaprosiłam ją do środka.

- Nie chciałam przeszkadzać - odezwała się - ale pani Faith prosiła, żebym przypomniła ci o bibliotece.

- Powiedz jej, że rano przyjdzie Travis i pomoże mi zacząć te porządki w książkach. - Kiedy odwracała się do drzwi, gestem przywołałam ją bliżej.

Ponieważ Willa była w Szkarłatnym Kamieniu jedyną osobą w moim wieku, często jej się zwierzałam. Babka Faith nie do końca aprobowała naszą zażyłość, gdyż jej zdaniem Willa, jako służąca, nie była dla mnie odpowiednią przyjaciółką. Ale mnie jawne uwielbienie Willi schlebowało, mimo że czułam się nim nieco skrępowana.

- Chodź, zobaczysz, co przysłała mi matka - powiedziałam zapraszając ją, by usiadła na łóżku. - Wreszcie uznała, że dorosłam na tyle, żeby powierzyć mi klejnoty po ojcu.

Obracałam w palcach męski sygnet z czarnym onyksem, otoczonym czterema brylancikami i żałowałam, że tak niewiele wiem o swoim ojcu. Zginął, kiedy miałam trzy lata, więc nie zachowałam jego twarzy nawet w najbardziej mglistych wspomnieniach.

- Co to za klejnot tak pięknie błyszczy? - spytała Willa, wskazując inny, mniejszy pierścionek ze złocistym, jakby przydymionym kamieniem.

Niewiele wiedziałam na temat takich precjozów, więc wzruszyłam ramionami, bardziej zainteresowana sprawdzeniem, czy złoty kieszonkowy zegarek będzie chodził, kiedy go nakręcę.

- Nie pogniewasz się, jeśli go przymierzę? - spytała z wahaniem Willa.

- Skąd - odpowiedziałam z roztargnieniem, przytykając zegarek do ucha.

Po pewnym czasie zauważyłam, jak tęsknym spojrzeniem Willa mierzy pierścionek, który włożyła na serdeczny palec. Złocisty kamień nie budził we mnie żywszych uczuć, natomiast zachwyciło mnie jej oczarowanie.

- Czy nie sądzisz, że jest za mały jak na własność twojego ojca? - spytała w końcu.

Patrząc na jej smukłe palce, skinęłam głową.

- Może należał do jego matki, a mojej babki Hops, która była siostrą babki Faith. Mój dziadek też nazywał się Rolland. Łączyło go dalekie pokrewieństwo z rodziną, która osiedliła się tutaj.

Willa westchnęła melancholijnie, pieszczotliwie wodząc palcem wskazującym po kamieniu.

- Wobec tego jest tak, jakbyś miała dwa rodzinne klejnoty w jednym.

Willa została sierotą w wieku dwunastu lat, a że nie można było znaleźć żadnych jej krewnych, babka Faith wzięła ją na wychowanie. Ponieważ zaś uważała, że każdy powinien zapracować na swój chleb, wyszkoliła Willę na służącą.

Ja co prawda straciłam ojca, ale miałam rodzinę: matkę i babkę Faith. Miałam też ojczyma, który traktował mnie uprzejmie, choć z dystansem. W porównaniu z Willą otaczało mnie mnóstwo bliskich osób. Pierścionka nigdy jednak przedtem nie widziałam na oczy, więc nic dla mnie nie znaczył. Nie traktowałam go jak rodzinnego klejnotu, ani zwykłego, ani tym bardziej nadzwyczajnego.

- Proszę, zatrzymaj go - powiedziałam pod wpływem nagłego odruchu.

Willa wytrzeszczyła oczy.

- Zatrzymać pierścionek? Och, Valoro, chyba nie mówisz poważnie? Przecież on musi być wart masę pieniędzy.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Masz w przyszłym tygodniu urodziny, więc niech to będzie prezent ode mnie.

Zarzuciła mi ramiona na szyję i uściskała mnie, potem zeskoczyła z łóżka i zaczęła tańczyć po pokoju z wyciągniętą przed siebie ręką, żeby móc podziwiać pierścionek.

- Uwielbiam go, uwielbiam - podśpiewywała. - Nigdy nie marzyłam, że będę mieć coś tak ślicznego.

W tamtej chwili Willa sama wyglądała prześlicznie, z jasnymi włosami szeroko rozsypanymi wokół głowy i radością wypisaną na twarzy. Powiedziałam jej to.

Zarumieniała się.

- E, tam. Jack zawsze mi powtarza, że wyglądam jak wystraszony królik.

O Jacku Nortonie nie byłam dobrego zdania. Mimo że dumnie paradował w skórzanej kurtce motocyklisty i rznął stuprocentowego mężczyznę, zawsze kojarzył mi się z łasicą. Babka Faith także go nie lubiła, więc na randki z Jackiem Willa musiała wykradać się wieczorami.

- Teraz, kiedy mam ten pierścionek, całe moje życie się zmieni, wiem to na pewno - dodała. - A wszystko zawdzięczam tobie.

Dziesięć lat później, siedząc na tym samym łóżku, z bólem przypominałam sobie jej słowa. To prawda. Życie Willi radykalnie się zmieniło. Ale zawdzięczała mi swą śmierć.

Nocny koszmar i wspomnienia, które naszły mnie po przebudzeniu, wróżyły, że będę miała kłopot z ponownym zaśnięciem. Chcąc spłoszyć niezdrowe myśli, postanowiłam poczytać. Odłożyłam zielone piórko na szafkę przy łóżku, wzięłam do ręki książkę i stwierdziłam, że trzymam podarek Luisa, jedyny, jaki od niego dostałam: „Spacer duchów” Rozany Webb.

Zostawiłam go w Szkarłatnym Kamieniu, bo nie chciałam, żeby cokolwiek przypominało mi osiemnaste urodziny. Teraz otworzyłam tomik i zaczęłam go kartkować, prześlizgując się wzrokiem po wierszach. Nigdy nie słyszałam nazwiska autorki, co mnie nie dziwiło, gdyż nigdy nie byłam mocna w literaturze. Uznałam, że Luis wybrał tę książkę, ponieważ poetka pisała o Indianach.

Nagle przykuło mój wzrok kilka wersów. Przerwałam wertowanie tomiku, włosy zjeżyły mi się na głowie.

Jak łagodnie muska wiatr Tam, gdzie umarli idą śladem słońca  
...Wciąż słyhać Sowę Śmierci. Za bezkresną krainą snu słońca...

Drżącymi rękami zamknęłam książkę, przejęta wrażeniem, że pisarka dzieliła ze mną mój koszmary sen. Bałam się dalej czytać, żeby nie znaleźć jeszcze bardziej przerażających wersów. Żałowałam, że już nie jestem dzieckiem i nie mogę szukać pocieszenia u boku śpiącej matki. Byłam dorosła, sama wychowywałam dziecko i nie miałam kogo prosić o pocieszenie.

Bo nie Luisa. I nie Trávisa. Obaj byli dziesięć lat temu na Mount Sangre, więc co do nich nigdy nie mogłam mieć pewności...

Jeszcze nie spałam, kiedy świt zaróżowił chmury, choć mnie pozostawił z mrocznymi myślami. Ożywiłam się dopiero wtedy, gdy zbudziła się Tibbie i na palcach weszła do mojego pokoju.

- Jed obiecał mi dziś rano lekcję jazdy - oznajmiła widząc, że nie śpię. - Chcę być gotowa. - Podniosła zielone piórko. - Skąd to masz?

- Może wypadło z jakiejś starej książki - wymyśliłam naprędce. Pewnie istotnie tak było. Jak miałam uwierzyć, że dała mi je we śnie babka Faith.

Z piórkiem w palcach Tibbie obtańczyła cały pokój, śpiewając: „Jak mi się podoba, jak mi się podoba”. Przypominała mi w tym Willę z kocim oczkiem. Pierścionek zresztą zaginął tamtej okropnej nocy na Mount Sangre, tak sarno jak medalion z sową.

- Jeśli chcesz być gotowa na czas, to lepiej się ubierz. - Powiedziałam to ostrzej, niż chciałam, ale Tibbie chyba nie zauważyła.

Podreptała do siebie, po drodze upuszczając zielone piórko na łóżko. Ostrożnie zabrałam je stamtąd i umieściłam w szufladzie staromodnej szafki przy łóżku. Potem wstałam. W tym nastroju niewiele mi brakowało, żeby spakować rzeczy i wyjechać ze Szkarłatnego Kamienia. Ale postąpiłabym niełojalnie wobec Tibbie. Wyraźnie cieszyła się tymi wakacjami i ciężko przeżyłaby nagły powrót do miasta.

Niebezpieczeństwo to sprawa przeszłości, powtarzałam sobie stanowczo. Nie ma tu już nic, co mogłoby zaszkodzić tobie albo twojej córce.

Po śniadaniu Tibbie poszła z Jedem na lekcję, a ja udałam się do biblioteki zabić czas czymkolwiek, byle tylko nie myśleć o ponurościach. Od Delii wiedziałam, że babka Faith nigdy nie skończyła katalogowania rodzinnego księgozbioru, które kiedyś zaczęłam. Postanowiłam teraz wrócić do tej pracy. W wysłużonych dzinsach i podartej bawełnianej koszulce z nadrukiem uniwersytetu Santa Cruz ekshumowałam stare kartoteki z kredensu pod oknem i zaczęłam sprawdzać, co zostało do zrobienia.

Siedziałam właśnie na górnym szczeblu drabinki i przeglądałam zawartość najwyższej półki, kiedy wpadł mi w oko tytuł „Kamienie szlachetne w tradycji”. Wyciągnęłam książkę i wyszukałam fragment o kocim oczku. Dowiedziawszy się, że jest to opalizująca odmiana kwarcu

lub chalcedonu, co mówiło mi doprawdy niewiele, doszłam do następnych informacji. „Według niektórych wierzeń ten półszlachetny kamień jest w harmonii z ziemią i naturą, toteż można go wykorzystywać jako przekaźnik energii”.

Nie zastanawiając się głębiej nad znaczeniem przeczytanych słów, wsunęłam książkę na miejsce, i właśnie wtedy zaskoczył mnie Travis.

- Vai na drabince - powiedział. - Skądś znam tę pozycję. Znalazłaś coś ciekawego?

Uśmiechnęłam się na powitanie, ale jego ostatnie słowa spędziły mi uśmiech z warg. Dokładnie tak samo zapytał, kiedy spotkaliśmy się w tej bibliotece poprzednio. Wtedy odpowiedziałam:

- Raczej niezwykłego. - I podałam mu starą, wytartą książkę w oprawie z cielejącej skóry. Tak się wszystko zaczęło...

- Val? - Nagle uświadomiłam sobie, że Travis zagadnął mnie drugi raz.

- No więc wspominałam sobie. - Wyraźnie było słycać ponure brzmienie tych słów.

Zbliżył się do miejsca, w którym stała drabinka.

- Wspominanie nic nie daje. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Do diabła, czy nikt nigdy ci nie powiedział, że żyje się terazniejszością? Może nie zauważyłaś, ale dziś jest cholerny upał. Przyszedłem zaprosić ciebie i Tibbie na basen.

Chociaż babka Faith zawsze utrzymywała, że nie ma sensu trwonić pieniędzy na takie zbytki, Yorkowie byli innego zdania. Zbudowali więc okazały basen na patio. Jako nastolatka przeżyłam w nim wiele rozkosznych chwil, dlatego również teraz pomysł wydał mi się bardzo zachęcający.

- Tibbie uwielbia pływać - powiedziałam. - Czasem zdaje mi się, że odziedziczyła jakieś syrenie geny.

- Wobec tego zabieraj ją i idziemy.

Travis miał rację, uznałam, kiedy wszyscy troje podskakiwaliśmy na siedzeniach jego furgonu, telepiącego się po rozjeżdżonym trakcie łączącym dwa rancza. Nie dość, że dzień jest rzeczywiście znakomity na kąpiel, to w dodatku od powrotu do Szkarłatnego Kamienia poświęcam stanowczo zbyt dużo czasu na rozpamiętywanie przeszłości.

- A ja wygrałam ostatnio wyścig stylem dowolnym na szkolnych zawodach - powiedziała Tibbie do Trávisa.

- Czy twoja mama mówiła ci kiedyś, że startowałem w eliminacjach do drużyny olimpijskiej? - spytał Travis.

Tibbie pokręciła głową, rzucając mu spojrzenie pełne podziwu.

- Musi pan być bardzo, bardzo dobry.

Wzruszył ramionami.

- Dobry, ale nie najlepszy. Przynajmniej w pływaniu. - Uśmiechnął się pod nosem, bardziej do siebie niż do jednej z nas.

Zapamiętałam ten ukradkowy uśmiech. Zastanowiło mnie, czy miał go na ustach również wtedy, gdy uganiały się za nim wszystkie dziewczyny w szkole średniej. Ze słów Delii wynikało, że nadal jest najwyżej notowanym kawalerem w miasteczku. Zresztą nie bez powodu. Był z niego kawał chłopca, nie lada przystojniak, a ranczo dawało mu niezłe dochody.

- Czy mogę pana o coś spytać? - zwróciła się do niego Tibbie.

Pokazał jej wszystkie zęby w uśmiechu.

- Byle w granicach rozsądku.

- Moja mama zawsze mówi, że pan ma duże ranczo, więc zastanawiałam się, dlaczego chce pan kupić Szkarłatny Kamień?

Travis natychmiast przestał się uśmiechać. Rzucił mi szybkie spojrzenie.

- Tibbie - zaczęłam. - To są sprawy pana Yorka. On...

- Nie szkodzi - wtrącił Travis. - Chętnie odpowiem. Dajcie mi tylko chwilę do namysłu, żebym wiedział, od czego zacząć. Ty, Tibbie, chyba jesteś jeszcze za młoda na Szekspira, ale może słyszałaś o Romeo i Julii.

- Obiło mi się o uszy.

- Czy wiesz, co to jest waśń rodowa? No, Romeo był z rodu Montekich, a Julia z Kapuletów. I zakochali się w sobie, chociaż oba rody się nienawidziły. Dawno, dawno temu Yorkowie i Rollandowie pokłócili się o ziemię. Mój pradziadek uważał, że Mount Sangre należy prawnie do niego, a pradziadek Valory twierdził, że to on jest właścicielem wzgórze. Sąd w końcu przyznał Mount Sangre Rollandom, ale mój przodek z rodziny Yorków przysięgał do swego ostatniego dnia, że Rollandowie przekupili sędziego.

- To nieprawda! - zachnęłam się.

- Prawda czy nieprawda - ciągnął Travis - ale Yorkowie nigdy nie wybaczyli Rollandom. Dopiero ja, kiedy poznałem Valore i przeżyłem z nią młodzieńczy romans, tak jak Romeo z Julią, doszedłem do wniosku, że najlepszym sposobem zakończenia raz na zawsze tej waśni będzie nasze małżeństwo. Ale Valora uważała, że jesteśmy za młodzi.

- Przecież nie mogłam traktować twojej propozycji poważnie - wtrąciłam oburzona, choć rozumiałam taktykę Trávisa, który celowo wyolbrzymił znaczenie naszej szczenięcej znajomości. Nie chciałam wszczynać kłótni, żeby uniknąć niepotrzebnego mieszania w nią Tibbie, ale mimo to dodałam: - Ty też nie mówiłeś poważnie.

- Przeciwnie, jak najpoważniej. To ty się śmiałaś, nie ja.

- Nie mówiłeś poważnie - powtórzyłam, zdecydowana zachować punkt widzenia siedemnastolatki. - Poza tym gadasz bzdury. Między Yorkami i Rollandami nigdy nie było prawdziwej waśni.

- Mamy rodzinny pamiętnik, w którym stoi czarno na białym, że twój pradziadek strzelił do mojego i urwał mu kawałek ucha.

Tibbie patrzyła to na mnie, to na niego, zafascynowana. Wreszcie, skupiwszy wzrok na Travisie, powiedziała wolno:

- Więc gdyby pan kupił Szkarłatny Kamień, to Mount Sangre należałoby do Yorków.

- Tak jakby - przyznał.

- Mama powiedziała mi, że nigdy nie sprzeda domu.

I nie było dokładnie tak, a jednak skinęłam głową, żeby zakończyć tę rozmowę. Boże, nie cierpiałam Mount Sangre. Myśl o posiadaniu tego wzgórze napawała mnie odrazą, ale jednocześnie pomysł sprzedaży budził we mnie dziwny niepokój.

- Sądziłem, że raczej będziesz się chciała pozbyć tego przeklętego miejsca - powiedział do mnie Travis.

Ponieważ niczego bardziej nie pragnęłam, skwitowałam jego słowa milczeniem. Travis roześmiał się.

- Widzisz, Tibbie, nie pozostaje mi nic innego jak ożenić się z twoją mamą i połączyć obie posiadłości.

- Najpierw mama musi się na to zgodzić - zwróciła mu uwagę Tibbie.

Oboje spojrzeli wyczekująco na mnie, ja tymczasem wzruszyłam ramionami i odwróciłam wzrok. Wzdrygnęłam się, bo akurat małe, ciemne stworzenie przemknęło przed maską furgonu, o milimetry unikając śmierci. Królik, a może kot?

- Uważaj na drogę - ostrzegłam Trávisa. - Omal nie przejechałeś jakiegoś zwierzęcia. A poza tym nie chcę już słyszeć ani słowa na temat Yorków, Rollandów ani niczego, co się z tym wiąże, nie wyłączając nas trojga.

- Ale, mamó... - zaczęła Tibbie, ku mojej uldze zrezygnowała jednak w pół zdania. Jechaliśmy w milczeniu aż do podjazdu na ranczo Trávisa, obsadzonego wysokimi sosnami. Siedząca między nami Tibbie obserwowała drzewa przez przednią szybę. Nagle wyciągnęła rękę.

- Tam, prawie na czubku, siedzi duży biały ptak - powiedziała. - Co to jest?

Travis i ja byliśmy wyżsi, więc nie widzieliśmy wierzchołków drzew, ale Travis najwyraźniej domyślał się, co zobaczyła Tibbie.

- To pewnie śnieżna sowa, która poluje nocami w naszych cytrusowych gajach - powiedział. - Te białe sowy zawsze gnieździły się na ranczo... To taka rodzinna tradycja.

Tibbie zauważyła moją kwaśną minę.

- Nie lubisz sów, mamó? Uczyliśmy się o nich na biologii, wydają mi się fajne. - W chwilę później jej uwagę odwrócił widok domostwa Yorków, z wszystkimi jego fantazyjnymi ozdóbkami i kopułami. - Ojej - westchnęła z zachwytem, bardzo podobnie jak wtedy, gdy zobaczyła Szkarłatny Kamień.

Nie miałam do niej pretensji. Dwupiętrowy wiktoriański dom, oślepiająco biały w blasku słońca, był nie tylko pomnikiem innej epoki, lecz i architektonicznym koszmarem. Czymś naprawdę niepowtarzalnym.

Tibbie i ja przebrałyśmy się w kostiumy w jednej z kabin przy basenie, by przez godzinę raczyć się kąpielą razem z Trávisem. Później wszyscy usiedliśmy na patio przy stoliku pod parasolem, a kucharka podała nam lekki lunch. Tibbie, zauroczona żółtozieloną papużką z długim ogonem, skrzeczącą w klatce zwisającej z pozbawionego owoców drzewa morwowego ocieniającego patio, zapytała o jej imię.



- Właściwie nie wiem - odparł Travis. - Matka zostawiła mi ją, kiedy wraz z ojcem przenosili się do Oregonu, bo była przekonana, że ptak będzie tęsknił do tej doliny. Dla mnie to jest Ifigenia.

- Trudne do wymówienia - zauważyła Tibbie.

- Ale pasuje do niej. - Znów dostrzegłam ten jego tajemniczy uśmiezek.

Travis odwiózł nas do domu. Tibbie, wyczerpana konną jazdą i pływaniem, nie zgłosiła zastrzeżeń, kiedy zaproponowałam, żeby poszła na górę i godzinę odpoczęła. Gdy tylko zostawiła mnie sam na sam z Travisem przy wejściu do Szkarłatnego Kamienia, spojrzałam mu prosto w twarz.

- Nie życzę sobie, żebyś opowiadał Tibbie o przeszłości - powiedziałam.

- Czemu nie? - spytał prowokująco. - Jest dość duża, żeby rozumieć, a wieloletnia wrogość Yorków i Rollandów nie stanowi sekretu.

- Zechciej postąpić tak, jak cię proszę - ucięłam rodzącą się sprzeczkę.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Nadopiekuńczość, nie myślę się? Zbyłam go milczeniem.

- No tak - ciągnął. - Ale może i masz do tego podstawy, jeśli wziąć pod uwagę...

- Co takiego? - burknęłam zmieszana.

- To wędrowanie we śnie. Poza tym Willa nie była przecież okazem zdrowia, prawda?

Wzięłam głęboki oddech, starając się nie reagować wrogością. Wiedziałam, że jestem przeczulona na punkcie Tibbie i źle znoszę krytykę pod jej adresem, a poza tym zirytował mnie wręt o Willi, która przecież do tamtej nocy na Mount Sangre nie miała żadnych kłopotów ze zdrowiem.

- Owszem, to wędrowanie we śnie to problem - przyznałam.

- Nie martw się. Ja z tego wyrosłem, ona też wyrośnie. - Uniósł dłoń, jakby chciał mnie dotknąć, ale odruchowo się odsunęłam. Na jego wargach pojawił się smutny uśmiech i powiedział: - Było mi bardzo miło popływać z wami. Obiecuję przy okazji następnego spotkania rozmawiać jedynie o pogodzie i cenie pomarańczy. Czy zasłużyłem na

przebaczenie?

Trudno było długo złościć się na Trávisa. Odwzajemniłam uśmiech, a on rzucił jeszcze słowo na pożegnanie i odjechał.

Czy w ogóle powinno dojść do następnego wspólnego spotkania? - rozmyślałam pnąc się po schodach. Wprawdzie Tibbie zdawała się lubić Trávisa i bez wątpienia wysoko oceniła jego basen, ale czy powinnam dalej się z nim widywać? Bijąc się z myślami, dotarłam do swojej sypialni.

- Mamo - zawołała Tibbie przez otwarte drzwi między pokojami. - Mam do ciebie pytanie. A właściwie dwa.

Kiedy weszłam do niej, siedziała na łóżku oparta o poduszki, a obok niej leżała książka.

- Dlaczego pan York tak śmiesznie nazwał papugę swojej mamy? Co znaczy to imię?

Wróciłam myślą do uniwersyteckich zajęć z mitologii.

- To z greckiego mitu. Jeśli dobrze pamiętam, Ifigenia była córką wielkiego wodza, który musiał ją poświęcić, żeby wygrać wojnę.

Tibbie skrzywiła się.

- Chciałaś powiedzieć: zabić ją?

- Obawiam się, że tak. W dawnych mitach jest dużo zabijania.

- Wydaje mi się to głupie.

- Nie przeczę. Jakie jest drugie pytanie?

- O moją prawdziwą matkę. Czy pan York ją znał?

Skinęłam głową i usiadłam przy niej.

- Naranada jest małym miasteczkiem, kochanie. Wielu ludzi znało Willę.

- Czy doktor Redhawk też?

- Tak. A dlaczego pytasz? Tibbie zmarszczyła brwi.

- Chyba dlatego, że nigdy przedtem nie spotkałam nikogo oprócz ciebie, kto by ją znał. Czy sądzisz, że doktor Redhawk albo pan York mieliby coś przeciwko temu, gdybym ich zapytała, jaka ona była?

Głęboko zaczerpnęłam powietrza i powoli wypuściłam je ustami. Me mogłam dopuścić do tego, żeby Tibbie kiedykolwiek choćby zaczęła podejrzewać prawdę!

- Przecież opowiadałam ci o Willi - przypomniałam jej.

- Tak, ale ty zawsze mówisz te same rzeczy. Oni mogliby powiedzieć coś innego. Szczególnie doktor Redhawk, bo on naprawdę słucha, kiedy go o coś spytać. No i może... Może wiedzą więcej niż ty o moim ojcu.

- Nie! - Natychmiast zrozumiałam, że zareagowałam o wiele za gwałtownie i próbowałam zatuszować swoje potknięcie. - Byłam najlepszą przyjaciółką Willi, więc nie sądzę, żeby ktokolwiek wiedział więcej niż ja o twoim ojcu.

- Ale ty nie wiesz właściwie nic. Nawet nie znasz jego imienia. Potrafisz tylko powiedzieć, że nie żyje, tak samo jak moja matka.

Coś w wyrazie mojej twarzy musiało zdradzić, że przeżywam mękę, bo Tibbie przysunęła się bliżej i uściskała mnie.

- Nie bądź smutna - powiedziała. - Jesteś najlepszą mamą na świecie i właściwie nie będzie mi przeszkadzać, jeśli nigdy się nie dowiem, kto był moim ojcem.

Nie mogłam jej powiedzieć, że jej ojcem był na pewno jeden z trzech mężczyzn i że od chwili przyjazdu do Szkarłatnego Kamienia dwóch z nich już poznała.

---

## ROZDZIAŁ CZWARTY

---

Zbudziwszy się po następnej niespokojnej nocy z koszmarami, w których fantastyczne stwory mówią zagadkami, znalazłam na łóżku czarne piórko. Dudką było do niego przyklepione drugie, mniejsze, czerwone - z wąskim śladem żółci na czubku. Po głowie tłukł mi się głos babki, słyszany we śnie: „Pąsowoboki kaczyk niesie ostrzeżenie przed śmiercią”.

Drżąc na całym ciele, wsunęłam oba piórka do szuflady. Pierwsze mogło znaleźć się u mnie przez przypadek, ale z drugim na pewno było inaczej. I skąd w ogóle się wzięły na moim łóżku?

W domu nie nocował nikt oprócz Delii, mnie i Tibbie. Jakoś nie umiałam sobie wyobrazić, że przysadzista, podstarzała Delia wkrada się nocą do mojej sypialni, żeby podłożyć ptasie piórko. Co zaś tyczy się Tibbie, nigdy nie miała skłonności do tajemnic. Przeciwnie, czasem bywała nadmiernie otwarta, wręcz obcesowa.

Czyżby jakiś intruz? Zawsze miałam lekki sen. Wydawało mi się całkiem nieprawdopodobne, żeby ktoś mógł nie budząc mnie włamać się do domu i wejść na piętro. Zresztą po co? Żeby zostawić piórka? Ale uważałam też za czystą niemożliwość, żeby przyłożyła do tego swą niematerialną rękę babka Faith. Duchy to zwykły przesąd, zdecydowanie nie wierzyłam w siły nadprzyrodzone.

Przejęta tym, co się stało, odczekałam do końca śniadania i kiedy Tibbie wyszła z Jedem pojeździć na Mistym, a Lucy odkurzała hol, zagadnęłam w kuchni Delię. Ponieważ nie byłam pewna, jak zacząć, nawiązałam do niedawnego koszmarnego snu, tego o białej sowie, która zabiła kotka Willi.

- Pamiętam, to było jedno z kociąt Sombry - powiedziała Delia. - Sombra co roku rodziła czwórkę, regularnie jak w zegarku, póki pani

Faith nie dała jej wysterylizować. I najczęściej jedno małe wyglądało właśnie jak tamto: czarne z białym pyszczkiem.

Sombra była kocicą mojej babki.

- A Sombra pewnie w końcu zdechła ze starości? - ciągnęłam wątek. Delia pokręciła głową.

- Owszem, stara już była, ale jeszcze całkiem żywotna. Znikła jak kamfora tej samej nocy, której umarła pani Faith. Nawet włoska po niej nie znalazłam. Ciarki mnie przechodzą, kiedy o tym myślę.

- Rozumiem, że nadal zamykasz drzwi na noc, tak samo jak za życia pani Faith. - Zdawałam sobie sprawę ze swej bezceremonialności, ale bardzo chciałam jak najszybciej dojść do sedna sprawy.

Delia zamrugła oczami.

- No, oczywiście! Okna też. Pani Faith zawsze zamykała, więc nie widzę powodu, żeby robić inaczej po jej śmierci.

- Całkowicie się zgadzam - powiedziałam uspokajająco, a tymczasem nadal zastanawiałam się, jak przejść do tematu, nie robiąc z siebie wariatki. - Bo, hm, widzisz, znajduję ptasie pióra na pościeli.

- Pewnie poduszka ma dziurę. Jest wypchana gęsim puchem.

Sprawdzę...

- Nie, to nie są gęsie pióra. Jedno było zielone, a drugie czarne.

Delia spojrzała na mnie marszcząc brwi, potem twarz jej się rozjaśniła.

- Masz w pokoju kominek. Jakież ptaki musiały się dostać do przewodu. Jed wejdzie na dach i przeczyści.

Oto i odpowiedź, pomyślałam z ulgą, zawstydzona, że sama o tym nie pomyślałam.

- Ale wiesz - powiedziała Delia - kiedy wspomniałaś o zamykaniu na noc, przypomniało mi się, że w ostatnich miesiącach życia pani Faith wracała do tego prawie każdego rana. „Delio - pytała. - Czy jesteś pewna?”. Więc razem sprawdzałyśmy drzwi i zawsze okazywało się, że są zamknięte na cztery spusty. A na kilka dni przed śmiercią kazała Jedowi założyć od wewnątrz porządne rygle.

- Jak widzę, Jed tego nie zrobił. Delia wzruszyła ramionami.

- Po śmierci pani Faith nie widziałam powodu do zakładania rygli. Naranada nie leży na tak zwanym obszarze zagrożonym przestępczością.

- Czy twoim zdaniem babka uważała, że nocami ktoś buszuje po domu?

- Pamiętaj, że pod koniec pani Faith miała już nie ten umysł co kiedyś. Jak mogłam uwierzyć w rabusiów, jeśli nigdy nie zauważyłam, żeby coś leżało nie na miejscu albo zginęło?

Wysłałam na dwór obejrzyć Tibbie na kucu, a kiedy wróciłyśmy do domu i weszłyśmy do kuchni, zadzwonił telefon.

- Valoro, to do pani - zawołała Lucy od drzwi. Moja babka uważała telefony za zło konieczne, toteż w domu znajdował się tylko jeden aparat, w alkowie przy wejściu.

Wzięłam do ręki słuchawkę i przedstawiłam się.

- Mówi Luis. - Dźwięk jego głosu poraził mnie jak prąd. - Chcę zapytać, jak się goi noga.

- Mam tu Tibbie pod ręką - odpowiedziałam pośpiesznie, niezupełnie pewna, czy chcę z nim rozmawiać. - Niech sama ci powie. - Wręczyłam Tibbie słuchawkę ze słowami: - Dzwoni doktor Redhawk.

- Cześć - powiedziała Tibbie. - Noga mnie wcale nie boli. Mogę nawet biegać. Uczę się jeździć na Mistym. Jed mówi, że dobrze mi idzie, więc może kiedyś będą ze mnie ludzie. - Słuchała przez chwilę, a potem powiedziała: - Jasne, fajny pomysł. Ona też lubi pikniki.

Zanim zdążyłam o cokolwiek zapytać, Tibbie pożegnała się i odłożyła słuchawkę.

- Jedziemy na piknik z doktorem Redhawkiem - oznajmiła z podnieceniem. - I poznam Biegnącego Lisa.

Dopiero po kilku sekundach przypomniałam sobie, że Biegnący Lis jest dziadkiem Luisa i plemiennym szamanem.

- Chyba mogłaś mnie spytać, czy chcę jechać na piknik - powiedziałam. Tibbie uniosła brwi.

- A nie chcesz? Sama mi powiedziałaś, że pikniki są najciekawszym sposobem jedzenia, jaki wymyślili ludzie, chociaż trzeba mieć do tego dużo cierpliwości.

Moja córka wykazywała znakomitą pamięć, szczególnie wtedy, gdy widziała w tym jakąś korzyść.

- A kiedy jest ten piknik? - zapytałam.

- Dziś po południu, bo doktor Redhawk ma środowe popołudnia

wolne. Nigdy jeszcze nie widziałam żywego indiańskiego czarownika, a ty?

Pokręciłam głową. Wiedziałam, że nie tyle mam opory przed samą wyprawą, co uważam za nierozsądne pozostawanie w towarzystwie Luisa częściej niż to konieczne. Nie chciałam jednak sprawić zawodu Tibbie, poza tym przecież nie było mowy o sam na sam z Luisem.

- Zapowiada się dobra zabawa - powiedziałam. Zanim Luis przyjechał po nas swoim poobijanym terenowym samochodem, podjęłam niezłomne postanowienie, że nie pozwolę się sprowokować do okazania uczuć i będę zachowywać chłodną uprzejmość. Ponieważ Luis skupił uwagę na Tibbie, początkowo nie miałam z tym kłopotów.

- Czy mogę zapytać pana o dziadka? - spytała go Tibbie, gdy podskakiwaliśmy na drodze biegnącej w kierunku wzgórz, właściwie niewiele lepszej od zwykłego bitego traktu.

Uśmiechnął się do niej.

- No, dawaj.

- Czy powinnam mówić do niego „panie Biegnący Lisie”, czy po prostu „panie Lisie”?

- Najlepiej po prostu „dziadku”, bo tak mówią wszystkie dzieci Miwoków.

- Nawet te, dla których nie jest prawdziwym dziadkiem?

- Nawet.

Tibbie gruntownie przemyślała propozycję.

- W porządku - zgodziła się w końcu. - Dobrze się składa, bo właściwie nie mam żadnego dziadka.

- Chętnie podzielę się z tobą moim.

- Czy on jest bardzo straszny? Luis dodał jej otuchy spojrzeniem.

- Gwarantuję, że nie zrobi niczego, żeby cię przestraszyć.

Prawdopodobnie będzie opowiadał różne historie Miwoków, tobie i wszystkim innym dzieciom, które znajdą się w pobliżu. Przekazywanie tych historii stanowi część pracy szamana.

Słuchając tych dwojga zastanawiałam się, czy Luis nie za bardzo interesuje się osobą Tibbie. To samo pytanie nurtowało mnie, gdy obserwowałam, ile cierpliwości okazywał jej Travis na basenie. Czy któryś z nich nie miał dodatkowych powodów do nawiązania przyjaźni z

małą? Bo przecież z pewnością człowiek, który był jej ojcem, musiał o tym wiedzieć.

Odpędziłam od siebie tę myśl. Stanowczo powiedziałam sobie, że nie można też wykluczać Jacka Nortona, bez względu na to, co powiedziała Willa. Kiedy przystanęliśmy w pobliżu rozproszonej osady, złożonej z biednie wyglądających chat i starych samochodowych przyczep, z radością opuściłam rozpalone wnętrze samochodu, by znaleźć cień wśród dębów rosnących w dolinie.

Luis z koszykiem w dłoni poprowadził nas do dębu nad małym strumieniem, a my ruszyliśmy za nim w asyście psów i nieporadnych brzdąców, nagich od pasa w dół. Pod drzewem siedział człowiek, którego ciemne włosy, splecione w cienkie warkoczyki, znaczyło ledwie kilka siwych pasemek, mimo iż jego pomarszczona twarz świadczyła o dawno minionej młodości.

- Dziadku - odezwał się do niego Luis. - Przyprowaździłem gości. To jest Valora Rolland i jej córka Tibbie.

Biegnący Lis skrzyżował ze mną przenikliwe spojrzenie. Miałam wrażenie, że zdołał wypatrzeć moje najgłębsze sekrety. Mogłam go pozdrowić dopiero wtedy, gdy przeniósł wzrok na Tibbie.

- Cześć, dziadku - powiedziała, a on uśmiechnął się do niej.

- Witajcie. Cieszę się, że przyjechałyście. Lubię poznawać ludzi, ale ten mój wnuk nieczęsto przywozi gości.

Chmara psów i dzieciaków, straciwszy zainteresowanie, oddaliła się w stronę strumienia. Woda była tam zbyt płytka, by zagrażać nawet najmniejszym. Po chwili starsze dziecko wystawiło głowę zza dębowego pnia i zaczęło nam się przyglądać. Była to dziewczynka, mniej więcej w wieku Tibbie.

- Chodź do nas, Soso - powiedział Biegnący Lis nie odwracając głowy. - Jeszcze nie skończyłem opowiadać ci historii. Zacznę od nowa, żeby Tibbie też mogła posłuchać.

Soso wstydliwie wysunęła się zza drzewa i przysiadła obok starego człowieka. Tibbie usiadła z wahaniem po jego drugiej stronie, rzuciwszy mi przedtem kilka ukradkowych spojrzeń. Dziewczynki obserwowały się z zainteresowaniem.

- To jest historia o tym, jak powstał świat - zaczął Biegnący Lis. -



Słuchajcie uważnie, bo mówię prawdę. Przed stworzeniem ludzi na świecie mieszkało sześć różnych ras...

Luis dotknął mojego ramienia i gestem wskazał inny dąb, z dala od dziadka. Na migi wyjaśnił, że możemy usiąść na jego rozłożystym dolnym konarze. Ponieważ drzewo rosło dość blisko, bym nie musiała spuszczać Tibbie z oczu, twierdząco skinęłam głową.

Luis zostawił koszyk u podnóża dziadkowego dębu i oboje odeszliśmy. Zanim udało mi się wspiąć na gałąź, chwycił mnie w tali i podsadził, a potem podciągnął się i zajął miejsce obok.

Biegający Lis opowiadał swą historię dość cicho, więc dolatywały do mnie tylko strzępki melodeklamacji, mieszającej się z szumem strumienia i ćwierkaniem ptaków siedzących w koronach dębów. Od tego szemrzącego podkładu muzycznego i nieznośnego upału poczułam się senna. Znienacka ziewnęłam, a że sama się tego nie spodziewałam, nie zdążyłam zakryć ust dłonią. Luis to zauważył i uniósł pytająco brwi.

- Nie uwierzę, że to moja wina. Czyżbyś była niewyspana?

Wzruszyłam ramionami, nieco zirytowana jego pewnością siebie, choć rzeczywiście nie wyobrażałam sobie, jak towarzystwo Luisa mogłoby mnie nudzić.

- Miałam złe sny - mruknęłam.

- Chcesz opowiedzieć?

- To nic takiego. Dwa razy śniło mi się, że babka mnie ostrzega, chociaż nie bardzo wiem, przed czym. Za każdym razem daje mi ptasie piórko.

Siedzieliśmy dość blisko siebie, więc raczej wyczułam niż zobaczyłam, jak Luis nieruchomieje.

- Jakich ptaków?

Nie miałam zielonego pojęcia, czemu wzmianka o piórkach tak go zaniepokoiła, ale nie widziałam powodu, by unikać odpowiedzi na to pytanie.

Najpierw zielone piórko kolibra, a potem pąsowobokiego kacyka.

- Czy w twoich snach babka mówiła coś o tych piórkach?

Zmarszczyłam czoło, zdziwiona jego zainteresowaniem.

- Coś o czerwieni krwi i o kacyku przynoszącym śmierć. Wiesz, jak to jest ze snami. Zawsze wydają się złowieszcze, ale kiedy się budzisz,

nie widzisz w nich najmniejszego sensu. Piórka na pewno dostały się do mojego pokoju przez przewód kominowy.

- Czyli piórka były prawdziwe? - Nagle podniósł przyciszony dotąd głos.

- Znalazłam je na łóżku - przyznałam, skonsternowana jego przejęciem.

Pokręcił głową.

- Powiedziałem ci, że popełniłaś błąd przyjeżdżając do Naranady. Teraz również twoja babka cię ostrzega.

- Przecież ona nie żyje!

- Żyje jej duch.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

- Masz na myśli zjawę? Nie żartuj, Luis! Poruszył się i usiadł na konarze okrakiem, twarzą do mnie.

- Czyżbyś tak łatwo zapomniała, Valoro? Czyżbyś lekceważyła to, co uwolniliśmy tamtej nocy? Może wydaje ci się, że wszystko zdarzyło się tylko w twojej wyobraźni?

Zrobiło mi się zimno w środku. Wiedziałam, że Luis mówi o nocy na Mount Sangre.

- Jak mogłabym zapomnieć? Omal nie oszalałam wtedy z przerażenia. Ale potem zrozumiałam, że to mogła być sprawa burzy. I chyba na pewno tak było.

Wyciągnął rękę, jakby chciał ująć moje ramię, ale cofnął ją w pół drogi.

- Niebezpiecznie jest tak racjonalizować. Ani ty, ani Tibbie nie powinnyście się znajdować w promieniu wielu kilometrów od Mount Sangre.

Starłam się ze wszystkich sił zachować spokój, mimo że byłam coraz bardziej zirytowana jego nową próbą wypłoszenia mnie z Naranady.

- Luis, jesteś lekarzem. Chyba masz dość rozumu, żeby nie wierzyć w duchy i...

- Owszem, jestem lekarzem, ale także członkiem mojego plemienia. Dlatego już w młodości nauczyłem się nie polegać bezkrytycznie na tym, co widzę oczami i słyszę uszami. Istnieją odczucia dostępne tylko dla ducha. Nie odcinaj się od tych ostrzeżeń we śnie. Sny często

wyrażają prawdę, ukrytą w symbolicznej formie.

Uśmiechnąć mi się nie udało, ale stanowczo mnie nie przekonał. ,

- Chyba muszę się z tobą zgodzić, jeśli mowa o snach w sensie freudowskim, ale jestem za stara i zbyt przyziemnie myślę, żebym miała zacząć wierzyć w ostrzeżenia duchów.

Przez chwilę milczał.

- Czy posłuchałabyś mojego dziadka? - spytał w końcu.

Zamrugałam powiekami.

- A co on ma do tego?

- Wie, co stało się dziesięć lat temu. Kiedy skończy teraz opowiadać, chcę, żebyś przekazała mu wszystko, co pamiętasz ze swoich snów. Ja tymczasem zajmę się dziewczynkami.

W zamyśleniu machinalnie rejestrowałam słowa Biegnącego Lisa:

- Nikt nie wie, jaka była ta piąta rasa ani co się z nią stało. Może zdmuchnął ją wiatr? Wywiał raz na zawsze? Ale te istoty musiały być złe. Jaki inny powód sprawiłby, że zniknęli bez śladu?

Zło. Trudno mi było dopuścić, że istnieje samo z siebie, skoro nawet najbardziej wyrefinowani przestępcy zawsze miewali trudne dzieciństwo, którym można było tłumaczyć ich późniejsze zbrodnie.

Kiedy szaman zamilkł, Luis zsadził mnie z konaru, przyciskając do siebie dłużej, niż było to potrzebne, choć nie tak długo, jak bym chciała. Byłam za rozsądna, żeby ryzykować angażowanie się w znajomość z Luisem, czemu więc w jego obecności całkiem zawodziła mnie siła woli?

Luis zaproponował dziewczynkom przechadzkę nad strumieniem, a ja zostałam z Biegnącym Lisem.

- Twój duch patrzy w ciemność - powiedział starzec, wpędzając mnie w zakłopotanie swą spostrzegawczością. - Siądź tutaj, porozmawiamy.

- Mam złe sny - przyznałam się, usiadłszy na ziemi. Luis nalegał, żebym opowiedziała dziadkowi o piórkach, więc tak zrobiłam.

Kiedy skończyłam, zapadło milczenie. Spojrzałam kątem oka na Biegnącego Lisa i stwierdziłam, że ma spuszczone powieki.

- Z wyśnionych podarunków nigdy nie wynika nic dobrego - odezwał się w końcu. - Ale jest za późno radzić ci, żebyś nie

przyjmowała niczego dawanego we śnie, bo wzięłaś już dwa piórka. W sumie będą cztery. Te dwa należały do kolibra i kacyka. Dojdą jeszcze dwa. Dopóki nie będę wiedział, jakich ptaków, znaczenie pozostanie ukryte.

Otworzył oczy, wziął mnie za rękę i zamknął ją w swoich dłoniach.

- Ciemność idzie z tobą, ta sama ciemność, która dotyka mego wnuka i zasnuwa chmurami ścieżki dziewczynki, którą wzięłaś sobie za córkę.

Tibbie! Wstrzymałam oddech.

- Kiedy przyniesiesz mi wszystkie cztery pióra - ciągnął - będę wiedział, co zrobić. Ludzie z twojego świata łatwo mówią „opiekuj się”, lecz ich słowa nic nie znaczą. Teraz słuchaj, bo moje słowa mają znaczenie. Pilnuj swojej córki. Ona nosi w sobie tajemnicę, której istota jest ukryta i przed nią, i przede mną. Trzymaj ją z dala od miejsca zła.

Dopiero zwilżywszy językiem wysuszone wargi, mogłam się odezwać.

- Czy z dala od Mount Sangre?

- Mój lud nazywa to miejsce domem Hamau. Hamaua jest złym i niebezpiecznym duchem. Trzymajcie się od niego z daleka, ty i twoja córka. - Biegający Lis puścił moją rękę i wstał.

Wyprostował się sprężysto, jakby miał znacznie mniej lat niż w rzeczywistości. Nadal był wysoki, podobnie jak jego wnuk, mimo iż wiek odebrał mu nieco z postury. Miał na sobie całkiem zwyczajny dzinsowy komplet, ale mnie nie wydałby się kimś zwyczajnym w żadnym stroju. Dziwne, ale czułam,

że naprawdę ma w sobie moc, tak jak utrzymywał. Potrafiłby mi pomóc w razie potrzeby. Miałam jednak nadzieję, że nie będzie takiej konieczności. Niespodziewanie uśmiechnął się do mnie.

- Luis dobrze wybrał - powiedział.

Znaczenie tych słów było całkiem jasne. Zmieszana odpowiedziałam jedynie kilkoma mrugnięciami powiek. Musiał być w błędzie. Luis robił wrażenie, jakby zależało mu tylko na odesłaniu mnie i Tibbie jak najdalej od Naranady, raz na zawsze.

Przed naszym odjazdem z osady Biegający Lis przywołał Luisa, a ja tymczasem rozmawiałam z Tibbie i Soso.

- Soso mówi, że czasami przyjeżdża do Naranady. Zaprosiłam ją do Szkarłatnego Kamienia, żeby mogła pojeździć na Mistym - powiadomiła mnie Tibbie. - Będziemy jeździć na zmianę.

- Wspaniały pomysł. Czy umiesz jeździć konno? - spytałam Soso. Skinęła głową. Wstydziła się mnie, nie byłam Luisem ani Tibbie.

- Mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy - dodałam. - Tibbie i ja będziemy na ciebie czekały.

- Przyjadę. - Soso miała cichy, melodyjny głos, harmonijnie zestrojony ze szmerem strumienia. - Jesteśmy z Tibbie przyjaciółkami.

Tibbie promieniała, wyraźnie dzielając tę opinię.

- Czy wiesz, że imię Soso oznacza wiewiórkę? - spytała mnie. - Taką, co skacze po drzewach, nie ziemną. Chciałabym, żeby i moje imię coś znaczyło.

- Życzenie spełnione - zapewniłam ją. - Tabitha oznacza gazelę... czyli zwierzę podobne do antylopy.

- Czy także jelenia? - spytała Tibbie.

- No, można tak powiedzieć. - Rozszerzyłam definicję, żeby sprawić jej przyjemność.

- Ty jesteś wiewiórką, a ja jeleniem- powiedziała Tibbie do przyjaciółki i obie równocześnie zachichotały. Kiedy przeszedł im atak śmiechu, Tibbie zwróciła się do mnie: - Luis zaprosił Soso na nasz piknik.

Uniosłam brwi.

- Luis? A czemu nie „doktor Redhawk”?

- Powiedział, że mogę nazywać go tak jak Soso. Dobrze? - Gdy potwierdziłam skinieniem głowy, dodała: - Zostawiamy koszyk dziadkowi. Nasze piknikowe dania są w turystycznej lodówce Luisa, a on zabiera nas w tajemnicze miejsce.

Luis dołączył i poprowadził nas do samochodu. Dziewczynki wskoczyły na tylne siedzenie i znowu zaczęło nas trząść na prawie niewidocznej drodze, która kończyła się przy olbrzymich granitowych głazach.

- Poczekaj z dziewczynkami w samochodzie, aż wrócę - powiedział Luis i otworzył drzwi. Wskoczył z samochodu i gdy przeciskał się wąskim przesmykiem między dwiema skałami, zdawało mi się, że słyszę

jego śpiewny głos. Potem znikł mi z oczu.

- Dlaczego Luis nas tu zostawił? - spytała Tibbie.

Właśnie zamierzałam odpowiedzieć, że nie mam pojęcia, kiedy odezwała się Soso.

- Z powodu węży. Musi im powiedzieć, żeby odeszły i nas nie niepokoiły.

- Węży! - wykrzyknęłam, utkwivszy wzrok w Soso. - Jakich znowu węży?

Soso wzruszyła ramionami.

- Po prostu węży. Na wypadek, gdyby tam były. Dziadek nauczył Luisa odpowiednich słów.

Chociaż nigdy w życiu nie widziałam na oczy grzechotnika, ponieważ przypomniałam sobie, że podobno w głębi kraju jest ich dużo. Zdecydowanie nie miałam ochoty na kontakty z grzechotnikami.

Po powrocie Luisa do samochodu powiedziałam mu to wyraźnie.

- Tam, dokąd idziemy, nie ma żadnych węży. Ani grzechotników, ani innych - zapewnił mnie, sięgając po turystyczną lodówkę.

Spojrzałam na niego nieufnie.

- Nie wierzysz mi? - spytał.

- Ja ci wierzę - oznajmiła Tibbie, gramoląc się z samochodu. Soso poszła jej śladem. Opornie porzuciłam bezpieczne schronienie, rzucając nerwowe spojrzenia na ziemię.

Luis dźwigał lodówkę.

- Tędy - powiedział.

- Luis... - zaczęłam. - Czy jesteś pewny...? Strzelił we mnie gniewnym spojrzeniem.

- Czy naprawdę myślisz, Valoro, że narażałbym ciebie i dziewczynki na niebezpieczeństwo?

Pokręciłam głową. Rzeczywiście, nie mogłabym w to uwierzyć.

- Wobec tego chodźmy - powiedział. Ruszyliśmy za nim szczeliną między głazami, mając nad głową jeszcze jakieś dwa metry wolnej przestrzeni. Gdy tylko znaleźliśmy się po drugiej stronie, przystanąłam i, mile zaskoczona, głęboko wciągnęłam w płuca powietrze. Staliśmy w skalnej oazie. Woda z bulgotem wydostawała się z ziemi i tworzyła małą sadzawkę, a potem sączyła się w dół między kamieniami. Cień na

sadzawkę rzucał wiekowy platan, imponujący obwodem białego pnia, natomiast nad samą wodą rosła trawa, gdzieniegdzie urozmaicona niewielkimi krzakami.

- To naprawdę jest tajemnicze miejsce - przyznała radośnie Tibbie.

- Dobre miejsce - potwierdziła Soso. Spojrzała uważnie na Luisa. - Święte?

- Tylko w tym znaczeniu, że nie zdarzy się tu nic złego - odpowiedział.

Skinęła głową usatysfakcjonowana wyjaśnieniem, w przeciwieństwie do mnie. Chociaż czułam otaczający mnie spokój, miałam wątpliwości, czy ktokolwiek na świecie może być pewny, że gdzieś lub kiedyś nie zdarzy się nic złego.

- Zjemy coś? - spytała Tibbie.

Nie zabraliśmy żadnych frykasów: kanapki z masłem orzechowym i serem, a do tego soki owocowe, ale w tym sekretnym świątku, zamkniętym wśród skał, wszystko nabrało niecodziennego smaku. Najadłszy się do syta, Soso i Tibbie usiadły ramię w ramię nad sadzawką i mocząc nogi w wodzie, oddały się ożywionej rozmowie.

Luis i ja nie zachowywaliśmy się tak przyjaźnie. Luis, ubrany w dzinsy i bawełnianą koszulkę, oparł się o jeden z gigantycznych głazów i zapatrzył w gałęzie płatanu.

- Zwykle wkładałeś dzinsy do pracy w ogrodzie babki Faith - powiedziałam. - I miałeś wtedy ten sam zadumany wyraz twarzy.

Odwrócił się i pochwycił moje spojrzenie.

- Nie wtedy, kiedy byłeś w pobliżu.

- Prawdę mówiąc, często szpiegowałam cię z okna - przyznałam się. - Moja babka zawsze strasznie gderała, jeśli zauważyła, że z tobą rozmawiam.

- Wiem. - Słyszac jego posępny głos, zrozumiałam, że strofowała nie tylko mnie.

- Była osobą starej daty - powiedziałam.

- Była uprzedzona. - Powiedział to obojętnie, bez zajadłości. -

Wydawało mi się, że ty nie masz uprzedzeń, ale byłeś tak nieuchwytna, że nie mogłem mieć pewności.

Próbowałam mu wyjaśnić, jak się wtedy czułam.

- Onieśmielałeś mnie.

- Ty mnie o wiele bardziej. - Odepchnął się od głazu i podszedł do miejsca, w którym siedziałam, oparta o jedną ze skał dających cień. Powoli osunął się na ziemię obok mnie.

Chociaż nie dotykaliśmy się, nagle odniosłam wrażenie, jakbym każdą cząstką ciała czuła jego bliskość.

- Gdyby nie ta noc na Mount Sangre... - Z westchnieniem urwał. - Już wtedy wiedziałem, że powinienem był powstrzymać Trávisa.

- Nie jestem pewna, czy potrafiłbyś. Był bardzo zdecydowany...

- Powinienem był rozpląszczyć tego skurwiela na ziemi, zabrać mu tę przeklętą książkę i spalić.

Przymknęłam oczy, słysząc taką zawziętość w jego głosie.

- Spaliła ją moja babka.

- Za późno,.

- Jeśli szukamy winnych, to nie można wszystkiego zwać na Trávisa - powiedziałam. - Przede wszystkim nie powinnam była pozwolić mu na wyniesienie tej książki z naszej biblioteki.

- Czy ona w końcu znalazła ten medalion? - spytał Luis.

Wpatrywałam się w niego zastanawiając się, skąd wie o poszukiwaniach babki Faith. Zupełnie jakby czytał w moich myślach, bo odezwał się ze zniecierpliwieniem:

- Byłem jej lekarzem w ostatnich latach przed śmiercią. Czasem zwierzała mi się, jeśli można to tak nazwać. Nie należała do gadatliwych.

- Delia uważa, że babka zapomniała, gdzie położyła to coś, czego szukała - powiedziałam.

- Medalion - uparcie powtórzył Luis. Wzruszyłam ramionami wiedząc, że ma rację.

- Niech Bóg da, żeby nikt go nigdy nie znalazł. - W jego słowach pobrzmiwało głębokie przekonanie. - Przepraszam, przyjechałem tu odpocząć, a nie wskrzeszać przeszłość.

Nie odezwał się już i nie otworzył oczu. Ja też próbowałam zamknąć oczy w nadziei, że przeniknie mnie spokój skalnej oazy, ale na odgrodzenie się od przeszłości było za późno.

Pod zamkniętymi powiekami znów zobaczyłam bibliotekę Rollandów



sprzed dziesięciu lat. Widziałam, jak znajduję cienki, wytarty tomik, wciśnięty między inne książki na najwyższej półce, jak patrzę na dziwaczne słowa na zniszczonych stronicach. Travis pyta, czy coś znalazłam. Podaję mu książkę ciekawą, co z niej zrozumie. Kartkuje ją, najpierw marszczy brwi, potem ogarnęło go podniecenie.

- Moim zdaniem znaleźliśmy *grimoire*? No wiesz, księgę zaklęć.

Wtedy nie miałam zielonego pojęcia, o co mu chodzi, a kiedy dowiedziałam się, jakie niebezpieczeństwo kryły butwiejące strony, było za późno. O wiele za późno.

---

## ***ROZDZIAŁ PIĄTY***

---

Nawet z zamkniętymi oczami czułam przy sobie obecność Luisa. Oboje opieraliśmy się plecami o jeden z głazów tworzących to ukryte sanktuarium. Luis trwał w milczeniu. Słyszeć było tylko stłumione głosiki dziewcząt i łagodny szmer wody. Ale mój umysł daleki był od spokoju, na próżno próbowałam powstrzymać się przed chorobliwym rozdrapywaniem przeszłości...

Kiedy dałam Travisowi ten dziwny, stary, ręcznie oprawiony tom z księgozbioru Rollandów, znalazł w nim zaśnieżony srebrny medalion, wciśnięty pod oprawę. W metalu była wyryta lecąca biała sowa z rozczapierzonymi szponami. Wizerunek ptaka pokrywała biała emalia, a otaczały go jakieś dziwaczne symbole. Nie podobał mi się ten przedmiot, ale Travis traktował go z wielką atencją.

- Hej, to fantastyczne - powiedział. - Niewiarygodne! Chciałbym przestudiować tę książkę i sprawdzić, czy uda mi się odcyfrować znaczenie liter na medalionie. Do książki nikt nie zaglądał od lat, więc chyba nikomu nie zaszkodzi, jeśli wezmę te rzeczy na kilka dni do siebie.

Spojrzałam na niego z wahaniem. Babka Faith nie miała zwyczaju czegokolwiek pożyczać. Ale przecież mogła nawet nie wiedzieć o tej książce, wciśniętej za inne tak, że całkiem nie było jej widać.

Travis nie prosił o wiele, a że nigdy nie widziałam go w takim podnieceniu, jak nad tym starym, pożółkłym tomikiem, byłoby mi przykro mu odmówić. Gdybym jednak chciała iść z jego prośbą do babki, mogłabym równie dobrze od razu stanowczo powiedzieć mu „nie”.

- Oj, Val, nie bój się. Ona nawet nie zauważy - podpuszczał mnie, jakby wiedział, że babka ma opinię osoby z rozwiniętym instynktem posiadania. - Obiecuję piorunem zwrócić.

- No, hm, wobec tego może mógłbyś...

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć! - Chwycił mnie w pól, przyciągnął do siebie i szybko pocałował. - Wybacz, że cię opuszczam - powiedział uwalniając mnie z objęć. - Muszę załatwić coś pilnego.

Aha! Pilnie wymknąć się z domu, zanim babka dopadnie cię z książką, pomyślałam rozważając jednocześnie, dlaczego pocałunek Trávisa, choć całkiem przyjemny, nie wywołał we mnie takiego stanu radosnego oszołomienia, jak zwykle ukradkowe spojrzenie Luisa.

Travis zatelefonował następnego ranka.

- Mam wspaniały pomysł w związku z twoimi urodzinami - oświadczył.

- Wiesz przecież, że babka Faith wydaje dziś po południu przyjęcie na moją cześć - przypomniałam mu.

- Wiem, wiem, ale ja mam pomysł na później. Na noc. I muszą być do tego cztery osoby... Dwie dziewczyny i dwóch chłopaków.

- Masz na myśli podwójną randkę? - spytałam zmieszana.

- Niezupełnie. Ty załatw dziewczynę, ja załatwię drugiego chłopaka, dobra?

- Corenna wyjechała z rodzicami do Avila Beach. Nie będzie jej do końca miesiąca, a innych dziewcząt w miasteczku właściwie nie znam na tyle...

- A Willa?

- Nie jestem pewna, czy zechce.

- Dobrze wiesz, że od tego zaszczytu omal nie pęknie jej ten ciasny mózdzek.

Miał rację uważając, że Willa poczuje się zaszczyczona, więc powiedziałam tylko:

- Nie bądź wstrętny. Ona ma tyle samo oleju w głowie, co ty.

Roześmiał się.

- Nie obrażaj mnie. Nikt nie ma tyle oleju w głowie, co T.J. York. W każdym razie zaprosz ją, dobra?

- Najpierw powiedz mi, co będziemy robić.

- Nie mogę, to tajemnica. Ale zaklinam się, że nigdy nie dostaniesz drugiego podobnego prezentu urodzinowego. Bądź aniołem i nie kłóć się. Tylko zaprosz Willę. I nie mów nic babce.

- Ale jeśli zamierzam wyjść w nocy, to muszę jej powiedzieć.

- Możesz się wykraść. Posłuchaj, dostaniesz ode mnie wszystkie wskazówki na tym popołudniowym podwieczorku, czy co tam ma zamiar wydać twoja babka.

Rozłączył się, zostawiając mnie w stanie niepewności i lekkiego zakłopotania. Nie byłam całkiem pewna, czy chcę mieć udział w tajemnicy Trávisa. Ale ponieważ robił to na moją cześć, należała mu się ode mnie pomoc. Tak samo pomagałam babce Faith w urzeczywistnianiu jej koncepcji urodzinowego przyjęcia.

Moja babka zaprosiła Trávisa oraz bliźniaczki Wilsonów, Jenny i Penny, na lody i ciasto w salonie. Przyjęcie miało trwać od drugiej do czwartej. Zdaniem babki właśnie z takimi dziewczętami jak bliźniaczki powinnam się zadawać, choć ja nie podzielałam tej opinii. Zresztą Jenny i Penny nie zwracały na mnie szczególnej uwagi, za to były bliskie omdlenia na widok Trávisa, który flirtował z nimi bite dwie godziny, a gdy zegar wybił czwartą, z galanterią odprowadził obie do drzwi. Natychmiast potem wrócił, chwycił mnie za rękę i pociągnął do ogrodowych drzwi i dalej, do rozarium.

- Myślałem, że umrę z nudów - jęknął. - Jak tyje możesz ścierpieć?

- Nie widuję ich zbyt często - odpowiedziałam z roztargnieniem, zauważyłam bowiem Luisa przycinającego żywopłot. Jego obecność z pewnością ożywiłaby przyjęcie, przynajmniej z mojego punktu widzenia, ale miałam dość oleju w głowie, żeby nie proponować babce takich gości. Travis również go zauważył.

- Luis! - zawołał i przywołał go gestem.

Luis wolno ruszył w naszą stronę, a ja starałam się, mówiąc słowami Corenny, nie stopnieć. W efekcie stałam jakbym połknęła kij, w bardzo przyzwoitej różowej bawełnianej sukience, którą dostałam w prezencie od babki.

- Czy pójdziesz z nami wieczorem? - spytał go Travis, czym kompletnie mnie zaskoczył, bo nic ich z sobą nie łączyło.

- To zależy - odparł Luis.

W ogóle jeszcze na mnie nie spojrzał, w każdym razie nie tak, żebym to zauważyła.

- Idą Val i Willa - powiedział Travis. - Zaimprovizujemy małą uroczystość z okazji urodzin Val. O północy.

Szerzej otworzyłam oczy. O północy! Luis spojrział na mnie kątem oka i natychmiast poczułam, jak ścisnęło mi się gardło.

- Gdzie? - spytał.

Pokręciłam głową, bo nie miałam pojęcia.

- Spotkamy się przy stajni o wpół do dwunastej - powiedział Travis z uśmiechem zadowolenia. - Wtedy wam wszystko wyjaśnię.

Może nawet zgłosiłabym sprzeciw, gdyby nie Luis, który powiedział:

- Dobrze.

Rzadko zdarzało mi się zamienić z nim choćby kilka słów, gdyż babka nieustannie czuwała, żebym nie przeszkadzała robotnikom w pracy. Skoro więc postanowił przyjść, zdecydowałam, że zrobię tak samo.

Później dopadłam na piętrze Willę i wciągnęłam ją do swojego pokoju.

- Wiem, że trochę na to późno - powiedziałam - ale zapraszam cię dziś wieczór na moje urodzinowe przyjęcie, które organizuje Travis.

Willa zamrugała powiekami.

- O, cholera - mruknęła i zaczerwieniła się, jakby w obawie, że złajam ją za tę „cholere” tak, jak zrobiłaby to moja babka. Zbliżyła się do mnie i zniżyła głos.

- Dziś wieczorem umówiłam się z Jackiem.

- W takim razie...

- Nie, poczekaj. Mogę do niego zadzwonić i odwołać. Nie zmartwi się specjalnie. Wie, że zawsze mam kłopoty z wychodzeniem.

- Posłuchaj, Willo, nie musisz...

- Wolałabym iść na twoje przyjęcie - oświadczyła.

- Nie bardzo wiem, co Travis wymyślił - ostrzegłam.

- Wszystko jedno. Jestem pewna, że będzie dobra zabawa. Och, jestem taka podniecona!

- Może zmienisz zdanie, jeśli powiem ci, że będziesz musiała cichcem wymknąć się z domu i przyjść na spotkanie przy stajni o wpół do dwunastej.

Willa wzruszyła ramionami.

- Mnie to nie robi różnicy. I tak miałam się ulotnić. - Dotknęła pierścionka z kocim oczkiem, który jej podarowała. - Serdeczne dzięki

za zaproszenie.

Kiedy obie nadeszłyśmy, Travis i Luis już czekali. Księżyc w pełni stał wysoko na niebie, więc nikt z nas nie zatroszczył się o latarkę. Osobiście uważałam, że srebrzysta poświata dodaje tej nocy romantycznego smaczku, otacza blaskiem posępną urodę Luisa i sprawia, że Travis wygląda prawie jak Apollo.

- Księżyc kradnie kolory, wszystko wygląda tak dziwnie - powiedziała Willa, gdy znalazłyśmy się koło chłopaków. - Zupełnie jakbyśmy byli w innym, nieprzyjaznym kraju.

Zaszokowała mnie. Nigdy nie przyszło mi na myśl, że księżyc może być nieprzyjazny.

Travis powitał Willę, a tymczasem Luis wsunął mi w dłoń coś małego, owiniętego w papier. Wydało mi się, że to cienka książka.

- Wszystkiego najlepszego, Valoro - powiedział tak cicho, że ledwie go usłyszałam.

Oczarowana, lecz i zmieszana, bo nigdy przedtem nic od Luisa nie dostałam, wybąkałam coś w podziękowaniu i pod wpływem nagłego impulsu postanowiłam ukryć ten prezent przed innymi i zabrać go później. Wsunęłam go do drewnianej skrzynki przytwierdzonej na drzwiach stajni. Jed trzymał w niej fajkę, kapciuch z tytoniem i zapalki, żeby mieć je pod ręką w czasie pracy.

- Co teraz? - spytał Luis.

- Naprzód i w górę - odparł Travis. Podniósłszy z ziemi czarną torbę, energicznie zaczął oddalać się od stajni, ciągnąc mnie za sobą.

Natychmiast zrównał się z nami Luis, holujący Willę.

- Dokąd naprzód i w górę?

- Na szczyt, oczywiście. A dokąd by? - Na Mount Sangre? - spytał Luis.

- Wreszcie skapowałeś.

- To nie jest najlepsze miejsce na...

- To jedyne miejsce - uciął Travis. - Kiedy zaczniemy, zrozumiesz, co mam na myśli.

Luis ustąpił, ale w jego marsowym spojrzeniu widać było dezaprobatę.

- Nigdy jeszcze nie byłam na przyjęciu o północy - wyszeptała Willa

bez tchu.

Travis rzucił jej dziwny uśmiezek.

- Gwarantuję ci, że tego nie zapomnisz do końca życia.

Wchodziłam przedtem na Mount Sangre kilka razy, ale nigdy nie robiłam tego w nocy. Nagle wydało mi się, że to świetna próba odwagi, a zarazem przygoda, tak piąć się po zboczu stromego wzgórza, podczas gdy chmury to zakrywają, to odsłaniają księżycową tarczę. Przedtem nie trafiło mi do przekonania to, co Willa mówiła o świetle księżyca, teraz jednak uznałam, że to sama noc odmienia świat. W ciemności wszystko nabiera tajemniczego wyglądu, całkiem innego niż za dnia. Jest inaczej i znacznie bardziej ekscytująco.

Świadomość tego, że babka dostałaby apopleksji, gdyby dowiedziała się, co robię, dodawała pieprzu tej nocnej eskapadzie.

Z dołu dolatywały przytłumione odgłosy wsi i pobliskiego miasteczka. Nawet ryk motocykla, zazwyczaj bardzo głośny, zabrzmiał jakby z innego, odległego świata.

Willa nerwowo zachichotała.

- Zastanawiam się, czy to nie Jack - szepnęła mi. - Wątpię, czy uwierzył w moją wymówkę.

Wspinaliśmy się tak szybko, że pod szczytem nie mogłam już złapać tchu i chętnie zatrzymałabym się na odpoczynek, gdyby Travis nie zagonił nas do zaokrąglonego głazu mniej więcej półtorametrowej średnicy, spłaszczonego z wierzchu, kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią. Pamiętałam ten gład z innych bytności na Mount Sangre, znałam też plotki, według których był to jedynie czubek litej skały, sięgającej głęboko w ziemię.

Kiedy do niego doszliśmy, Luis powiedział:

- To nie jest dobre miejsce. Chodźmy trochę dalej.

Travis nie zwrócił na niego uwagi. Ustawił czarną torbę na głazie i otworzył ją. Cała nasza trójka w skupieniu przyglądała się, jak w rozedrganym księżycowym świetle wyciąga grubą czarną świecę, zapala ją, zlewa kilka kropel wosku na kamień i wciska świecę podstawą w krzepnący wosk, żeby dobrze stała. Myślałam, że płomień zgaśnie, ale noc była spokojna, bezwietrzna, więc świeca nadal migotliwie się paliła.

- Została z przyjęcia, jakie moi starzy wydali na Halloween -

powiedział Travis. - Inaczej miałbym kłopoty ze zdobyciem czarnej świecy w tak krótkim czasie.

Nikt z nas nie zapytał, dlaczego świeca musi być czarna. Sama nie zrobiłam tego, bo szybko traciłam poczucie wspaniałej przygody i nie byłam już pewna, czy rzeczywiście podoba mi się w tym miejscu. Może zawiniła właśnie ta świeca, rzucająca na twarz Trávisa cienie, które zmieniały go w obcego człowieka. Może przyczyniło się do tego marsowe spojrzenie Luisa. A może kurczowy uścisk palców Willi na mojej dłoni. W każdym razie wcale nie chciałam wiedzieć, dlaczego świeca musi być czarna.

- Val - odezwał się Travis. - Chcę, żebyś stanęła po stronie wschodniej. - Wskazał mi miejsce, więc wzruszyłam ramionami, wyswobodziłam dłoń z uścisku Willi i stanęłam tam, gdzie kazał. Potem ustawił Willę na zachodzie, a Luisa na południu. Sam pozostał po północnej stronie kamienia.

- Północ jest stroną władzy - wyjaśnił.
- Nie próbuj korzystać tu z żadnej władzy - mruknął Luis.
- Co, Redhawk, boisz się? - rzucił prowokująco Travis.

Luis cały się zjeżył.

- Nie ja. Ale dziewczęta...
- Ty się nie boisz, Willo, - prawda? - spytał Travis.
- Nnnie. - Drżenie jej głosu zadawało kłam temu stwierdzeniu.
- A Val nie boi się niczego - ciągnął uparcie Travis, nie dopuszczając mnie do głosu. - Więc zaczynamy. Nic nie mówcie, tylko patrzcie i słuchajcie.

Wyjął z torby małą buteleczkę, zdjął nakrętkę i, wylewając na kamień lepłą czerwoną substancję, narysował nią okrąg. Zmarszczyłam nos, bo poczułam słodkawą, raczej nieprzyjemną woń. Zastanawiałam się, co, na miłość boską, kombinuje Travis. Kiedy ostrożnie umieścił w środku tego okręgu medalion z sową, zmarszczyłam brwi. Potem wyciągnął starą, zniszczoną książkę, którą pozwoliłam mu pożyczyć. Tego było już dla mnie za wiele.

- Travis... - zaczęłam. - Chcę...
- Powiedziałem, że macie być cicho! - warknął. - Powiesz mi później.



Uległam i tylko przeszłam go pełnym gniewu spojrzeniem, gdy otwierał książkę. Trzymając ją w rękach, lecz nie patrząc w nią, zaintonował dziwną litanię imion:

- Eloah Va-Daath, Elohim Gibor, Elohim Sabaoth, Ehieh, Iod, El, Tetragramatton Elohim, El Adonai Sabaoth, Szaddai, wielka i potężna Dziewiątko, oto ja, Travis Jonathan York, ofiarą krwi i mocą świętej sowy przyzywam was. Żądam, byście się tu stawili wypełnić moją wolę.

Próbowałam dostrzec coś zabawnego w zachowaniu Trávisa, żeby śmiechem pokonać zimny dreszcz, trzęsący mną mimo ciepłej nocy, ale nie było nic wesołego w jego śmiertelnej powadze, przejęciu i w tych dziwacznych, złowróźbnych słowach, które wypowiadał. Jakby oplotła mnie ich pajęcza sieć, bo podczas gdy Travis powtarzał zaklęcie jeszcze dwukrotnie, nie poruszyłam się i nie wydałam z siebie głosu.

Luis i Willa także milczeli. Kiedy Travis skończył, bezruch nocy przerwało złowieszcze pohukiwanie sowy, gdzieś w oddali. Machinalnie zaczęłam liczyć. Siedem razy. Magiczna liczba. Ożyły w mojej pamięci historie z dzieciństwa. Ale w tym, co robił Travis, nie było nic dziecinnego.

Z ciemności wyłoniło się samotne, wirujące białe pióro. Opadło na medalion i czubkiem dudki dotknęło okręgu, zabarwiając się na czerwono. Zachłysnęłam się powietrzem zrozumiawszy nagle, że jest to czerwień krwi. Zrobiło mi się słabo, ale nie byłam w stanie odwrócić spojrzenia.

Naprzeciwno, w miejscu, gdzie z uniesionymi rękami stała Willa, coś błysnęło i wybiło mnie z transu. Spojrzałam nieprzytomnie w tamtą stronę; początkowo nie skojarzyłam złotego punktu z kocim oczkiem w jej pierścionku.

Nagle świeca zamrugwała i zgasła, złoty błysk wsiąkł w mrok i zostaliśmy w kompletnej ciemności, bez księżyca, gwiazd i znajomych świateł miasteczka w dole. Mój niepokój zamienił się w czyste przerażenie. Willa krzyknęła, Luis zaklął. Travis zaniósł się niesamowitym, triumfalnym śmiechem, od którego włosy zjeżyły mi się na głowie.

Jaskrawy zygzak przeciął powietrze i z łoskotem uderzył w skałę, gwałtowny podmuch rzucił mnie na ziemię. Oszołomiona, w potokach

ulewy leżałam bezradnie na plecach<sup>1</sup>; strwożona, niezdolna do wykonania najmniejszego ruchu ani wyduszenia dźwięku ze ściśniętego gardła. Oblegająca nas czerń wzmagała poczucie czegoś straszliwego, koszmaru, którego nie potrafiłam nazwać.

W ciemności nie widziałam nikogo. Otworzyłam usta, żeby zawołać Luisa, ale zawahałam się. Chociaż musiałam być na Mount Sangre i zdawałam sobie z tego sprawę, miałam nieodparte wrażenie, że jestem w dziwnym, potwornym miejscu, gdzie coś groźnego wyciąga po mnie macki. Gdybym się odezwała, byłabym zgubiona. Wiedziałam, że muszę uciekać. Ale dokąd? W którą stronę? Wszędzie panował gęsty mrok. Nie było najmniejszego znaku, który wskazałby bezpieczną drogę.

Zaciskając zęby, by zdusić błaganie o pomoc, wyciągnęłam przed siebie stopę, ostrożnie próbując odnaleźć nią twardość kamienia. Gdy wreszcie dotknęłam skały, obróciłam się plecami do niej i zaczęłam się pomału odsuwać. Początkowo starałam się poruszać cicho, niepostrzeżenie. Trwoga przemogła, jednak we mnie wszystkie inne odruchy, rzuciłam się więc w obłąkańczą ucieczkę prosto przed siebie, byle w dół. Potykałam się, padałam, by po chwili znów się zerwać do biegu, aż w końcu wpadłam na dole na starą szopę. Uderzyłam głową tak mocno, że przez chwilę w zamroczeniu musiałam oprzeć się o ścianę, żeby utrzymać się na nogach.

Potem przemoczona do cna, dysząca z bólu i przerażenia, na chybił trafił zaczęłam obmacywać pełne zadziórów deski, póki nie znalazłam ziejącej paszczy wejścia pozbawionego wrót. Wsunęłam się do środka. Chociaż dach miejscami przeciekał, z prawdziwą ulgą powitałam schronienie przed ulewą. W środku zdołałam dojść do siebie na tyle, że pomyślałam nieco jaśniej.

Paraliżująca umysł trwoga, jaka chwyciła mnie na szczycie Mount Sangre, ustąpiła miejsca zwykłemu przerażeniu. Mrok burzy nadal rozstrajał mi nerwy, ale nie bałam się już, że w pobliżu czyha nieznane, potworne niebezpieczeństwo. Gdyby w szopie, do której weszłam, ktoś był, już by mnie napadł albo inaczej zdradził swoją obecność, uznałam więc, że jestem tam sama. Odzyskałam dość odwagi, by zawołać w czerń nocy:

- Luis! Willa! Travis!

Wydało mi się, że słyszę odległe wołanie. Moje imię? Niepewna, raz po raz powtarzałam okrzyk. Już miałam zrezygnować, gdy bardzo blisko usłyszałam głos Luisa.

- Valoro, gdzie jesteś?
- W szopie.

Potknął się na progu i wszedł. Przyłgnęłam do niego z wdzięcznością. Otoczył mnie ramionami i staliśmy tak w milczeniu, oboje przemoknięci do suchej nitki. Ciepło jego ciała i siła ramion dodawały mi otuchy, stwarzały poczucie bezpieczeństwa. Luis broniłby mnie, nie pozwoliłby, żeby stało się coś złego.

- Gdzie reszta? - spytałam w końcu.
- Ciebie znalazłem pierwszą - odparł, rozluźniając uścisk.

Przytuliłam się do niego, z niechęcią myśląc o opuszczeniu tego bezpiecznego portu.

- Tam na górze - szepnęłam. - To było okropne.
  - Nie powinienem był mu pozwolić - mruknął Luis.
- Zesztywniałam, bo przez głowę przebiegła mi straszna myśl.
- Nie sądzisz chyba, że ten piorun trafił Willę albo Trávisa?
  - To nie był piorun.

Odskoczyłam i spojrzałam na niego szeroko rozwartymi oczami, mimo że w ciemności jego twarz była niewidoczna.

- To musiał być piorun. Zaraz potem zaczęło lać.
- Coś, co było tam uwięzione, wyrwało się z tej skały.
- O czym ty, u licha, mówisz? - spytałam z naciskiem.
- Mój dziadek opowiadał mi, że Mount Sangre jest miejscem zła.

Travis uwolnił to zło.

Nie mogłam tego przyjąć. Travis bez wątpienia wykuł na pamięć zaklęcia ze starej książki, której za żadne skarby nie powinnam była mu pożyczać, a potem, tuż przed nadejściem burzy, straszył nas różnymi bełkotliwymi bredniami... Ale żeby miał uwolnić zło? Pokręciłam głową i właśnie miałam zacząć spór z Luisem, kiedy usłyszałam, jak woła mnie Travis.

Odwróciłam się do drzwi.

- Jesteśmy w szopie - krzyknęłam do niego. W chwilę później Travis znalazł się w środku.

- Gdzie jest Willa? - spytałam ostro, czując jednocześnie wyrzuty sumienia i lęk o nią. Gdybym jej nie zaprosiła, biedna Willa poszłaby sobie bezpiecznie na randkę z Jackiem i nic by jej nie groziło.

- Nie wiem, gdzie jest Willa - powiedział Travis.

- Musimy natychmiast ją znaleźć! - krzyknęłam i wyskoczyłam z szopy. Księżyc przebił się akurat przez rzednące chmury.

Deszcz prawie ustał, tylko jeszcze trochę mżyło. Przy rozbłyskującym co chwila świetle księżycy szukaliśmy Willi, nawołując ją po imieniu, ale bez skutku.

- Pewnie tymczasem siedzi już w domu - powiedział Travis niedługo potem.

Bardzo chciałam mu uwierzyć, iść do domu i zobaczyć Willę, oczekującą na mój powrót... Ale jeśli jej tam nie ma?

- Lepiej najpierw wejdźmy na wzgórze i sprawdźmy - powiedziałam mimo wewnętrznego oporu. Nie miałam ochoty nigdy więcej wspinać się na Mount Sangre.

Poszliśmy jednak wszyscy troje. I im bliżej wierzchołka, tym gorsze miałam przecucia. Mogłam nie wierzyć w zło Miwoków, o którym mówił Luis, ale zdjął mnie taki strach, że gdy próbowałam zawołać Willę, żaden dźwięk nie przeszedł mi przez zdrewniałe gardło. Kiedy dotarliśmy na szczyt, chmury zakryły księżyc. Otoczyła nas atramentowa ciemność. Wyciągnęłam obie ręce w bok, chcąc złapać się Luisa albo Trávisa, ale trafiłam w pustkę. Miałam wrażenie, że obaj zapadli się pod ziemię.

Niezdarnie parłam naprzód, desperacko wymachując rękami w poszukiwaniu przynajmniej jednego z chłopaków. Potknęłam się jednak o jakąś przeszkodę i runęłam przed siebie jak długa. Kiedy gorączkowo próbowałam się pozbierać, poczułam pod dłonią czyjeś włosy, potem skórę. Drżącymi palcami wymacałam zarys nosa, ust, ucha. Kiedy dotknęłam małego kolczyka, zrozumiałam, na co upadłam. Na ciało Willi.

Księżyc wypłynął zza chmury. Z konsternacją stwierdziłam, że Willa jest kompletnie naga. Byłam pewna, że nie żyje. Sięgnęłam po jej dłoń, serce waliło mi jak oszalałe. Willa leżała niedaleko skały na szczycie, zupełnie jakby w ogóle nie ruszyła się, kiedy podmuch po grzmocie

odrzuć ją w to miejsce. Piorun nie mógł jednak zderzyć z niej ubrania. Ku mojej uldze jęknęła, gdy ujęłam ją za rękę. Chłopcy podbiegli, Luis zebrał jej porzucane ubranie. Było mokre, ale nie chciałam, żeby Willa leżała naga, więc ją okryłam. Mimo że bardzo się starałam, nie zdołałam doprowadzić jej do przytomności. Było jasne, że Luis i Travis muszą znieść ją do domu.

Pomogli mi naciągnąć Willi sukienkę przez głowę i dopiero potem podnieśli ją z ziemi. Dzięki Bogu moja babka nie była już w wieku, gdy słuch jest najostrzejszy, bo inaczej musielibyśmy stanąć z nią twarzą w twarz, gdy wnosiliśmy Willę do domu. Usłyszała nas jednak Delia i zeszła na dół. Zastała nas w kuchni, gdzie debatowaliśmy nad wezwaniem lekarza.

- Co to wszystko znaczy? - spytała, podpierając ręce na biodrach. Jeden rzut oka na Willę wystarczył jej za odpowiedź. - Chłopcy, zanieście ją prosto do pokoju... Pokażę wam drogę.

Kiedy Willa leżała już na łóżku, Delia zaczęła przeganiać Luisa i Trávisa, ale ją powstrzymałam.

- Oddaj mi książkę i to, co w niej było - zażądałam, zwracając się do Trávisa.

Zawahał się, ale wyciągnął książkę zza pazuchy.

- Medalionu w niej nie ma - powiedział. - Zgubiłem go razem z torbą.

Położyłam przemoczony tom na stole w kuchni i powiedziałam:

- Medalion należy do babki Faith. Lepiej go znajdź.

- Jutro poszukam - zapewnił.

Byłam zatroskana przede wszystkim stanem Willi, mimo to zauważyłam, że Travis wygląda na zamroczonego, w odróżnieniu od Luisa. I ode mnie też, gdyż co prawda byłam roztrzęsiona i wystraszona, ale na pewno nie zamroczona.

- Zajmę się Willą - powiedziała do mnie Delia. - Ty zejdz z chłopcami na dół i zamknij za nimi drzwi, a potem zdejmij to mokre ubranie.

Z ulgą składając odpowiedzialność na barki kogoś starszego i mądrzejszego, odprowadziłam Luisa i Trávisa, pobiegłam do mojego pokoju, szybko się rozebrałam, narzuciłam na siebie szlafrok i wróciłam

do pokoju Willi. Delia zdjęła z niej mokrą sukienkę. Dziewczyna znowu jęczała.

- Jak sądzisz, co jej jest? - spytałam bardzo zaniepokojona.

Delia spojrzała na mnie surowo.

- To ty powinnaś wiedzieć.

Złożyłam ostro okrojone sprawozdanie z tego, co się stało, kończąc:

- Przypuszczam, że mógł ją trafić piorun.

- Nigdy nie słyszałam o piorunach ściągających bieliznę spod sukienki.

Przygryzłam wargę. Nie wspomniałam między innymi o tym, że znaleźliśmy Willę nagą.

- Nie - jęknęła Willa. - Nie, nie, nie.

- Wszystko w porządku, mała - szepnęła Delia. - Jesteś bezpieczna w swoim własnym łóżku. - A do mnie powiedziała: - Przynieś jej jakąś koszulę nocną.

Wspólnym wysiłkiem ubrałyśmy Willę. Nie broniła się, ale też nie pomagała. Była półprzytomna i wyraźnie nie wiedziała, gdzie jest.

Miałam właśnie spytać Delię, czy nie uważa, że powinnyśmy wezwać lekarza, kiedy Willa otworzyła oczy i skupiła wzrok na mnie.

- Valora - wyszeptała.

Usiadłam na łóżku i pochyliłam się nad nią.

- Jak się czujesz? - spytałam.

- Wszystko mnie boli. - Jej głos nabrał trochę mocy. Widząc Delię, zamrugowała. - Czy zachorowałam?

Zbiła mnie tym z tropu.

- Nie pamiętasz, jak wyszliśmy wieczorem? - spytałam.

- Coś tak jakby, ale niedokładnie. Co robiłyśmy?

- Nie pamiętasz wspinaczki na Mount Sangre?

- Nie. A weszliśmy tam?

Wypytywałam ją, zanim Delia nie położyła temu kresu mówiąc, że Willa musi odpocząć.

- Pomogę ci się umyć i dam aspiryny z ciepłym mlekiem na sen - powiedziała do Willi. - A co do ciebie, panienko, zjeżdżaj do łóżka w tej chwili. Nie wątpię, że rano pani Faith będzie miała z tobą do pogadania.

Od początku wiedziałam, że Delia powie wszystko mojej babce.

Musiałam przed nią stanąć, na razie miałam jednak kilka godzin wytchnienia.

Położyłam się wyczerpana, ale gdy tylko zasypiałam, natychmiast zrywałam się w panice i z przerażeniem rozglądałam po ciemnym pokoju. W końcu zostawiłam zapaloną lampę na nocnej szafce i przysnęłam. Zaraz jednak opadły mnie jakieś bezimienne potwory i ścigały bez końca. Obudziłam się późno, z walącym sercem. Ledwie mogłam uwierzyć, że jestem naprawdę w swoim pokoju, do tego bezpieczna.

Zsunęłam się z łóżka i na palcach poszłam do pokoju Willi. Była pogrążona we śnie. W odróżnieniu ode mnie zdawała się spać spokojnie. Nie marzyłam o spotkaniu z babką Faith, więc narzuciwszy coś na siebie, tylnymi schodami zwlokłam się do kuchni, gdzie była Delia.

- A więc wstałaś - powiedziała na mój widok.

- Nie spałam najlepiej.

- Kłamstwa źle robią na sen - stwierdziła Delia, opierając ręce na biodrach. - Kiedy pomagałam Willi wejść do wanny i umyć się, oświeciło mnie, co się stało zeszłej nocy.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. Nie rozumiem. Delia zmrużyła oczy.

- Ktoś ją napastował, ot co. I nie mów mi, że o tym nie wiedziałaś. Rozszyfrowanie wypowiedzi Delii zabrało mi dłuższą chwilę.

- Czy chcesz powiedzieć, że Willa... została zgwałcona?

- Nie lubię używać tego słowa, ale właśnie tak. Nie ma dwóch zdań.

Przerażenie na mojej twarzy musiało przekonać ją, że naprawdę nie wiedziałam, bo jakby odrobinę zmiękła.

- Ona nic z tego nie pamięta. Jeśli mówisz prawdę, że trzeba było jej szukać, to przypuszczam, że ta plugawa bestia, która się na nią rzuciła, musiała nadejść, kiedy Willa była sama.

- O mój Boże - szepnęłam. Nogi ugięły się pode mną i opadłam na krzesło, zakrywając oczy rękami. Słowa Delii nadal brzmiały mi w uszach.

Plugawa bestia. Delia miała rację. Każdy człowiek zdolny do czegoś tak ohydneho zasługuje na miano bestii.

- Ale oprócz Trávisa i Luisa nikogo tam nie było - wyrzuciłam z

siebie, patrząc Delii w oczy.

Delia wzruszyła ramionami.

- Z tego, co mi mówiłaś, mogli to zrobić obaj. Podobno dość długo byłaś sama w tej szopie.

Luis? Travis? Nie mogłam w to uwierzyć! I wtedy przypomniałam sobie dźwięk motoru, słyszany z Mount Sairgre.

- Jack Norton! - wykrzyknęłam. - To mógł być Jack. Willa zerwała z nim randkę, żeby mi towarzyszyć, więc mógł być wściekły i pójść za nami.

- Im bardziej myślałam o winie Jacka, tym bardziej podobało mi się takie wyjaśnienie.

- Możliwe - obojętnie przyznała Delia. - Jeśli rzeczywiście poszedł za wami. Ale tamtych dwóch też nie można wykluczyć. Są trzy możliwości. Chyba że ktoś obcy włóczył się tam po nocy, w co wątpię.

- Może Willa sobie przypomni - wyraziłam nadzieję.

- Pani Faith czeka na ciebie w saloniku - oznajmiła Delia. -

Powiedziała, że możesz najpierw zjeść śniadanie.

Pokręciłam głową wiedząc, że nie będę w stanie wmusić w siebie ani kęsa. Wzięłam głęboki oddech i powłócząc nogami skierowałam się do saloniku, gdzie przy stoliku ze szklanym blatem siedziała babka. Nigdy nie widziałam na jej twarzy tak srogiej i ponurej miny.

- Siadaj, Valoro - nakazała. Usłuchałam.

- Delia opowiedziała mi całą tę haniebną historię - rzekła ostro. - Jestem tobą bardzo rozczarowana. Głęboko rozczarowana.

Nie mając nic na swoją obronę, nie próbowałam się odzywać.

- Jutro wracasz do domu - ciągnęła babka. - Załatwiłam ci dojazd na lotnisko w Visalii, przelot stamtąd do Arizony i powiadomiłam matkę oraz ojczyma, żeby cię oczekiwali. Powody wyjaśnisz im sama. - Podniosła książkę, którą dotąd chowała na kolanach. Rozpoznałam ją i zbladłam.

- Rozumiem, że dopuściłaś do tego, żeby Travis York zabrał tę książkę z biblioteki bez mojego pozwolenia - ciągnęła.

- Wiem, że nie powinnam była tego robić - wybąkałam.

- Ale zrobiłaś. Książkę mam, ale gdzie jest medalion, który był w środku?



- Travis powiedział, że zgubił go w nocy na... na Mount Sangre.

- Tak podejrzywałam, dlatego wysłałam tam Jeda na poszukiwania.

Zanim poszedł, przyniósł mi to. - Uniosła z kolan prostokątne zawiniątko w bibułce i położyła je na stole. - Czy to należy do ciebie?

Skinęłam głową wiedząc, że babka oddaje mi prezent od Luisa, który zostawiłam w skrzynce na drzwiach stajni.

- Wobec tego proszę to zabrać z moich oczu. Nie będę już więcej zapraszać cię do Szkarłatnego Kamienia. - Skinęła mi dłonią mniej więcej w ten sam sposób, w jaki odganiała kota. -To wszystko.

Podniosłam się z krzesła.

- Przepraszam - wymamrotałam.

- Jest o wiele za późno na żal. Żegnaj, Valoro. Nie wiem dlaczego, ale łzy cisnęły mi się do oczu, gdy bąkając słowa pożegnania brałam ze stołu książkę, a potem opuszczałam salonik. Nie rozumiałam, dlaczego płaczę, skoro nie mogłam się doczekać chwili, w której na dobre zerwę z przeżytym koszmarem.

W swoim pokoju odpakowałam prezent od Luisa: mały tomik wierszy. Otworzyłam go na dedykacji; „Z życzeniami szczęścia w dniu osiemnastych urodzin dla Valory od Luisa”, i zaczęłam płakać, tym razem ze wzruszenia. Tak jak powiedziała babka, na żal było za późno. Nie chcąc mieć żadnych wspomnień związanych z Luisem czy Travlsem, zostawiłam książkę w pokoju, nie przeczytawszy ani jednego wiersza.

We wrześniu moja matka wyjechała z ojczymem na kilkuletni pobyt w Londynie, a ja zaczęłam studiować na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Cruz. W wigilię Bożego Narodzenia w mieszkaniu, które wynajmowałam wspólnie z inną studentką, pojawiła się Willa.

Mimo że studia oderwały mnie od smutnego rozpamiętywania tego, co stało się na Mount Sangre, nie mogłam wymazać tamtej nocy z pamięci i często miewałam złe sny. Na widok Willi ujrzałam wszystko jeszcze raz, jakbym znowu tam była, tym bardziej, że przypomniał mi o tym jej stan.

- Twoja babka wini mnie za tę ciążę - powiedziała. - Próbowałam wytłumaczyć jej, że nie wiem, jak to się stało. Przysięgałam, że Jack i ja nigdy nie szliśmy na całość, ale nie chce mi wierzyć. Jack też jest na

mnie wściekły. Twierdzi, że dziecko na pewno nie jest jego i nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Nikt mi nie pomoże. Nie mam nawet gdzie mieszkać.

Moja współmieszkanka ze współczuciem odniosła się do ciężkiej sytuacji Willi, więc wzięłyśmy ją na trzecią. Stwierdziłam jednak, że Willa się zmieniła. Był to cień dziewczyny, którą znałam. Utrzymywała, że z tamtej nocy na Mount Sangre nic nie pamięta.

- Straciłam wtedy mój szczęśliwy pierścionek - powiedziała mi żałośnie. - Ten śliczny, który mi dałaś, z kocim oczkiem. Od tej pory pech mnie nie opuszcza.

Poza tym nie chciała -rozmawiać o tamtej nocy. Nie wiedziałam, w co wierzyć. Jeśli Jack mówił prawdę, to nie był ojcem dziecka. Znaczyło to, że winien jest albo Travis, albo Luis. Pozostawała mi tylko nadzieja, że żadnego z nich nie zobaczę więcej na oczy.

- Chcę, żebyś była opiekunką tego dziecka, kiedy przyjdzie na świat - nalegała Willa i uspokoiła się dopiero wtedy, gdy skontaktowałam się z prawnikiem i zawczasu dopełniłam wszystkich formalności.

Urodziła córkę dwudziestego dziewiątego marca, a trzydziestego zmarła, trzymając mnie za rękę.

- Zawsze było mi przykro, że nie mam nic ładnego, co mogłabym ci dać - szepnęła w ostatniej chwili.

Dusiły mnie łzy, nie byłam w stanie nic odpowiedzieć. Wiedziałam, że Willa umiera i zostawia mi bezcenny dar: Tibbie. Byłam pewna, że nigdy nie dostałam niczego, co miałoby dla mnie większe znaczenie, choć jednocześnie rozumiałam, że dar ten nie pozwoli mi nigdy na dobre zerwać z przeszłością.

---

## ***ROZDZIAŁ SZÓSTY***

---

Wspomniawszy śmierć Willi poczułam, jak łza uwalnia mi się spod zaciśniętej powieki i spływa po policzku.

- Valoro, co się stało?

Otworzyłam oczy i znów zobaczyłam skalne sanktuarium oraz pochylającego się nade mną Luisa. Uniósł palec wskazujący i stał z mojego policzka samotną łzę.

- Przypomniało mi się, jak umierała Willa - szepnęłam. – Widziała Tibbie tylko raz... - Nie mogłam mówić dalej.

Luis przyciągnął mnie do siebie, a ja położyłam głowę na jego ramieniu i próbowałam stłumić szloch.

- Studiując medycynę przeszedłem bardzo ciężkie chwile, a przecież nie miałem żadnych dodatkowych obowiązków - powiedział. - Zastanawiałem się, jak radzisz sobie z wychowywaniem dziecka podczas studiów. Jak tego dokonałaś?

Gdyby okazał mi współczucie, zapłakałabym mu całą koszulę, ale tym konkretnym pytaniem pohamował mój potok łez. Podniosłam głowę i odsunęłam się od niego, nagle uświadamiając sobie obecność dziewczynek pluszczących się w sadzawce.

Puścił mnie, ale nie całkiem. Ramieniem nadal otaczał moje ramiona.

- Bardzo mi pomogli dobrzy koledzy, poza tym miałam wsparcie matki i ojczyma - wyjaśniłam. - Moi starzy uznali, że oszalałam, ale dosyłali pieniądze, kiedy byłam w potrzebie. Zawsze też znalazł się ktoś, kto chętnie posiedział z dzieckiem. No i Tibbie miała w tym swój udział. Była bardzo kochanym szkrabem i uwielbiała wszystkich dokoła.

- I tak musiało to być trudne.

- Czy ktoś nie powiedział kiedyś, że trudne jest wszystko, co warto robić?

Luis ukradkiem spojrzął na dziewczynki.

- Tibbie istotnie robi wrażenie zdrowego i szczęśliwego dziecka.

Miałam pretekst, żeby wspomnieć o jej dziwnej dolegliwości, ale postanowiłam trzymać język za zębami. Jeśli żaden ze specjalistów, którzy badali Tibbie, nie potrafił znaleźć przyczyny jej ataków, to nie mogłam oczekiwać tego od Luisa. Nawet gdyby był jej ojcem.

Zaniepokojona tą myślą poderwałam się, odpychając jego kojące ramię. Chcąc zamaskować gwałtowność ruchu, przeciągnęłam się, jakbym zeszywniała od zbyt długiego siedzenia.

Luis wstał, nieświadom mojego odwrotu.

- Jest bardzo podobna do Willi - powiedział. Skinęłam głową.
- Ma trochę ciemniejsze włosy, ale poza tym rzeczywiście.

Powiodłam wzrokiem po kruczoczarnych włosach Luisa. Travis miał włosy jasne, prawie takie jak Willa, a Jack, o ile dobrze pamiętałam, też był jaśniejszy niż Luis.

Przypomniałam sobie o sieroctwie Willi. Nie można więc było stwierdzić, jakie włosy mogli mieć jej rodzice i dziadkowie. Luis patrzył na Tibbie i Soso, nie na mnie. Kiedy zauważyłam, że się uśmiecha, podążyłam za jego wzrokiem. Trzymając się za ręce, dziewczynki brodziły w sadzawce, śmiały się przy tym i okropnie pryskały.

- Duchowe siostry - rzekł Luis.

Może i miał rację. Tibbie odnosiła się do świata przyjaźnie, ale nigdy nie widziałam, żeby kogoś tak szybko i bez reszty zaakceptowała.

- Och, to się zdarza - ciągnął Luis, jakby zdawało mu się, że musi mnie przekonać. - Ludzie z mojego plemienia wierzą, że poczucie bliskości ma swoją przyczynę i pochwalają takie przyjaźnie. Często wykształcają one silniejszą więź niż między krewnymi.

- Soso to bardzo bystra i sympatyczna dziewczynka.
- Dziadek mówi, że ma talent do uzdrawiania. Już uczy ją tego, co sam umie.

- Tak jak uczył ciebie? - spytałam.

- Niezupełnie. Mnie próbował nauczyć więcej niż tylko uzdrawiania, ale przeszkodziły lata, które spędziłem w college'u i szkole medycznej.

- Czy Biegnący Lis nie chciał, żebyś był lekarzem?
- Przeciwnie, sam mnie zachęcał, kiedy przyszła moja szansa.

Dziadek dobrze zdaje sobie sprawę, jak desperacko nasi ludzie potrzebują cudów współczesnej medycyny. Uznał, że nie ma nikogo, kto

mógłby czynić je lepiej niż ktoś spośród nas. Ale jako lekarz mam za mało czasu, żeby być jednocześnie szamanem Miwoków, i on o tym wie.

Wytrzeszczyłam na niego oczy,

- Ty, szamanem?

Luis wzruszył ramionami i zmienił temat.

- Przywiozę Soso z wizytą do Tibbie, kiedy tylko będę mógł - powiedział.

- Obie powinny się ucieszyć. Jeśli rodzice nie mieliby nic przeciwko temu, myślę, że Soso mogłaby spędzić u nas noc.

- Nie ma sprawy.

Mimo cienia rzucanego przez olbrzymi platan, poczułam intensywne ciepło. Lata w tym rejonie są gorące. Otarłam czoło papierową chusteczką i powiedziałam:

- Ochłodziłabym się trochę.

- Chodźmy do dziewczynek, pobawimy się z nimi - zaproponował z uśmiechem. Entuzjastycznie przyjął ten pomysł.

Nieco później, gdy wszyscy byliśmy już dokładnie opryskani, Luis oznajmił, że czas wracać, bo musi jeszcze zrobić obchód. W Naranadzie nie było szpitala, więc pacjentów przewożono do Thompsonville, odległego o dwadzieścia minut jazdy samochodem.

Gdy zostawiliśmy Soso w osadzie Miwoków, Tibbie zdrzemnęła się na tylnym siedzeniu. Przez chwilę Luis prowadził w milczeniu, bez wątpienia tak samo jak ja rozkoszując się ciepłym wiatrem, przewiewającym mokre ubrania.

- Jak długo zamierzasz zostać w Naranadzie? - spytał w końcu.

Zdrętwiałam, spłoszona wizją następnej kłótni.

- Do końca wakacji Tibbie, czyli do początku września - odparłam ostrożnie.

Uśmiechnął się spoglądając na mnie spod rzęs.

- Czy naprawdę sądzisz, że tak długo będę przyzwoicie się zachowywał?

Nieświadomie poddałam się fali pożądania, która przelała się przeze mnie, oszalamiając swą siłą. Nagle mimo woli zapragnęłam, żeby Luis natychmiast skończył z przyzwoitością.

Opamiętałam się jednak i zdusiłam to pragnienie. Nie mogłam

dopuścić do głosu takich uczuć, póki wisiało nade mną złowrogie widmo przeszłości.

- To twój problem - powiedziałam cierpko.

- Mylisz się. Dopóki mieszkasz tutaj, to jest nasz problem. Tamtego wieczoru w świątyni dumania oboje przekonaliśmy się, że żar, który w nas jest, gdy się spotykamy, łatwo może wybuchnąć wielkim ogniem. Wiem, że kiedy miałaś osiemnaście lat, to uczucie cię przerażało, ale już nie jesteś dzieckiem. Ani ja.

- Ja potrafię panować nad swoimi uczuciami - syknęłam przez zaciśnięte zęby. - A ty zajmij się swoimi.

Zamilkł na tak długo, że w końcu rzuciłam spojrzenie w jego stronę. Patrzył na mnie z szerokim uśmiechem.

- Przestań udawać babkę Faith ~ powiedział. - Bądź uczciwa.

- Jeśli znowu próbujesz skłonić mnie do wyjazdu z Naranady, to wcale mnie to nie bawi.

Jego uśmiech nagle zgasł.

- Już nie próbuję. Twoje sny, wraz z piórami, które dostałaś dla ostrzeżenia, przekonały mnie, że nie będziecie z Tibbie bezpieczne w żadnym miejscu.

- Ale dlaczego? - wykrzyknęłam. - Powiedz mi...

- Czemu krzyczysz, mamó? - spytała sennie Tibbie z tylnego siedzenia. - Kłócisz się z Luisem?

- Coś w tym rodzaju - odparł Luis. - Ale nie ma się czym przejmować.

- Wolałabym raczej posłuchać radia niż kłótni - powiedziała Tibbie.

- Zrobione. - Luis włączył radio i zaczął kręcić gałką, aż w końcu znalazł jakąś stację nadającą muzykę rockową, którą Tibbie zaaprobowwała czynnie, bo zaczęła śpiewać do wtóru. Rozdrażniło mnie to, że Luis się do niej przyłączył. Czy jest coś, na czym on się nie zna?

Luis z Tibbie śpiewali, a ja dąsałam się przez całą drogę do domu.

Luis wysadził nas przy Szkarłatnym Kamieniu, rzucił radośnie „Do zobaczenia”, i odjechał.

Położyłam Tibbie spać, przebrałam się w nocną koszulę i wyciągnęłam się na łóżku z jakimś powieścidle, zdecydowana nie rozmyślać nad tajemniczymi ostrzeżeniami Luisa. W końcu poczułam

senność i zgasiałam światło. Zasnęłam natychmiast. Zbudziły mnie promienie porannego słońca, wpadające przez okno. Usiadłam na łóżku, wyraźnie czując zapach konwalii, który stopniowo słabł, podczas gdy próbowałam sobie przypomnieć, co mi się śniło. Zobaczyłam, że nie ma żadnych piór na pościeli, więc odetchnęłam z ulgą. Przedwcześnie. Piórko leżało na podłodze, na wysokości moich stóp. Było szaroniebieskie. W chwili, gdy je zobaczyłam, w głowie zadźwięczały mi słowa, które, jak mgliście sobie przypominałam, babka Faith wypowiedziała ostatniej nocy w moim śnie: „Strzeż się sprytnego złodzieja”.

Podniosłam piórko i obróciłam je w palcach. Uznałam, że należy do błękitnej sójki. W górach ptaki te nazywano obozowymi rabusiami, miały bowiem zwyczaj sfruwania z sosen i odlatywania z kawałkami pożywienia, które dostrzegły z wysoka.

Pewną ręką włożyłam piórko do szuflady, na miejsce obok dwóch poprzednich. Wprawdzie jego widok zdenerwował mnie, ale właściwie się go spodziewałam. Czyż Biegnący Lis nie zapowiedział, że w sumie będą cztery? Czekало mnie więc jeszcze jedno. Mocno wątpiłam, czy szaman Miwoków potrafi nadać im jakiegokolwiek znaczenie, ale mimo to wydawało mi się, że w swoich przewidywaniach się nie mylił. Cztery piórka, nie mniej i nie więcej. Miałam nadzieję, że wraz z tym ostatnim skończą się ostrzegawcze sny.

Nie byłam skłonna przyjmować nadprzyrodzonych wyjaśnień, ale musiałam przyznać, że pochodzenie piór daje mi do myślenia. Zdawało się wysoce nieprawdopodobne, by koliber, pąsowoboki kacyk i błękitna sójka nie tylko wleciały przez komin do mojego pokoju, ale w dodatku znalazły powrotną drogę, zostawiając przedtem dokładnie po jednym piórze.

Zjawiska niedostępne zmysłom zawsze traktowałam nieufnie, dlatego było mi niemiło ze świadomością, że muszę dopuścić coś, co dotąd uważałam za niemożliwe. Nie chciałam pogodzić się z niczym, co istniałoby poza sferą, którą zwykłam uważać za rzeczywistość.

Tibbie wpadła w podskokach do mojego pokoju.

- Zaraz po śniadaniu Idę jeździć na Mistym - oznajmiła. - Jed mówi, że umiem już dość, żebym mogła poradzić sobie sama, tylko mam się nie

oddalać. Będę blisko domu i obiecuję nie jeździć po żadnej drodze. Pozwolisz mi?

Skinęłam głową. Na słowie Tibbie można było polegać. Kiedy pobiegła się ubrać, przeleciało mi przez myśl, że od przyjazdu tutaj miała tylko jeden atak. Zbyt wiele razy przeżyłam już rozczarowanie, by uwierzyć, że więcej nawrotów nie będzie, ale cieszyło mnie, że w Naranadzie jak dotąd zdarzył się tylko jeden.

Jedowi powiedziałam o tym kłopotcie, byłam więc pewna, że nie spuści Tibbie z oka, nawet jeśli mała ulegnie złudzeniu, że jeździ sama. A przecież mimo troski o nią starałam się zostawiać jej margines wolności.

- Niech się pani nad nią za bardzo nie trzęsie - ostrzegął mnie jej ostatni psycholog - bo inaczej Tibbie będzie miała poczucie, że tłumi się jej inicjatywę i do ataków dojdą następne problemy.

Po śniadaniu Tibbie wypadła z domu jak bomba, rzuciwszy mi przez ramię: „Cześć, mamó”. Powtarzając sobie, że nic jej nie będzie, postanowiłam wrócić do katalogowania księgozbioru Rollandów. Wkrótce to zajęcie całkowicie mnie pochłonęło i z wielkim zaskoczeniem usłyszałam zegar bijący jedenaście razy.

Minęło dwie i pół godziny. Tibbie rzadko jeździła na Mistym dłużej niż godzinę, był więc najwyższy czas, by wróciła do domu. Oczywiście mogła pętać się za Jedem, bo lubiła naszego starego mruka, który znał ranczo jak własną kieszeń, wolałam jednak sprawdzić to osobiście.

- Mała dotąd nie wróciła, panno Valoro - powiedział Jed. - Powiedziała, że nie będzie zjeżdżać z łąki. Przez pewien czas miałem ją na oku, sprawdzałem, czy dotrzymuje słowa, ale potem wziąłem się do naprawiania płotu, bo już dawno miałem to zrobić. Kiedy spojrzałem znowu, nie było po niej śladu. Po kucu też nie.

Chłód przeniknął mi serce, ale powściągnęłam panikę i spytałam:

- Gdzie ją ostatnio widziałeś?

- Na skraju łąki, przy tym gaju figowym.

Właśnie na tę łąkę poszła Tibbie podczas ostatniego ataku. Travis znalazł ją w starej szopie, która kiedyś osłoniła przed deszczem mnie, jego i Luisa po zejściu z Mount Sangre.

Bez zbędnych słów wyminęłam Jeda i pobiegłam na łąkę. Boże, żeby



tylko nic jej się nie stało, żeby była bezpieczna, modliłam się po drodze. Wędrówki Tibbie zawsze budziły we mnie lęk. W Santa Cruz obawiałam się, że może natrafić na zboczeńca. Tu, w Naranadzie, bardziej bałam się nieuchwytnego zagrożenia, którego natury nie znałam.

W pół drogi przez łąkę zobaczyłam Misty'ego. Kłusował w moją stronę, wyraźnie spiesząc do zagrody. Kuc był sam.

- Tibbie! - krzyknęłam wydłużając krok. - Tibbie, gdzie jesteś?

Zdawałam sobie sprawę, że jeśli ma atak, to nie usłyszy wołania, ale mogło też się zdarzyć, że spadła z konia i coś sobie zrobiła.

Nie było żadnej odpowiedzi. Sparaliżowana złymi przeczuciami, dopadłam szopy i rzuciłam się do środka. Tibbie tam nie było. Kiedy wybiegłam z powrotem na łąkę, spojrzałam na Mount Sangre i poczułam na języku kwaśny, metaliczny smak strachu. Nie było innego sposobu, by przekonać się, czy Tibbie poszła na górę, jak samej wspiąć się i poszukać. Ale kiedy miałam zrobić pierwszy krok, nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo przeraża mnie Mount Sangre.

- Tibbie! - wrzasnęłam zdesperowana.

Kiedy przebrzmiało echo odbijające się od okolicznych wzgórz, wydało mi się, że ktoś woła w odpowiedzi. Wstrzymałam oddech, natężyłam słuch i wtedy zauważyłam jakiś ruch pod samym szczytem Mount Sangre. Ktoś machał ręką. Ktoś dorosły. Czy było z nim dziecko? I czy tym dzieckiem była Tibbie?

- Jest ze mną - wołał mężczyzna. Po głosie poznałam Luisa.

Z Luisem? Dlaczego? W napadzie furii zapomniałam o strachu. Dlaczego, na miłość boską, po wszystkich tych ostrzeżeniach, Luis zabrał moją córkę na górę?

Nadal nie mogąc zmusić się do wspinaczki, niecierpliwie czekałam, aż oboje znajdą się na dole. Tibbie pokonała biegiem ostatnie kilka metrów stoku, a kiedy ruszyła w moim kierunku, zauważyłam, że trzyma na rękę jakieś stworzenie.

- Mamo, znalazłam kotka - wołała. - Czy dasz go zatrzymać?

- Czy pozwolisz - poprawiłam machinalnie, otaczając ją ramieniem. Przez cały czas groźnie spoglądałam na Luisa.

- Czy pozwolisz? - powtórzyła cierpliwie.

- Zobaczę. Na razie jestem bardzo zdenerwowana. Przestraszyłaś mnie, oddalając się bez zapowiedzi. Kiedy Misty wrócił sam, nie wiedziałam, co mam myśleć.

Czułam, że Tibbie drętwieje.

- Nie mogłam ci powiedzieć - wymamrotała.

- Dlaczego nie dałeś mi znać? - spytałam gniewnie Luisa, gdy tylko podszedł.

- O czym?

- Że zamierzasz wziąć moją córkę na Mount Sangre. Ze wszystkich...

- Uspokój się - poradził mi. - Nigdzie jej nie zabierałem. Zobaczyłem, jak gramoli się tam sama, więc poszedłem za nią.

Bacznie mu się przyjrzałam.

- Przede wszystkim, co tu robiłeś?

- Wracałem z wizyty. Mam kilku pacjentów przykutych do łóżka, którzy nie mogą przyjść do gabinetu. Jeden z nich mieszka po drodze stąd do farmy Yorków.

- Mamo - powiedziała cichutko Tibbie. - Znowu to miałam. Nie pamiętam, jak zsiadałam z Misty'ego. Nie wiem nawet, gdzie znalazłam tego kotka. Kiedy oprzytomniałam, już go trzymałam.

- Wracamy do domu? - spytał Luis.

Tępo skinęłam głową. Znowu atak. Tym razem zaszła dalej niż do szopy, wspięła się aż na Mount Sangre.

Po drodze minęliśmy Jeda.

- A więc wszystko w porządku - powiedział. Jeszcze raz skinęłam głową, nie mając w tej

chwili siły na wyjaśnienia. Bez słowa dotarliśmy we troje do domu i weszliśmy kuchennymi drzwiami. Luis też, jakby był zaproszony.

- O, wszyscy cali i zdrowi - powitała nas Delia.

- A co tam niesiecie? Kocię, czy dobrze widzę? Tibbie wyciągnęła przed siebie zwierzątko, żeby

Delia mogła dokonać oględzin.

- Podobne do Sombry jak dwie krople wody - powiedziała gospodyni.

Dotąd nie poświęciłam kotu więcej uwagi, ale teraz zauważyłam, że

jest czarny i ma biały pyszczek. Delia miała rację.

- Czy dasz... czy pozwolisz mi go zatrzymać? - spytała znowu Tibbie.

- Ja nie mam nic przeciwko temu - powiedziała Delia - ale decyzja należy do twojej mamy.

- Dobrze, kotek może tu zostać - powiedziałam.

- A ty masz teraz iść do siebie i odpocząć. Zaraz przyniosę ci tacę z lunchem, zgoda?

Tibbie nie protestowała. Ściskając przy sobie wrywającego się kotka, pospieszyła do schodów. Wprawdzie posłuchała mnie tak skwapliwie w nadziei, że nie zauważę przemycanego na górę zwierzaka, ale postanowiłam nic nie mówić na ten temat. Niech raz go weźmie, nic się nie stanie, a będzie miała pociechę, której teraz potrzebuje.

- Czy pan doktor zostanie na lunch? - zainteresowała się Delia.

Spojrzałam pytająco na Luisa. Rzucił okiem na zegarek.

- Chętnie bym został, ale w gabinecie czekają na mnie pacjenci. Muszę się dostać do mojego samochodu. Zostawiłem go kawałek drogi stąd.

Zgodziłam się go podwieźć.

- Opowiedz mi o Tibbie - poprosił, gdy szliśmy do garażu. - Czy wiesz, co jej jest?

- Nikt nigdy nie postawił diagnozy. Słyszałam różne uczone dociekania, od małego napadu padaczkowego z zanikiem pamięci po nieświadome poszukiwanie matki. Ale wiem tylko, że nagle traci kontakt z rzeczywistością, zaczyna dokąś wędrować, a kiedy przytomnieje, nie pamięta ani co robiła, ani dlaczego.

- Kiedy ją dogoniłem, mamrotała „Gdzie to jest?” - powiedział Luis.

- Kotka znalazła już przedtem, bo niosła go z sobą. Wyglądała tak, jakby była w stanie zaniku pamięci. Ponieważ nie sądziłem, żeby było dla niej dobrze chodzić po Mount Sangre, wziąłem ją za rękę i zacząłem sprowadzać. Prawie natychmiast powiedziała: „Nie mogę tego znaleźć”, zamrugła i wymówiła moje imię. Potem zachowywała się normalnie. Czy robiłaś jej kiedyś elektroencefalografię? Badanie prądów czynnościowych mózgu?

Tibbie miała za sobą nie tylko trzy elektroencefalogramy, ale także

tomografię komputerową i inne specjalistyczne badania.

- Wszystkie wyniki są w normie.

- Mój dziadek powiedziałby o niej, że jest nawiedzona przez duchy - stwierdził Luis, gdy wsiadaliśmy do samochodu.

Rzuciłam ukradkowe spojrzenie i przekonałam się, że twarz ma poważną, podobnie jak głos.

- A czy ty byś mu uwierzył?

- Biorąc pod uwagę okoliczności, nie wykluczam, że tak. Willa nigdy nie doszła do siebie po tej nocy na Mount Sangre.

Z całą siłą nacisnęłam hamulec, zatrzymując samochód tak gwałtownie, że tylko dzięki pasom bezpieczeństwa nie wylecieliśmy przez przednią szybę.

- Nie myślisz chyba, że Tibbie jest we władzy tej mrocznej siły, w której uwolnienie, zdaje się, wierzysz.

- W Tibbie nie ma nic mrocznego, nic złego. Wolno ruszyłam naprzód, poruszona do głębi, r- Wobec tego o czym mówisz?

- Określenie „nawiedzona” w przypadku Tibbie oznacza, że ruchami dziewczynki kieruje coś, co znajduje się poza nią. Nazwijmy to siłą. Swymi poszukiwaniami Tibbie ma spełnić wolę albo zaspokoić potrzebę tej siły. Jeśli tak jest, to może za rym stać duch Willi.

Połowa mojego jestestwa buntowała się przeciwko jego słowom, ale druga połowa jakby szeptała: „Czy to możliwe, że Tibbie szuka ojca?”. Jeśli tak, to znaczyłoby, że nie jest nim ani Luis, ani Travis, gdyż obu już spotkała podczas ataku.

Pokręciłam głową. Przekonania Luisa, odziedziczone po Miwokach, były mi zbyt obce, bym miała je przyjąć. Rozumiałam jego sposób myślenia, ale nie mogłam się pogodzić z koncepcją duchów albo jakichś sił zewnętrznych. Willa nie żyje, a duchy nie istnieją.

- Pilnuj jej, Valoro - ostrzegł Luis. - Strzeż jej jak Oka w głowie, szczególnie do czasu wyjazdu z Naranady.

Przynajmniej w jednym zgadzaliśmy się z Luisem co do joty.

- Tak, oczywiście - powiedziałam.

Kiedy zatrzymałam samochód za pojazdem Luisa, odwrócił się do mnie, ujął moją twarz w dłonie i wargami musnął moje usta. Nie wiem, może po prostu myślał o zwyczajowym pocałunku na do widzenia, ale

jeśli tak, to wyszło mu zupełnie coś innego.

Pocałunek stawał się coraz głębszy, a ja całkiem przestałam zauważać przejeżdżające szosą samochody. Mój świat był wypełniony jego zapachem, jego smakiem, cudownym dotykiem jego ust.

Oderwał je o wiele za szybko. Nadal jednak trzymał w dłoniach moją twarz. Spojrzał na mnie spod półprzymkniętych powiek.

- Dlaczego dziesięć lat temu powiedziałaś, że nie chcesz mnie nigdy więcej widzieć? - spytał zmienionym głosem. - I dlaczego, do diabła, ci uwierzyłem?

Wyskoczył na drogę, zanim oprzytomniałam dostatecznie, żeby cokolwiek powiedzieć. Potrzebowałam kilku chwil na wyrównanie rytmu serca, przyjrzałam się więc, jak Luis przesiada się do swojego samochodu i odjeżdża w stronę miasteczka.

Dziesięć lat temu odcięłam się od wszystkiego, co miało związek z Naranadą, zdecydowana nigdy więcej tu nie wracać. A jednak znów tu byłam.

Willa i moja babka odeszły na zawsze, ale Luis był nadal, tak samo Travis. Pozostały też Szkarłatny Kamień i Mount Sangre. Mimo woli obróciłam głowę, by spojrzeć na to przekłete wzgórze, oddalone teraz o spory kawałek drogi. Dolną jego część zasłaniał cytrynowy gaj rosnący wzdłuż szosy... Nie było widać ani szopy, ani łąki.

Pomyślałam, że aby osiągnąć podnóże Mount Sangre, Luis musiał pójść skrótem przez gaj. Na pewno zajęło mu to ładnych parę minut, nawet jeśli biegł. Zmarszczyłam - czoło zastanawiając się, jak z takiej odległości mógł rozpoznać Tibbie na wzgórzu.

Potem zastanawiałam się jeszcze, skąd we mnie tyle pewności, że Luis mówi prawdę.

Czy komukolwiek, kto miał związek z tamtą nocą na Mount Sangre, w ogóle można wierzyć?

---

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

---

Następnego dnia, po męczącym śnie, w którym płakałam nad zamkniętą trumną, zbudziłam się słysząc śpiewne zawroźnienie Tibbie:

„Widziałam ślady  
Tych co samotnie chodzą  
Gdy noc jak wąż oplata  
Milczące miejsca...”  
Usiadłam raptownie.

- Co ty, na Boga, czytasz? - zapytałam spoglądając na córkę, która siedziała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze przy moim łóżku.

- Wiersz pod tytułem „Duchy nie zostawiają śladów”. Z tej książki, którą Luis dał ci, kiedy byłaś nastolatką. Zdaje mi się, że to o Indianach. Nie bardzo rozumiem, ale od tych słów robi mi się zimno w środku, wiesz?

Wiedziałam. Ale nie myślałam o Indianach. Przypomniała mi się nienawistna ciemność, która oplótła mnie jak wąż tamtej nocy na Mount Sangre...

- Myślałam, że wiersz na przebudzenie sprawi ci przyjemność - dodała. Założyła książkę i chciała ją zamknąć.

- Poczekaj chwilę. Z czego zrobiłaś tę zakładkę? - spytałam.

- Z piórka, które znalazłam na podłodze przy twoim łóżku.

Wyciągnęłam dłoń i Tibbie podała mi tomik. Otworzyłam go i wydobyłam ze środka brązowe piórko z czarnymi plamkami. Nie wiedziałam, jaki ptak je zgubił, ale szybko dołączyłam je do pozostałych w szufladzie.

- To już drugie piórko, jakie tu znajduję - powiedziała Tibbie, wspinając się na łóżko. - Czy naprawdę ptaki wlatują przez przewód kominowy?

Ponieważ nie chciałam rozmawiać o piórkach ani o tym, jak trafiają do mojego pokoju, odwróciłam jej uwagę pytaniem:

- Czy przypadkiem coś nie drapie u ciebie w pokoju?

- Diabło! - wykrzyknęła i zerwała się na równe nogi. Energicznym ruchem szeroko otworzyła drzwi.

Zdziwiłam się, bo tylko udawałam, że coś słyszę, tymczasem kotek przemaszerował przez sypialnię z uniesionym ogonem, jakby był u siebie.

Tibbie wzięła go na ręce i posadziła na moim łóżku.

- Delia mówi, że kocica babki Faith musiała być jego babką albo prababką. Czy Sombra rzeczywiście wyglądała dokładnie tak samo?

- Jeśli dobrze sobie przypominam, to tak. - Zdjęłam kotka z poduszki i postawiłam na podłodze. Szybko zaczął się wspinać na kołdrę. - Diabło wyraźnie czuje się tutaj zadowolony.

- Nie wydaje mi się, żeby przedtem ktoś go miał. Okropnie wychudł mu brzuszek. Delia powiedziała, że musiał być bardzo głodny, bo zjadł tyle, że normalnie starczyłoby dla dwóch takich jak on.

Rozumiejąc, o co tak naprawdę chodzi Tibbie, powiedziałam:

- Trzeba wziąć go do weterynarza na szczepienia, ale nie widzę powodu, żebyś nie mogła go zatrzymać. Chyba że ktoś da ogłoszenie o zgubionym kotku i będzie tam jego opis. Wtedy musielibyśmy zwrócić Diabła prawowitemu właścicielowi.

- Pewnie masz rację. Ale myślę, że to Diabło mnie znalazł, bo chciał być moim kotem. - Tibbie pogłaskała go po grzbiecie, a on wskoczył jej na kolana i zaczął mruścić. - Teraz już nigdy nie będę sama.

- Och, kochanie - powiedziałam ze ściśniętym gardłem. - Nie jesteś sama, masz przecież mnie.

Uśmiechnęła się do mnie, jakby to ona była dorosłą osobą, a ja dzieckiem.

- Wiem o tym. Ale ty jesteś moją matką, a matki muszą kochać swoje dzieci. Nikt oprócz ciebie nie musi mnie kochać, chyba że sam chce. Diabło chciał kogoś kochać i znalazł mnie.

Uściskałam ją, poruszona tymi słowami. Żałowałam, że świat nie jest taki nieskomplikowany, jak w oczach Tibbie.

Kiedy jadłyśmy śniadanie, zadzwonił telefon.

- Doktor Redhawk - oznajmiła Delia.

- Dziś przed południem będę z wizytą w osadzie Miwoków -

powiedział, gdy podeszłam do aparatu. - Jeśli ci to nie zrobi kłopotu, wracając podrzucę do was Soso.

- Tibbie będzie zachwycona - zapewniłam go.

- Wobec tego będę z Soso około południa. - Pożegnał się i przerwał połączenie.

Odłożyłam słuchawkę na widełki, ale wciąż trzymałam na niej dłoń zastanawiając się, dlaczego czuję coś w rodzaju rozczarowania.

Czyżbym oczekiwała, że Luis doda jakieś bardziej osobiste słowa?

Zanim zdążyłam się poruszyć, telefon zadzwonił ponownie. Może Luis zapomniał mi coś powiedzieć? Podniosłam słuchawkę i odezwałam się, choć trochę brakowało mi tchu.

- Tu Travis. Co powiedziałybyś na lunch w Visalii?

Szybko otrzeźwiałam.

- Obawiam się, że dziś nic z tego nie będzie. Do Tibbie ma przyjechać z wizytą przyjaciółka.

- Prawdę mówiąc nie zamierzałem zapraszać twojej córki, mimo że jest urocza. Myślałem tylko o nas.

- Nie mogę ot tak sobie wyjść i zostawić Delii na głowie dwóch dziewczynek. Poza tym, uczciwie mówiąc, nawet gdyby Soso dziś nie przyjeżdżała, też musiałabym odmówić. To są wakacje Tibbie, więc zaproszeniom podlega tylko cały zestaw rodzinny.

- Co, nie przewidujesz żadnego rozpustnego i dekadentckiego życia nocnego?

Roześmiałam się.

- Wątpię, czy Naranada ma w tym zakresie coś do zaoferowania.

- Powiedz mi wobec tego, jak, do diabła, mężczyzna ma się do ciebie zalecać, wciąż mając pod nosem dziecko.

- Może wolałabym, żeby się do mnie nie zalecać. - Dostosowałam się do jego lekkiego tonu.

- Och, najdroższa, złamałaś mi serce. Ale ponieważ odmówiłaś pójścia na lunch, to podejrzewam, że mimo złamanego serca będę musiał wkraść się w twoje łaski, żeby wprosić się na lunch u ciebie. Co o tym sądzisz?

- Jeśli potrafisz znieść dwie małe dziewczynki kręcące się pod nosem, to serdecznie zapraszam.



- *Muchas gracias*, moja najmilsza, choć nieco oporna *señorito*.

Przybędę niosąc dary.

Z uśmiechem na twarzy wróciłam do kuchni, gdzie jadłyśmy z Tibbie śniadanie. Uznałam, że jest tam przytulniej niż w jadalni, a i Delia miała mniej kłopotu, jako że koniecznie chciała nam usługiwać przy stole. Najpierw, co prawda, zgłosiła protest przeciwko tej innowacji, powołując się na panią Faith, która „przewróciłaby się w grobie”, ale potem ustąpiła.

- Zaprosiłam na lunch pana Yorka - zapowiedziałam Delii. - Czyli będą cztery osoby, licząc Soso. Ale nie rób żadnych wielkich przygotowań.

- Przyjedzie Soso? - wykrzyknęła Tibbie. - Kapitalnie!

Podczas gdy omawiałyśmy z Delią jadłospis na lunch, Tibbie zaczęła głośno snuć plany wspólnego spędzania czasu z Soso.

Potem Tibbie, z kotkiem na rękach, poszła za mną do biblioteki. Tam Diabło dziko miauknął, wyrwał jej się z objęć i skoczył na podłogę. Nastroszony zaczął głośno fukać w stronę kominka, a jednocześnie wolno wycofywał się do drzwi. Na progu obrócił się i smyrgnął przed siebie. Tibbie wybiegła za nim.

Podeszłam do kominka i zajrzałam do środka. Było lato, więc krata była czysta, a otwory wentylacyjne zamknięte. Nie mogłam dociec, co tak zaniepokoiło kotka. Wpatrywałam się w ciężkie drewniane płyty po bokach marmurowej fasady, wspierające ozdobny gzyms z orzecha. Gryfy rzeźbione na płytach rzeczywiście były odrażające, wątpiłam jednak, czy kot zwraca uwagę na takie rzeczy.

Nie mógł dotrzeć do Diabła żaden zapach z zewnątrz, gdyż okna były zamknięte i działała klimatyzacja, która stanowiła jedno z rzadkich ustępstw babki Faith wobec współczesnej cywilizacji. Zastanawiało mnie, jak moi przodkowie ze Szkarłatnego Kamienia znosili upały bez dobrodziejstwa tego urządzenia.

Jeśli dobrze pamiętałam, podczas moich wizyt Sombra nigdy nie unikała biblioteki. Diabło w pełni akceptował resztę domu... Cóż groźnego widział właśnie tutaj?

Przypomniałam sobie, jak babka Faith powiedziała mi:

- Wiesz, muszę przyznać, choć niechętnie, że koty wyczuwają

więcej niż my naszymi słabymi zmysłami. Sombra czasem napędza mi zdrowego stracha.

Pokręciłam głową. Nie mogłam uwierzyć, że Diabło wyczuł coś przekraczającego moje zdolności rozumienia. Taki mały kociak łatwo może się czegoś przelęknąć, tłumaczyłam sobie dla pokrzepienia.

Tibbie nie wróciła. Znalazłam ją u szczytu frontowych schodów. Rzuciła Diabłowi piłeczkę, która staczała się stopień po stopniu na dół. Kotek dopadał ją na dolnym podeście.

- Myślałam, że do przyjazdu Soso trochę pomożesz mi w bibliotece - powiedziałam.

- Diabłowi tam się nie podoba.

Pomyślałam, że może jest już po strachu. Odnalazłam piłeczkę w kuchni i potoczyłam ją po lśniącej parkiecie w stronę biblioteki. Kotek żwawo skoczył za nią, ale kiedy przetoczyła się przez próg, stanął jak wryty.

- Widzisz? - powiedziała Tibbie. Zrezygnowałam więc z pracy na księgozbiorem, bo po wczorajszych przeżyciach nie miałabym spokoju, gdybym spuściła Tibbie z oka.

- Wobec tego poczekajmy na Soso w winnicy - zaproponowałam. - Może Diabło ucieszy się z wyjścia na dwór.

Skinęła głową i wzięła kotka.

W winnicy panował miły chłód. Mijałyśmy pędy z zawiązującymi się owocami. Białe kwiaty bezpestkowej odmiany winogron już przekwitły i opadły, a na ich miejscu pozostały małe zielone gruzełki, które do sierpnia miały wyrosnąć i zamienić się w pyszne słodkie owoce. Tibbie bardziej jednak interesowała się bezskuteczną pogonią Diabła za białym motylem.

- Co zrobiliby z tym motylem, gdyby go złapał? - spytała.

- Prawdopodobnie by go zjadł.

- Tfu, ohyda.

- Koty są drapieżnikami. Dzikie muszą polować i zjadać zdobycz, inaczej umarłyby z głodu. Diabło nie musi polować, żeby przeżyć, ale i tak będzie to robił, bo ma kocią naturę. - Nie wgłębiałam się już w to, jak koty potrafią bawić się swoją zdobyczą, zanim ją zjedzą. Uznałam, że będę szukać jakichś zgrabnych wyjaśnień na ten temat tylko w razie

konieczności.

Rozważania o polowaniu przywiodły mi na myśl wydarzenie sprzed lat, kiedy sowa porwała kocię Willi, powiedziałam więc:

- Musimy uważać i zamykać Diabla na noc w domu, póki nie dorośnie i nie będzie umiał sam o siebie zadbać.

Tibbie skwapliwie skinęła głową.

- Jed pokazywał mi sosnę, na której we dnie śpi biała sowa. Sowy podobno polują od zmierzchu do świtu. Zabijają i zjadają różne małe zwierzątka.

- Chcesz powiedzieć, że widziałś sowę na naszym terenie? - spytałam zaszokowana.

- Była schowana między gałęziami, więc zobaczyłam tylko kilka białych piór. Ale obejrzałam śmietnik pod drzewem, Jed mówił na to bobki. - Skrzywiła się. - Tłumaczył mi, że tam są kawałki futra, kostek i inne rzeczy, których sowa nie może strawić. Nie dam tej wstrętnej starej sowie porwać mojego Diabla!

Rozmowa wzbudziła we mnie niepokój, choć chyba nie mógł to być ten sam ptak. A może jednak? Nie miałam pojęcia, jak długo żyją sowy. Rozstrajała mnie myśl, że to właśnie ta sowa zgubiła białe pióro, które tamtej złowieszczej nocy spłynęło z góry w sam środek krwawego okręgu na kamieniu...

Ale dość o sowach!

- Wracajmy do domu. Weźmiemy chleba i nakarmimy kaczki. - Staralam się, by propozycja zabrzmiała radośnie.

- Wolałabym z tym poczekać, bo chcę pokazać kaczki Soso - odpowiedziała Tibbie.

Wyraźnie miała ochotę wypatrywać, czy Soso nie nadjeżdża.

- Może więc tymczasem trochę porzucamy tenisową piłką przed domem? - zaproponowałam.

- Przyniosę piłkę - powiedziała Tibbie i pobiegła w stronę domu.

Nieco później, podnosząc piłeczkę z ziemi czwarty czy piąty raz, skarżyła się:

- Jak to jest, że zawsze ja muszę skusić, a tobie się udaje?

- Ty lepiej ode mnie grasz na fortepianie, już lepiej tańczysz, ale nie zapominaj, że ja byłam kapitanem szkolnej drużyny baseballowej.

Zostaw i mnie trochę chwały, niech ja też będę w czymś dobra.

Tibbie zamachnęła się, żeby rzucić piłkę, ale nagle znieruchomiała, natężając słuch.

- Zdaje się, że słyszę samochód skręcający na podjazd. Może to Soso?

Podeszłyśmy do krawędzi trawnika i patrzyłyśmy, jak terenowy samochód Luisa wykonuje rundę honorową i przystaje. Soso wyskoczyła na podjazd, odpowiedziała na entuzjastyczne wymachiwanie Tibbie i z podziwem zapatrzyła się na Szkarłatny Kamień.

- Ten dom wygląda zupełnie jak w telewizji -powiedziała do Tibbie, gdy podeszłyśmy.

- Dokładnie to samo pomyślałam, kiedy go pierwszy raz zobaczyłam - przyznała Tibbie. - Jak długo możesz zostać?

Soso spojrzała na Luisa, który powoli się do nas zbliżał.

- Powiedziałem jej babce, że przywiozę Soso jutro po południu - odezwał się. - Czy tak będzie dobrze?

- Czyli Soso może zostać na noc? - nie dowierzała Tibbie. Kiedy skinęłam głową, wykrzyknęła: - Juhuuu!

Luis wyciągnął z samochodu coś, co wyglądało jak szkolny plecak, i podał to Soso.

- Chodź - zaprosiła ją Tibbie. - Możesz położyć rzeczy w moim pokoju.

Przyglądając się dziewczynkom pędzącym w stronę domu, westchnęłam.

- Chciałabym dać Tibbie więcej luzu, kiedy jest z Soso, ale boję się...

- Powiedziałem Soso o Tibbie - przerwał mi Luis.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

- To znaczy, że rozmawiałeś z nią o atakach Tibbie?

Skinął głową. Zanim zdążyłam wyrazić sprzeciw, wyjaśnił:

- Soso nie jest zwyczajną małą dziewczynką. Uczy się, żeby być znachorką, więc ma wyrobione poczucie odpowiedzialności. Już teraz pomaga czasem dziadkowi, a to mówi samo za siebie. Uwierz mi, bo wiem, jak trudno się z nim pracuje.

- Ale Soso będzie myślała, że Tibbie jest jakimś odmieńcem -

zawołałam przestraszona. - To zniszczy ich przyjaźń.

- O, nie. Soso rozumie, że Tibbie jest tak samo normalna jak ona, tylko czasem miewa te ataki. Wie, że jeśli Tibbie zacznie się dziwnie zachowywać i powtarzać: „Gdzie to jest?”, trzeba ją wziąć za rękę i zaprowadzić do ciebie. Z mojego doświadczenia wynika, że Tibbie chętnie pozwala się w tym stanie prowadzić, jeśli wziąć ją za rękę.

- Jak możesz wymagać od dziewięciolatki, żeby brała na siebie odpowiedzialność za Tibbie?

- Soso jest uzdrowicielką, Valoro. Naturalne skłonności i ćwiczenia wyrobiły w niej potrzebę pomagania innym. Możesz jej spokojnie zaufać. Sama mi powiedziała, że ona i Tibbie „widzą swoje serca”. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby Tibbie sarna postanowiła zwierzyć się jej ze swoich ataków. Poradziłem Soso, żeby w takiej sytuacji po prostu wysłuchała Tibbie, nie zdradzając się, że już o tym wie.

Przygryzłam wargę.

- Mam nadzieję, że nie popełniłeś błędu.

- Jestem pewien, że nie. Przyjadę po Soso jutro, kiedy skończę przyjmować pacjentów, może już około pierwszej, ale najprawdopodobniej około trzeciej.

- Dobrze. - Czekałam, czy zapyta, kiedy się znowu zobaczymy, ale on tylko rzucił mi przelotny uśmiech i skinął głową. Właśnie się odwracał, gdy ognistoczerwony zagraniczny sportowy wóz pędem przejechał przez podjazd i zatrzymał się z efektownym poślizgiem.

Travis wyskoczył na drogę.

- Odjeżdżasz, Luis? - spytał. Luis skinął głową.

- Któregoś dnia musimy się spotkać wszyscy - powiedział Travis.

- Jeśli masz ochotę. - Głos Luisa nie wyrażał żadnych uczuć.

- Planuję małe przyjęcie w tym miesiącu. Zadzwoń do ciebie w tej sprawie. - Robił wrażenie, jakby miał ochotę poklepać Luisa po ramieniu, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

Mimo ostentacyjnej kordialności Travisa i bierności Luisa wyczuwałam napięcie między tymi dwoma mężczyznami. Czy była to pozostałość z dawnych czasów, czy też chodziło im o mnie?

Luis szybko wszedł do samochodu i odjechał.

- Był i jest indiańskim milczkiem - powiedział Travis. - Tak jak

większość tych Indian.

- Nie wśród przyjaciół - sprzeciwiłam się, rozzłoszczona jego stereotypowym myśleniem.

Travis wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej Luis bardziej lubi ciebie niż mnie. Oczywiście nie mam o to do niego pretensji... Jesteś najładniejszą dziewczyną, jaką znam. -Wziął mnie za rękę i ruszyliśmy w stronę domu, wymachując splecionymi dłońmi, jakbyśmy byli nastolatkami. Albo kochankami. Przy frontowych drzwiach zatrzymał się i powiedział:

- Jak słońce razisz blaskiem twym facetów, Val, moja piękna Julio z Kapuletów.

Przewróciłam oczami.

- Tylko bez tych gier w Romea i Julię. Chwycił się za serce.

- Czy to jedyne podziękowanie, jakie dostanę za ten niezrównany dwuwiersz?

Nie pozostało mi nic innego, jak czuć się rozbawioną.

Lunch minął przyjemnie. Travis starał się przypodobać dziewczynkom i zdołał rozśmieszyć Tib-bie, ale z Soso wydobył tylko przelotny, bardzo powściągliwy uśmiech. Pomyślałam, że indiańska dziewczynka jest onieśmielona wobec dorosłych, których nie zna.

Kiedy podano deser, ciasteczka posypane wiórkami czekoladowymi, Tibbie rozprawiała właśnie o znaczeniu naszych imion.

- Imię mojej mamy znaczy potężna albo dzielna - dokończyła wywodu i utkwiała spojrzenie w Travisie. - A pan, panie York? Co oznacza pańskie imię?

Uśmiechnął się.

- W rzeczywistości jest to rodzinne nazwisko, skrót od Travers. Od babki wiem, że to znaczyło rozdroże.

- Ma pan na myśli miejsce, gdzie się rozchodzą dwie drogi? - spytała Tibbie.

Skinął głową.

- Moja babka uważała, że nocami należy unikać rozdroży.

Twierdziła, że w dawnej Anglii grzebano tam ludzi spalonych na stosie, posądzonych o czary.

- To jest imię od bardzo złego miejsca - wtrąciła nagle Soso.

Odezwała się chyba pierwszy raz od początku posiłku.

Spojrzał na nią poważnie.

- A gdybyś mogła zmienić mi imię, Soso, to jakie byś wybrała?

Dziewczynka przez chwilę siedziała w milczeniu. Myślałam już, że nie odpowie.

- W moim plemieniu jest takie imię - powiedziała w końcu. - Yutu. - Przeliterowała. - Myślę, że właśnie tak bym cię nazwała.

- A co znaczy „Yutu”? - spytał Travis. Soso przygryzła wargę.

- Kojot. - Ledwie usłyszeliśmy jej głos. Travis zachichotał.

- Czyli jestem Kojot, tak? Jeśli się nie mylę, jest jakiś taki bożek w indiańskiej mitologii.

Pytając patrzył na mnie, ale odpowiedziała mu Soso.

- Tak jakby.

- Hm, bycie tak jakby bożkiem jest mimo wszystko lepsze od bycia zwykłym śmiertelnikiem. - Travis wydał mi się nagle dziwnie poważny.

Kiedy wstaliśmy od stołu, dziewczynki, za którymi podreptał Diabło, poszły do pokoju muzycznego grać na fortepianie, a Travis i ja przenieśliśmy się do biblioteki.

- Z jakiegoś powodu kotek Tibbie boi się tutaj wchodzić - powiedziałam bez wyraźnego celu.

- Naprawdę? A jak myślisz, dlaczego? Wzruszyłam ramionami, nieco zdziwiona jego zainteresowaniem.

- Weterynarz twierdzi, że kociak jest zdrowy. Może inny kot mógłby coś na ten temat powiedzieć, ale nie ja.

Travis zaczął obchodzić pokój kocimi ruchami, nieustannie przenosząc spojrzenie ze ściany na ścianę, z podłogi na sufit.

- Na miłość boską, przestań tak łązić - powiedziałam w końcu.

Grasz mi na nerwach.

- Czy wiesz, że czasem słucha się ciebie jak twojej babki? -

Przystanął i oparł się o gzyms kominka.

- Na szczęście jestem nieodwołalnie zdecydowany nie dopuścić do tego, żebyś się w nią zamieniła. Musisz tylko uśmiechnąć się i powiedzieć „tak”.

- Na co?

- Wyobraź sobie przez chwilę, że jesteś Julią.

- Przypuszczam więc, że ty masz być Romeem - stwierdziłam oschle. - W takim razie moja odpowiedź brzmi, że jesteśmy za starzy na dziecinne zabawy. Poza tym, skoro się przyjaźnimy, to nie ma komu przedłużać sporu Yorków z Rollandami, a zatem nie ma też powodu, żebym udawała Julię.

- No, nie zapominaj, że Rollandowie wciąż roszczą sobie prawa do gruntu Yorków.

- „Roszczą sobie prawa” nie jest dobrym sformułowaniem. Mam legalny akt własności tej ziemi.

- Mniejsza o łajdacką intrygę, dzięki której twój przodek zwykł był zdobywać prawne tytuły, ale czy możesz uczciwie powiedzieć, że jesteś dumna z posiadania Mount Sangre?

Wbrew woli zadrżałam.

- Wobec tego czemu nie sprzedasz mi tego wzgórza, żeby załatwić sprawę raz na zawsze? - Żartobliwa nuta znikła z jego głosu.

- Sprzedaż nie usunie mi Mount Sangre sprzed oczu - rzuciłam zapalczywie.

- Pozwalasz, żeby z powodu dawno zamkniętych wydarzeń kupa ziemi i kamieni nabierała w twojej głowie wymiarów czegoś potwornego. To irracjonalne, Val.

- Możliwe, ale mimo wszystko nie rozumiem, czemu chciałbyś kupić takie złowróżbne i do niczego nie przydatne miejsce.

- Bo moim rodzinnym obowiązkiem jest odzyskanie ziemi Yorków. Odniosłem wrażenie, że nie zamierzasz tu mieszkać. Czyżbyś planowała bez końca utrzymywać tę posiadłość? A może oddasz ją w dzierżawę? Przykro byłoby mi widzieć, że Szkarłatny Kamień dostaje się w użytkowanie obcym ludziom.

Pokręciłam głową, usiłując opanować coraz silniejszą irytację z powodu jego natarczywości.

- Zaczynamy przypominać naszych skłóconych przodków. Szczerze mówiąc”, nie wiem jeszcze, jakie mam plany. Jeśli postanowię sprzedać Szkarłatny Kamień i resztę posiadłości, z Mount Sangre włącznie, obiecuję ci prawo pierwokupu.

- Mamo - zawołała Tibbie od progu. - Nauczyłam Soso grać jednym palcem „siekane kotlety”, a ja gram drugim. Chodź nas posłuchać.



- Zdaje się, że jesteśmy proszeni na koncert dwóch utalentowanych pianistek - powiedział Travis i podał mi ramię. - Czy zechcesz przyjąć moje towarzystwo?

Tibbie zachichotała, a ja uznałam, że nie sposób długo złościć się na Trávisa.

Odjechał wkrótce po „koncercie”, przypominając mi na odchodnym, że zadzwoni do mnie w sprawie planowanego przyjęcia. A ponieważ Tibbie bardzo chciała pokazać Soso kucyka i staw, zaraz potem poszłyśmy we trzy na wycieczkę po posiadłości. Podczas gdy dziewczynki dopieszczały Misty'ego, zamieniłam kilka słów z Jedem.

- Dziś po południu jest za gorąco, więc pozwolę im pojeździć jutro rano - powiedziałam, mu, - Ale chcę, żebyś na nie uważał, zgoda?

- Nie spuszczę ich z oka - zapewnił. - Już masz dwie papużki nierozłączki, co?

Na spacerze uświadomiłam sobie, że zapomniałam powiedzieć Luisowi o piórkach. Może powinnam dać Soso wszystkie cztery, żeby przekazała je Biegnącemu Lisowi? Może kiedy ich się pozbędę, przestanie mnie wreszcie dręczyć pytanie, w jaki sposób dostały się nocą na moje łóżko.

Kiedy wróciłyśmy do domu, dziewczynki postanowiły pobawić się grammi na górze, w pokoju Tibbie, a po obiedzie zaczęły oglądać w telewizji kolejną powtórkę „Czarnoksiężnika z krainy Oz”. Tibbie nigdy nie miała dość tego filmu, a Soso widziała go przedtem tylko raz.

O zmierzchu wybrałam się na przechadzkę do świątyni dumania. Od czasu do czasu między drzewami majaczył mi ciemny zarys Mount Sangre. Chociaż solennie obiecałam sobie patrzeć w inną stronę, moje oczy jakby nie chciały widzieć nic innego. Raptownie przystanęłam i zagapiłam się na wzgórze, bo na jego szczycie dojrzałam błysk światła. W chwilę później znów jednak zapadła ciemność.

Czy światło było wytworem mojej wyobraźni, czy może ktoś tam był? Miejscowi ludzie jak jeden mąż omijali Mount Sangre. Nie dość, że był to teren prywatny, o którym krążyły straszne opowieści, to w dodatku jakby okrywał go niewidzialny całun, zniechęcający tych, którzy zechcieliby jednak wejść bez pozwolenia. Czasem tylko zdarzało się, że wdrapywał się na wzgórze jakiś młodociany poszukiwacz przygód z

miasteczka... ale tylko w dzień.

Naranadę otaczały liczne wzgórza, toteż za dnia piknikowicze, a nocami kochankowie mieli przyjemniejsze miejsca do wyboru. Któż mógł się znaleźć na Mount Sangre tego wieczoru?

Czekałam bardzo długo, ale światło więcej się nie pokazało. Nie byłam już taka pewna, czy w ogóle je widziałam. Rezygnując z wizyty w świątyni dumania, wróciłam akurat na czas, by zobaczyć, jak w telewizji Zła Czarownica rozplywa się w brązową bezkształtną masę. Tibbie i Soso powitały to wybuchem radości. Kiedy wreszcie zasnąłam tej nocy, śniło mi się, że jak Dorotka wędruję przez pole kwiatów. Nie maków, lecz konwalii. Może i woń maków z Oz była trująca, ale otaczające mnie drobne białe kwiatki kryły w sobie jeszcze większe niebezpieczeństwo: w ich delikatnych, postrzępionych, jadowitych dzwoneczkach czaiła się śmierć. A mimo to kusilo mnie nieodparcie, by zrywać i jeść te śliczne, śmiercionośne kwiatuszki. Coś niewidzialnego chwyciło mnie za ramię, zaczęło mną potrząsać powtarzając moje imię, i nagle poczułam się wolna od tej pokusy, wolna...

- Valoro - szeptał głos. - Valoro, zbudź się.

Zerwałam się raptownie i zobaczyłam Soso, która stała przy moim łóżku, trzymając rękę na moim ramieniu.

- Co się stało? Czy Tibbie...?

- Tibbie śpi. Ale ja usłyszałam hałasy na dole. Coś się tam rusza.

Boję się.

Wyteżyłam słuch. Mnie również dobiegły odzywające się z przerwami dźwięki, od których włosy stanęły mi dęba.

- Może to Delia wstała - powiedziałam w równym stopniu do Soso, co do siebie.

- A czy Delia nie byłaby w kuchni? - wyszeptała Soso.

Moim zdaniem odgłosy dobiegały raczej z frontowej części domu, a kuchnia była od tyłu. Zebrałam się na odwagę i wstałam. Kazałam Soso nie ruszać się z miejsca, przeszłam na palcach przez sypialnię, uchyliłam drzwi i wysunęłam się na korytarz, z lękiem nasłuchując szurania stóp. Bez wątplenia coś było na dole. Albo ktoś.

Przełknęłam ślinę, otworzyłam usta i zawołałam:

- Delio, czy to ty? Odpowiedziała mi śmiertelna cisza.

- Delia? - powtórzyłam wołanie, tym razem głośniej.

Rozległy się znacznie głośniejsze dźwięki, a potem trzasnęły frontowe drzwi. Zdusiłam krzyk, bo wiedziałam, że nic tym nie osiągnę, a tylko wystraszę dziewczynki. Zaczęłam centymetr po centymetrze posuwać się wzdłuż ściany do wyłącznika, u szczytu schodów. Wreszcie znalazłam go i zapaliłam światło w całym korytarzu na górze.

- O co ten szum? - spytał stanowczy głos. Zaskoczył mnie, ale zaraz stwierdziłam, że należy do Delii, która pojawiła się w głębi korytarza. Jej obecność dodała mi animuszu.

- Ktoś był na dole - powiedziałam jej, gdy podeszła.

Delia spojrzała na mnie zdumiona.

- Przecież wszystko było zamknięte na amen. Sama sprawdzałam drzwi, zanim poszłam spać.

- Lepiej zobaczę.

Nie puszczę cię samej na dół - powiedziała zdecydowanie.

Zeszłam po schodach, a ona za mną. Wszędzie po drodze włączałam światło.

Kiedy dotarliśmy do wejścia, Delia głośno wciągnęła powietrze.

- Boże Wszechmogący! Przysięgłabym, że czuję jej perfumy - powiedziała.

Nie mogłam zaprzeczyć, że zapach konwalii, mimo iż ulotny, był wyraźny.

- Duch pani Faith, jak Boga kocham! - Delia kurczowo chwyciła mnie za ramię. - Wspomnisz moje słowa. Jej duch szuka tego, czego nie mogła znaleźć przed śmiercią.

- Ja wcale nie ducha słyszałam! - Ponieważ jej słowa przyprawiły mnie o gęsią skórę, powiedziałam to o wiele ostrzej, niż zamierzałam.

- O jej, tam! - wykrzyknęła Delia wskazując ręką. - Co tam się rusza?

Lekko uchylone drzwi biblioteki istotnie się poruszały. Szpara robiła się coraz szersza.

---

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

---

Delia i ja, szepione w kurczowym uścisku, przyglądałyśmy się coraz szerszej szparze w drzwiach do biblioteki. Jaskrawe oświetlenie holu nie zmniejszało wcale mojego lęku przed tym, co może kryć się w bibliotecznym mroku. Co tak popycha te drzwi? Zdrętwiałam, bo przy samej podłodze wysunęło się coś czarnego.

- Boże, zmiłuj się, wąż! - szepnęła Delia.

W chwilę później odetchnęłam z ulgą. Między krawędzią drzwi i framugą ukazał się biały pyszczek Diabła. Kociak przecisnął się przez szparę i z nastroszonym futerkiem prysnął obok nas na schody, jakby goniła go sfora psów.

- Przecież zamknęłam kota w pakamerze przy kuchni - powiedziała Delia. - Jak się stamtąd wydostał?

Oderwałam się od niej i nerwowo podeszłam do podejrzanych drzwi. Szeroko je otworzyłam, po czym natychmiast zapaliłam światło. W bibliotece nikogo nie było, nie wydawało się też, żeby ktoś tam buszował, ale jedna książka leżała na ziemi w pobliżu kominka. W pokoju unosił się też bardzo silny zapach konwalii.

- Jest tak, jak ci mówiłam... Pani Faith wróciła po śmierci - odezwała się Delia za moimi plecami.

- Wypuściła kota, żeby pomógł jej szukać. Może myślała, że to Sombra.

- Diabło boi się biblioteki. Z własnej woli nie wszedłby tam, nawet na życzenie ducha. A poza tym, jeśli rzeczywiście duchy istnieją, to na pewno nie muszą się kłopotać takimi sprawami jak wchodzenie i wychodzenie przez drzwi. A ja wyraźnie słyszałam, jak ktoś wychodzi frontowymi drzwiami.

Razem zbadałyśmy zamek i stwierdziłyśmy, że jest zamknięty.

- Ktoś musi mieć zapasowy klucz - powiedziałam.

- Nie rozumiem, skąd. Mówiłam ci przecież, że pani Faith kazała

zmienić zamek niedługo przed śmiercią, a były tylko trzy klucze. Ona miała jeden, ja drugi, a trzeci pani Faith trzymała u siebie w pokoju. Po jej śmierci wyjęłam go z nocnej szafki i schowałam w kredensie. Teraz używasz go ty. Więc skąd ktoś może mieć dodatkowy klucz?

- No, to może nie ma - przyznałam. - Włamywacz mógł wejść inną drogą, otworzyć drzwi, żeby się wydostać, a potem zamknąć za sobą po wyjściu. Lepiej poszukajmy otwartego albo wylamanego okna.

Sprawdziłyśmy parter, ale przy żadnym oknie nikt nie majstrował. Okna do piwnic nie otwierały się, to wiedziałam, a nie przypuszczałam, żeby ktoś wspiął się po drabinie na pierwsze piętro, choć dla mężczyzny nie było to zadanie ponad siły. Kobiety-rabusia zupełnie nie mogłam sobie w tej sytuacji wyobrazić. Dokładne oględziny okien w piwnicy i na piętrze odłożyłyśmy do rana.

- Srebra są na miejscu - zameldowała Delia po przeszukaniu jadalni.  
- Nie widzę, żeby czegoś brakowało, w każdym razie czegoś ważnego.

Kiedy tak stałyśmy w holu debatując, co dalej, usłyszałam hałas. Podniosłam głowę i zobaczyłam w połowie schodów Soso z kotkiem na rękach.

- Wszystko w porządku - zapewniłam ją. -W domu nie ma nikogo.  
Skinęła głową, odwróciła się i weszła na schody, zaraz też znikła w głębi korytarza.

- Nic więcej teraz nie zrobimy - skostatowała Delia. - Chyba że chcesz zadzwonić na policję.

Ponieważ nieproszony gość wyraźnie niczego nie ukradł, nie widziałam wielkiego sensu w mobilizowaniu o tej porze jednoosobowych sił policyjnych Naranady. Uważałam za nieprawdopodobne, żeby przed świtem intruz próbował wrócić, jeśli wszystkie światła w domu będą zapalone. Na wszelki wypadek postanowiłam jednak czuwać, a podejrzewałam, że Delia również.

Policję mogłam zawiadomić rano, gdybyśmy tymczasem odnalazły ślady włamania albo stwierdziły, że czegoś brakuje.

Nic takiego jednak nie zaszło. Wszystkie okna okazały się nietknięte, a jeśli czegoś brakowało, to ani ja, ani Delia nie potrafiłyśmy tego zauważyć. Miałam wrażenie, że Delia trzyma się koncepcji ducha. Nie mogłam zaprzeczyć, że i ja czułam zapach perfum, których zwykle

używała moja babka, ale słyszałam również zamykanie frontowych drzwi. Chociaż nie potrafiłam wyjaśnić pochodzenia konwaliowego aromatu, uważałam, że włamał się człowiek, w dodatku mężczyzna.

Tibbie, nieco zła, bo przespała te nocne rumory, rzuciła się chciwie na książkę, która leżała w bibliotece na podłodze.

- To jest poszlaka, mamó - powiedziała z naciskiem. - Nancy Drew zawsze znajduje takie poszlaki jak ta, a potem rozwiązuje zagadkę.

- Włamywacz prawdopodobnie strącił tę książkę ze stołu, kiedy uciekał - powiedziałam spokojnie.

- I tak jest to poszlaka. Zresztą spójrz na tytuł: „Księga ptaków”. A ty znajdowałaś w swoim pokoju pióra.

Wyjęłam jej z rąk stary brązowy tom, wydany przez National Geographic Society w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku. Kiedy otworzył mi się w dłoniach, eksponując przez ułamek sekundy zdjęcie śnieżnej sowy, poczułam dreszcz lęku przebiegający mi po plecach.

Tibbie wskazała przerwę w równym rzędzie na półce.

- Na pewno stała tam, bo wszystkie książki dokoła są o ptakach i ssakach.

Musiałam przyznać, że piórka wraz z książką i niepokojącym błyskiem zdjęcia sowy pasowały do siebie, jakby stanowiły część jakiejś całości. Był to przynajmniej zwracający uwagę zbieg okoliczności. Gdybym jednak przyjęła, że książkę świadomie zdjęto z półki, a potem upuszczono na ziemię, żebym zobaczyła stronę z sową, to w konsekwencji niechybnie uwierzyłabym w historię Delii o duchach i byłabym pewna, że to babka wróciła ze świata umarłych, aby mnie przestrzec. Tylko przed czym? Pokręciłam głową.

- O jej, mamó, to naprawdę jest poszlaka - powiedziała Tibbie.

Nie chciałam jej rozczarować.

- Nie jestem Nancy Drew, więc nie rozumiem na co wskazuje ta poszlaka. Poza tym, jeśli chcesz dziś rano pojeździć z Soso na Mistym, to lepiej się pospieszcie. Jed czeka w kuchni.

Wcześniej powiedziałam Jedowi, że życzę sobie mieć solidne zasuwki na wszystkich drzwiach prowadzących na dwór. Obiecał pojechać do miasteczka i kupić je kiedy tylko dziewczynki skończą jeździć. Miałam

nadzieję, że przed zapadnięciem wieczoru zamontuje je we właściwych miejscach. Mogłam nie wierzyć w duchy, ale myśl o duchu krewnej była i tak mniej przerażająca niż przekonanie, że po zmroku ktoś całkiem żywy wdziera się do wnętrza domu, wszystko jedno po co.

Kiedy dziewczęta oddaliły się z Jedem, spróbowałam ułożyć w sensowny ciąg zdarzenia poprzedniej nocy. Dziwne, ale to włamywacz musiał wziąć z sobą kota do biblioteki. Sprawdziłam przedtem dwa małe okienka w pakamerze, wysoko nad ziemią. Nie dość, że były zamknięte i nikt ich nie ruszał, to jeszcze zaschnięta farba uniemożliwiała ich otwarcie. Ponieważ Delia na pewno zamknęła kociaka, oznaczało to, że ktoś celowo po niego wszedł i nie tylko go wypuścił, lecz również zaniósł do biblioteki.

W pojęciu Delii kot mógł być pomocny w szukaniu. Ona mówiła co prawda o duchu babki, ale niewykluczone, że to włamywacz miał nadzieję zlokalizować dzięki zwierzakowi to coś, po co przyszedł. Koncepcja wydawała się daleko idąca, ale przecież kot rzeczywiście dostał się do biblioteki,

W ostatnich tygodniach przed śmiercią babka Faith szperała nocami po domu szukając czegoś, co według jej słów zgubiła. Twierdziła, że wzywa ją sowa i, niestety, zmarła nie znalazłszy tego czegoś. Medalionu z sową? Chociaż Delia była pewna, że dziesięć lat temu Jed przyniósł go babce z powrotem, postanowiłam sama porozmawiać z nim na ten temat.

Jeśli o mnie chodzi, ta przekłeta rzecz mogła pozostać w ukryciu do końca świata, ale skoro obcy wślizgiwał się nocą do Szkarłatnego Kamienia, żeby szukać Bóg wie czego, to może chodzi mu jednak o medalion. Ale dlaczego teraz, a nie dziesięć lat temu? Nie trzymało się to kupy.

Jedno zdawało się oczywiste. Nie było sensu powiadamiać policji, dopóki nie miałam przekonującego dowodu, że istotnie ktoś się włamał.

Okolo południa zatelefonował Travis, żeby porozmawiać o planowanym przez niego przyjęciu, ale tonem głosu musiałam zdradzić napięcie, w jakim się znajdowałam, bo prawie natychmiast spytał, czy coś się stało.

- Ubiegłej nocy był u nas włamywacz - powiedziałam.
- Do diabła! I co? Zresztą mniejsza z tym, przyjadę sprawdzić na

miejscu.

Odłożył słuchawkę, zanim zdążyłam powiedzieć coś więcej.

Musiałam przyznać, że ucieszył mnie jego przyjazd, chociaż Travis ograniczył się w zasadzie do przeszukania domu i sprawdzenia potencjalnych dróg wejścia. Wkrótce dołączył do mnie w saloniku. Pokręcił głową.

- Czy jesteś pewna, że nie ma dodatkowego klucza? - spytał.

Powtórzyłam to, co powiedziała mi Delia.

- Jeśli Delia wie, co mówi, to nie rozumiem, jak ten skurwiel tu wlaźł. Ale pod koniec życia pani Faith trochę zdziwaczała, wszyscy o tym wiedzieli... Więc może w tajemnicy kazała dorobić jeszcze jeden klucz?

- Po co? Wzruszył ramionami.

- Niestety, to mnie przerasta. Nie mam innych genialnych pomysłów. Kiedy Jed założy zasuwy, powinnaś być bezpieczna, ale gdybyś chciała, żebym spędził tu noc...

- Nie - odparłam pospiesznie. - Dziękuję za propozycję, ale jest tak, jak mówisz. Zasuwy wystarczą.

- Wrócę jeszcze po południu i zobaczę, jak się sprawy mają. - Uścisnął mnie i odjechał.

O drugiej zadzwonił Luis i powiedział, że zatrzymały go pilne sprawy, więc będzie jechał do osady Miwoków dopiero w niedzielę. Wyraził nadzieję, że przetrzymanie Soso przez drugą noc nie sprawi mi kłopotu.

- Jeśli tylko jej krewni nie będą się niepokoić... - powiedziałam, przygotowując się do zrelacjonowania mu wydarzeń ostatniej nocy.

- Dam znać dziadkowi - rzucił Luis. - Przepraszam cię, ale muszę biec. Spróbuję wpaść wieczorem, ale nie obiecuję, że mi się uda. - Rozłączył się, zanim miałam okazję powiedzieć mu o włamywaczu.

Tibbie była zachwycona wiadomością, że Soso jeszcze zostaje. Soso nie zgłaszała protestów, ale okazała mniej entuzjazmu. Wiedziałam, że zastanawia się, jakie zagrożenie dla Szkarłatnego Kamienia może przynieść nadchodząca noc.

Sama też nie mogłam opędzić się od złych przeczuć. Jed nie znalazł zasuw w Naranadzie i musiał jechać po nie aż do Visalii, odległej o



godzinę jazdy, a jego rozklekotanym furgonem pewnie i więcej. Powinien był jednak wrócić na czas, żeby przed zmrokiem zamontować te zasuwy.

Travis przyjechał ponownie o piątej. Zmarszczył brwi słysząc, że Jed jeszcze nie wrócił z Visalii.

- Chętnie zostanę - ponowił swą propozycję. -Mógłbym się położyć na dole, na tej skórzanej kanapce w bibliotece, i...

- Naprawdę nie ma potrzeby. Będziemy mieli nowe zasuwy, a na dole zostawię światło. - Doceniałam dobre chęci Trávisa i jego propozycję, ale kłopot był mój, nie jego.

- Obiecuj, że zadzwonisz, gdybyś mnie potrzebowała.

Obiecałam. Zrobił jeszcze jedną rundę po domu i zapewnił mnie, że wszystkie okna są dobrze zamknięte.

Tuż po siódmej zadzwonił Jed. Kupił zasuwy, ale popsuł mu się furgon.

- Obiecali mi naprawić na jutro w południe -powiedział. - Nie mam innego wyjścia, muszę zostać na noc w Visalii.

- Mogę po ciebie przyjechać - zaproponowałam zdenerwowana.

- Nie zwracaj sobie głowy. Zasuwy mogą poczekać. Dziś wieczorem podstaw krzesła pod wszystkie klamki. Na razie takie zabezpieczenie wystarczy. Zresztą temu, kto się włamał, musiałyby szajba odbić, żeby przychodzić dwie noce z rzędu.

Nie zachwyciła mnie wizja opętanego włamywacza, ale z konieczności byłam skazana na doraźne środki, które zaproponował Jed. Już chciałam się rozłączyć, kiedy przypomniałam sobie moje pytanie.

- Owszem, znalazłem wtedy to, po co pani Faith mnie wysłała - odparł z wyraźną niechęcią. - I oddałem jej. Chytra z niej była sztuka. Nie wiem, co z tym zrobiła, i nie chcę wiedzieć.

Pomyślałam, że dziewczynki będą czuły się raźniej wiedząc, co robimy dla bezpieczeństwa domu, więc urządziłam zabawę w wynajdywanie odpowiedniego krzesła pod każdą klamkę. Potem pozwoliłam im wypróbować zabezpieczenie frontowych drzwi, żeby same przekonały się o jego skuteczności. Soso nie traktowała tego tak lekko jak Tibbie, ale później odniosłam wrażenie, że i ona jest zadowolona.

Jedyny problem stanowiły drzwi balkonowe prowadzące z saloniku do ogrodu, bo w odróżnieniu od innych otwierały się na zewnątrz. Ale ponieważ na górze i na dole były zaopatrzone w zasuwę, które trzymały razem skrzydła zamkniętych drzwi, więc postanowiłam się nimi nie przejmować. Wprawdzie zdecydowany na wszystko rabuś mógł je wyłamać, ale miałam wrażenie, że człowiek, który odwiedził ubiegłej nocy bibliotekę, woli skrytość i ciszę, więc nie będzie się uciekał do tłuczenia szkła i rąbania drewna.

Mimo to postanowiłam czuwać przez całą noc, chociaż nikomu o tym nie wspomniałam. Z niecierpliwością wypatrywałam Luisa, ale nie pojawił się do dziesiątej i zrozumiałam, że nie przyjedzie. Delia odmówiła pójścia na spoczynek przede mną, a ponieważ obawiałam się, że zechce mi towarzyszyć w czuwaniu, gdyby przejrzała moje plany, więc dla zachowania pozorów ukryłam się w sypialni.

Kiedy upewniałam się, czy dziewczynki śpią, Diabło, leżący na poduszce Tibbie, podniósł łebek i zaczął mi się przyglądać. Nie pozwoliłam jej zabrać kotka do łóżka, a jednak był u niej. Zanim weszłam na górę, Tibbie musiała po cichu zejść kuchennymi schodami i uwolnić mruca z nocnego aresztu w pakamerze. Chciałam go wynieść z sypialni, ale w końcu uznałam, że tej nocy dziewczynki mogą czuć się pewniej w jego obecności. Weterynarz zapewniał mnie, że kotek jest zdrowy, więc chyba nadmiernie przejmowałam się drobiazgami.

Nabrawszy pewności, że również Delia zasnęła, naciągnęłam szlafrok i pełna niejasnych przeczuć zeszłam po schodach na dół. Stary dom nigdy nie pogrąża się w całkowitej ciszy. W przerwach między tykaniem zegara w holu słyszałam różne skrzypnięcia i stuki, nie alarmujące, lecz potęgujące we mnie przeświadczenie o czyhającym niebezpieczeństwie. Przynajmniej jednak nie musiałam poruszać się po omacku, zostawiłam bowiem na noc światła w jadalni, bibliotece i przed frontowymi drzwiami. Kiedy znalazłam się w holu, błyski reflektorów dały mi znak, że na podjeździe przystaje samochód. Wyjrzałam przez jedno z podłużnych, wysokich okien przy drzwiach i poznałam terenowy samochód Luisa.

Nim Luis doszedł do progu, wyciągnęłam krzesło spod klamki, przekręciłam klucz i otworzyłam drzwi. Musiałam mieć ulgę wypisaną

na twarzy, bo jeden rzut oka wystarczył mu, by natychmiast zamknąć drzwi i mocno mnie przytulić.

Przez długą chwilę czułam się chroniona i bezpieczna, ale na dźwięk zegara bijącego jedenastą drgnęłam.

- Jesteś roztrzęsiona - powiedział i bacznie mi się przyjrzał. - Co się stało?

Wysunęłam się z jego ramion.

- Chodź do biblioteki, opowiem ci.

Posadził mnie przy sobie na kanapie. Pamiętając, że nie powinnam mu za bardzo ufać, wcisnęłam się w kąt i zaczęłam mówić. Luis przez cały czas uważnie mnie obserwował, od czasu do czasu marszczył brwi, ale poza tym był nieprzenikniony.

- Soso usłyszała go przed tobą? - spytał, gdy skończyłam.

- Tak. Nawet się dziwiłam, bo mam bardzo lekki sen.

- Zastanawiam się, czy Soso najpierw kogoś usłyszała czy wyczuła. Zamrugałam oczami. Wyczuć włamywacza? Co miał na myśli?

Luis odpiął od paska elektroniczny aparat przywołujący i położył go na stoliku przy lampie.

- Jeśli nie będzie pilnych wezwań, zostanę tu do rana.

- Posłuchaj, Luis... - zaczęłam. - To nie jest...

- Nie sprzeciwiaj się, nie masz argumentów.

Dlaczego nie wyciągasz wniosków z ostrzeżeń? Czy nie rozumiesz, że niebezpieczeństwo zagraża ci teraz w twoim własnym domu?

Jeszcze zdobyłam się na sprzeciw, chociaż jego słowa całkiem mnie zmroziły.

- Nie sądzę, żeby włamywaczowi chodziło o mnie. Chyba raczej czegoś szukał - powiedziałam z uporem. - Czegoś w tym pokoju.

Luis potoczył wzrokiem po książkach.

- Nie książki - powiedziałam. - Chociaż nie skończyłam jeszcze katalogowania, jestem absolutnie pewna, że babka Faith nie zostawiła na półkach niczego, co choćby w najmniejszym stopniu przypominało to upiorne *grimoire*, które zabraliśmy na Mount Sangre dziesięć lat temu. Delia powiedziała, że niedługo potem babka spaliła tamtą książkę i kilka innych.

- *Grimoire* - powtórzył Luis. - Do tamtej nocy nie słyszałem tego

słowa.

- Ja też najchętniej nie wypowiadałabym go więcej i już nigdy nie słyszała.

- A medalion z sową? - spytał Luis.

- Nikt nie wie, gdzie jest. Delia twierdzi, że przed śmiercią babka przeszukała wszystkie kufry i skrzynie w domu. Po jej śmierci Delia najęła Lucy Jennings z dwiema nastoletnimi córkami, żeby wysprzątały Szkarłatny Kamień po najciemniejszy kątek- Strychy, piwnice, wszystko.

Luis odchylił głowę na wysokie oparcie kanapy i zamknął oczy. Dopiero wtedy zauważyłam, jaki jest zmęczony. Ciekawe, kiedy ostatnio jadł lub spał.

- Chcesz coś zjeść? - spytałam. Powinnam była pomyśleć o tym wcześniej.

- Kanapki i kawy nie odmówiłbym.

Wróciłam po chwili do biblioteki, pchając przed sobą wózek z kawą, szynką w plasterkach, domowymi bułeczkami podgrzanyymi w kuchence mikrofalowej i resztkami orzechowych ciasteczek z czekoladą, które Delia upiekła dla dziewczynek. Znalazłam Luisa w tej samej pozycji, co poprzednio. Spał.

Mimo woli zobaczyłam przed oczami marzenie sprzed lat, w którym Luis odgrywał ważną rolę. A już myślałam, że zniknęło bezpowrotnie, gdy wyrosłam z cięłych lat.

*Późnym popołudniem wykradłam się do ogrodu, mając na sobie tylko lekką bawełnianą sukienkę na ramiączkach i figi. Miałam nadzieję zastać Luisa przy pracy. Świadomość, że nie wytropi mnie babka, która poszła na obiad do przyjaciółki, dodała mi odwagi. Postanowiłam, że nie będę uciekać przed Luisem. Niech się dzieje, co chce.*

*Znalazłam go uśpionego na trawie, w cieniu rozłożystego dębu na skraju ogrodu. Od pasa w górę był nagi i miał na sobie jedynie dżinsowe spodnie, ucięte przy kolanach. Mimo że spuszczone powieki zasłaniały te jego hipnotyczne czarne oczy, był niesamowicie pociągający.*

*Podchodziłam ostrożnie bliżej i bliżej, uważając, żeby go nie zbudzić. W końcu ułożyłam się u jego boku z triumfalnym uśmiechem na ustach.*

*Teraz nie ja byłam bezradna: to on był zdany na moją łaskę, w każdym*

*razie dopóki się nie zbudzi.*

*Nikt nie mógł nas zobaczyć. Jed wyjechał na cały dzień, a żywopłot odgradzał mnie od okien domu.*

*Zresztą Delię przykuł do telewizora jej ukochany serial. Pochyliłam się nad Luisem, śledząc delikatny i fascynujący rysunek jego warg, potem opuściłam głowę i musnęłam jego usta. Uśmiechnął się, ale nie otworzył oczu.*

*Zdobywszy się na wielką śmiałość, dotknęłam gładkiej, ciepłej skóry na jego torsie i zaczęłam wędrować palcem wskazującym wzdłuż wąskiej linii ciemnych włosów, przez twarde, umięśnione brzuch, aż do granicy spodni. Luis jęknął przez sen. Podniecił mnie tym. Mogłam z nim zrobić wszystko, co tylko chciałam, a on nigdy by się o tym nie dowiedział*

*Rozwiązałam ramiączka na szyi i odczekałam, aż opadnie bawełniana tkanina, odsłaniając mi piersi. Powoli pochyliłam się nad nim i delikatnie dotknęłam jego torsu sutkami. Poczułam dreszcz w całym ciele. Luis wyszeptał imię, zdawało mi się, że moje.*

*Zsunęłam z siebie sukienkę i jigi. Naga, rozpięłam mu z przodu spodenki i ostrożnie pociągnęłam za zamek błyskawiczny. Gdy zorientowałam się, że Luis nie ma pod spodem żadnej bielizny, zaczęłam szybciej oddychać. Zamek błyskawiczny rozsuwał się coraz dalej. Nie mogłam się doczekać, kiedy...*

*Mrugając oczami, oprzytomniałam w bibliotece Szkarłatnego Kamienia, dziesięć lat starsza, ale nie mądrzejsza. W marzeniu nigdy nie udało mi się ściągnąć mu tych cholernych spodenek, prawdopodobnie dlatego, że nigdy nie widziałam go całkiem bez ubrania, a moja wyobraźnia nie potrafiła sprostać rzeczywistości, której przecucie budziło we mnie rozkoszny dreszcz.*

*Zniewolona czarem dawnych marzeń, pochyliłam się nad śpiącym Luisem i dotknęłam ustami jego warg. W chwilę później leżałam na nim, a on trzymał mnie mocno w ramionach i całował tak gorąco i namiętnie, że nie byłabym w stanie się odsunąć nawet gdyby mnie puścił. Tak skończyły się marzenia, i do diabła z nimi. Przebudzony, świadomie uczestniczący w naszym zespoleniu Luis był tak cudowny, że nigdy w życiu nie zdołałabym sobie tego wyobrazić.*

*Jego smak, tajemniczy i egzotyczny, dodawał pocałunkowi*

narkotyzującej mocy. Przyłgnęłam do niego, a on zmienił pozycję; leżeliśmy teraz spleceni ha kanapie. Chciałam, by już nigdy nic nas nie rozdzieliło.

- Tym razem cię nie puszcę - ostrzegł, otaczając dłonią moją pierś. Jęknęłam, poddając się pieśczoce, dając mu siebie, pragnąc go.

Ubrania przestały nam być potrzebne. Jak przez mgłę uświadomiłam sobie w pewnej chwili, że Luis zamknął drzwi biblioteki na klucz. Leżeliśmy nadzy przy sobie, czując dotyk swych ciał, wspaniałe, erotyczne doznania potęgowane pieśczoami, które wyzwalały we mnie ogień.

- Luis -jęknęłam. - Proszę cię, Luis. - Spod na wpół spuszczonej powiek widziałam przez chwilę jego twarz, pełną namiętności.

Uniósł się nade mną i staliśmy się jednością. Każde z nas posiadało i było posiadane, razem przeżyliśmy szczęśliwe olśnienie, odkrywając odwieczny rytm ziemi i jego ekstatyczne finałowe ukojenie.

Potem, gdy leżeliśmy przy sobie, chwilowo niezdolni do niczego więcej, opowiedziałam mu moje fantazje nastolatki.

- Nie wiesz nawet, ile razy spałaś ze mną - wymruczał. - Raz widziałem cię w obcisłym kostiumie kąpielowym, jednoczęściowym, jeśli dobrze pamiętam, ale strategiczne miejsca i tak pozostały w ukryciu, więc miałem zajęcie dla wyobraźni. - Leniwie przesunął dłonią po moim biodrze. - Rzeczywistość przeszła moje najśmielsze oczekiwania.

- Mmmm - mruknęłam tylko, bo wstyd nie pozwolił mi powiedzieć, że i on jest dla mnie wspaniały.

- Zawsze cię pragnąłem - powiedział. - Czy wiedziałaś to już wtedy? Pokręciłam głową.

- Jeszcze nie wiedziałam dość, żeby rozumieć, czego chcę. Ale od twojego dotyku, no... po prostu topniałam. Nadal topnieję.

Uśmiechnął się i przyciągnął mnie bliżej. Kiedy zaczął szeptać mi do ucha, co się z nim działo, gdy go dotykałam, poczułam nowy przypływ podniecenia. Wkrótce pojęłam, że samymi słowami Luis może wznieść mnie na wyżyny, o jakich inny mężczyzna nie mógłby marzyć. Ale to i tak było niczym w porównaniu z bezkresem, jaki osiągnęliśmy razem. Przejęta namiętnością o wiele silniejszą niż moja wola, nie mogłam

myśleć o niczym oprócz Luisa i czaru, jaki nas otacza. Dopiero po pewnym czasie, przysypiając w jego ramionach, uświadomiłam sobie, że do pokoju sączy się słodka woń. Rozpoznawszy ją, raptownie usiadłam i gorączkowo zaczęłam się rozglądać. Drzwi nadal były zamknięte. W bibliotece byliśmy tylko ja i Luis, ale spowijał nas silny zapach konwalii.

Nagle zrodziło się we mnie niezbite przekonanie, jakby przed chwilą zabrzmiały słowa. Jej słowa. Babka Faith dobrze wiedziała, co zaszło między nami i nie aprobowała tego. Ani trochę.

---

## ***ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY***

---

Mimo gwałtownego ruchu, jaki wykonałam poczuwszy aromat konwalii, Luis nie zbudził się, tylko wyciągnął ramię, jakby chciał mnie przytrzymać, i zaczął mamrotać. Nagle powiedział bardzo wyraźnie:

- Dotrzymałem warunków. Umowa wygasła. Zdziwiona zastanawiałam się, co mogły znaczyć te słowa, kiedy rozległ się brzęczyk aparatu przywołującego. Luis zamrugał i zerwał się na równe nogi, żeby wyłączyć urządzenie. Przelotnie spojrzał na mnie, przypominając mi tym, że nie okrywa mnie ani skrawek tkaniny.

- Potrzebny mi telefon - powiedział, wciągając szorty i spodnie. - Nie przypominam sobie, że bym tu widział aparat.

Sięgnęłam po szlafrok i nałożyłam go.

- Jest w holu -. powiedziałam. - W takiej ukrytej alkwie. Pokażę ci.

Wyszliśmy z biblioteki, Luis z obnażonym torsem i ja, ściskająca połę szlafroka. Miałam nadzieję, że brzęczyk nie zbudził dziewczynek ani Delii. Szczególnie Delii. Dziewczynki mogłyby nie domyślić się, co zaszło, ale Delia nie dałaby wyprowadzić się w pole.

Kiedy wróciłam do biblioteki zostawiwszy Luisa przy telefonie, po zapachu konwalii nie było już śladu.

Szybko włożyłam koszulę nocną, wsunęłam pantofle na nogi i zrobiłam, co mogłam, by pospiesznie przygładzić włosy. Luis wrócił w chwili, gdy zegar wybił czwartą.

- Muszę iść - powiedział ubierając się. - Dziecko ma ponad czterdzieści stopni gorączki, więc kazałem rodzicom przywieźć je do gabinetu na badanie.

Przychodziły mi do głowy same niewiarygodne banały zarówno o tym dziecku, jak i o naszym wspólnym przeżyciu, więc nie odezwałam się.

Luis włożył buty, przypiął do paska aparat przywołujący, spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

- Nie skorzystałem ani z kawy, ani z kanapki, hm?



Pokręciłam głową.

Pochylił się przy mnie i musnął wargami moje usta.

- Nie chcę odchodzić.

Pociągnął mnie z sobą otaczając ramieniem w talii. Kiedy mijaliśmy wózek z jedzeniem, chwyciłam z talerzyka cztery ciasteczka i podałam mu.

- Akurat najodpowiedniejsza liczba - ucieszył się. - Magiczna.

- Myślałam, że magiczna jest siódemka.

- Nie dla mojego plemienia. - Przy drzwiach zawahał się. - Czy używasz czasem konwaliowych perfum?

A więc też wyczuł tę woń.

- Nie - powiedziałam. - Ale moja babka używała.

- Tak, to wiem. - Przyciągnął mnie do siebie i spojrzał mi w oczy. - Bądź bardzo ostrożna. Wrócę zabrać Soso do domu, gdy tylko będę mógł.

Starannie zamknęłam za nim drzwi, oszołomiona trwałością doznań po wybuchu namiętności. Podstawiłam krzesło pod klamkę zastanawiając się, czy nie zrobiłam z siebie idiotki. Wciąż jednak byłam pod jego urokiem, więc na dobrą sprawę niezbyt mnie to obchodziło.

- Luis - szepnęłam, rozkoszując się brzmieniem jego imienia.

Półprzytomna wspierałam się na schody. Kiedy otworzyłam drzwi do sypialni, Diabło wyskoczył jak z procy i popędził schodami na dół. Pomyślałam, że spieszo mu do miski z jedzeniem albo do kuwety z piaskiem w pakamerze. Przeszłam do sąsiedniego pokoju i rzuciłam okiem na śpiące dziewczynki, a potem ułożyłam się na łóżku mówiąc sobie, że muszę kilka minut odpocząć.

Zbudziły mnie chichoty i głuchy łoskot w pokoju dziewczynek. Słońce zalewało mój pokój, a Tibbie i Soso toczyły zaciętą bitwę na poduszki.

Luis przyjechał, kiedy kończyłyśmy śniadanie, ale odmówił poczęstunku prócz kawy.

- Zjadłem w szpitalu w Thompsonville - powiedział. - Przyjmowałem tam rano pacjenta.

Pewnie to dziecko z gorączką, pomyślałam przyglądając się lekko potarganemu Luisowi. Nigdy nie widziałam tak zmysłowego

mężczyzny. Sądząc po ostrym spojrzeniu Delii, która właśnie stawiała na stole filiżankę dla Luisa, musiałam chyba wyglądać jak obłąkana, więc uciekłam przed nią wzrokiem i zatrzymałam go na Soso.

- Było mi bardzo przyjemnie gościć cię tutaj - powiedziałam do dziewczynki. - Mam nadzieję, że niedługo znowu nas odwiedzisz.

- No, ja też - wtrąciła Tibbie, nim Soso miała okazję się odezwać. Soso wbiła wzrok w talerz.

- Dziękuję - powiedziała nieśmiało. - Było fajnie.

Kiedy w towarzystwie Tibbie pobiegła na górę spakować rzeczy, przeszliśmy z Luisem do holu.

- Przed przyjazdem do ciebie wczoraj wieczorem rozmawiałem z dziadkiem. Miałem ci to przekazać wcześniej, ale... - urwał i przesunął palcem wskazującym po moich wargach - kochając się z tobą zapomniałem o Bożym świecie. To cud, że w ogóle dziś rano pamiętam, jak się nazywam.

Polizałam go po palcu, a on głośno zaczerpnął powietrza i chwycił mnie za ramiona.

- Nie kuś mnie. I tak ledwo mogę się powstrzymać, żeby nie rzucić cię na kanapę i zacząć od nowa.

- Co powiedział ci Biegnący Lis? - spytałam, starając się nie lgnąć do niego.

Luis opuścił ręce, a ja natychmiast zatęskniłam za ich dotykiem.

- Dziadek powiedział, że musisz mu przekazać przeze mnie wszystkie cztery pióra. Chciał też wiedzieć, co duch we śnie powiedział ci o dwóch ostatnich.

Duch we śnie? Pióra? Zebrałam myśli.

- Trzecie było piórko błękitnej sójki. Strzeż się sprytnego złodzieja, powiedział głos. Czwartego nie rozpoznałam i nie przypominam sobie, żeby była o nim mowa, tyle że śniła mi się trumna. - Odpędziłam od siebie to wspomnienie. - Piórka są na górze. Zaraz ci przyniosę.

Kiedy wchodziłam po schodach, dziewczynki z tupotem przemknęły obok mnie w przeciwnym kierunku. W sypialni wzięłam kopertę z biurka, wsunęłam do niej piórka i zakleiłam. Luis czekał przy otwartych drzwiach. Razem wyszliśmy na dwór i dołączyliśmy do dziewczynek stojących przy samochodzie.

- Zabrałbym ciebie i Tibbie - powiedział - ale muszę odwiedzić pacjentów w osadzie i na wzgórzach. A w drodze powrotnej czeka mnie jeszcze wizyta w szpitalu.

Twarz Tibbie wyrażała rozczarowanie. Miałam nadzieję, że lepiej ukrywam to samo uczucie. Potrzeba bycia z Luisem nie tylko zaskoczyła mnie, lecz i wprowadziła w zakłopotanie, bo dotąd byłam dumna z ciężko wywalczonej umiejętności samodzielnego dawania sobie rady, z siły, dzięki której nie musiałam w nikim szukać oparcia.

- Mam nadzieję, że zobaczymy się wieczorem, ale to nie jest pewne - powiedział. - Nie mogę obiecać.

Tibbie i ja patrzyłyśmy za samochodem, póki nie zniknął nam z pola widzenia.

- Już zatęskniłam za Soso - skarżyła się Tibbie, kiedy usiadłyśmy na schodkach przed frontowymi drzwiami. - Szkoda, że nie jesteśmy siostrami. Ona wie tyle ciekawych rzeczy o zwierzętach i takich różnych sprawach. A poza tym mamy z sobą wiele wspólnego. Ona też nie ma ojca, a jej mama nie żyje.

- Wobec tego u kogo mieszka Soso?

- U babki. Ale jej babka jest chora na coś, czego Biegnący Lis i Luis nie umieją wyleczyć, więc wkrótce ma umrzeć. Potem Soso może będzie musiała wyjechać na północ, do jakichś krewnych, ale ona nie chce.

Przypomniałam sobie wzmiankę Luisa o babce.

- Gdybyśmy zostały na stałe tutaj, w Szkarłatnym Kamieniu - ciągnęła Tibbie - może mogłybyśmy zaprosić Soso, żeby zamieszkała z nami po śmierci babki.

- Ale nie zostajemy - przypomniałam jej cicho, przejęta współczuciem dla Soso.

Westchnęła.

- Wiem. Ale chciałabym, żeby tak było.

Słyszac samochód na podjeździe wstałam, Tibbie zrobiła to samo. Lśniący czerwony sportowy wóz przystanął na wprost schodków.

- Ale bomba - powiedziała Tibbie do wysiadającego Trávisa,

- Słyszę bratnią duszę - odpowiedział Travis, kładąc jej rękę na ramieniu. - Znalazłaś najważniejsze słowo.

Weszliśmy do domu. Zaprosiłam Trávisa na kawę, a Tibbie powlokła

się ćwiczyć na fortepianie.

Travis u siadł naprzeciwko mnie przy krytym szklęm stole w saloniku. W milczeniu mieszał i mieszał kawę, aż wreszcie poczułam, że mam ochotę wylać mu ją na kolana. Z głupiego uporu postanowiłam jednak, że prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż odezwę się pierwsza.

- Wygląda na to, że ty, Tibbie i Delia jesteście zdrowe - powiedział w końcu. - Czyli nie potrzebowałyście lekarza wczoraj wieczorem. Stąd wniosek, że twoim zdaniem Luis lepiej potrafi stawić czoło włamywaczowi niż ja.

Zamrugałam powiekami. A więc wiedział, że Luis tutaj był. Moją wadą jest to, że zbyt często przeproszam innych i tłumaczę się, więc i tym razem powiedziałam:

- Luis wpadł dziś rano po Soso.

- Wpadł? - Travis uniósł brwi. - A kiedy odjechał?

Czyżby próbował obudzić we mnie poczucie winy? Nie mogłam ukryć rozdrażnienia.

- Nie wiedziałam, że tak cię interesuje, kto przyjeżdża do Szkarłatnego Kamienia, a kto wyjeżdża.

- W normalnych okolicznościach oczywiście nic mi do tego. Ale wczoraj zrobiłaś na mnie takie wrażenie, jakbyś znalazła się w oblężeniu i potrzebowała błędnego rycerza. Byłem dość głupi, by uznać, że to mnie wyznaczyłaś tę rolę. -W jego głosie pobrzmiwał wyrzut, chyba szczery. - Ale ty odstawiłaś mnie na bok i wybrałaś Luisa.

- Było zupełnie inaczej. Jedowi zepsuł się furgon w Visalii, więc nie mógł wrócić na czas z zasuwami. Do tej pory zresztą nie wrócił. Luis przyjechał zaraz po telefonie Jeda z tą fatalną wiadomością.

Zaproponował... no, dokładnie to samo, co ty wcześniej. Bez zasuw w drzwiach nie czułam się pewnie, więc poprosiłam go, żeby został. Ale naprawdę, Travis, nie znoszę, kiedy ktoś poddaje mnie przesłuchaniu.

Westchnął.

- Przepraszam. Ponieważ nie chciałaś, żebym pilnował domu od środka, po północy przyjechałem tu konno, planując rozbić obóz na twoim terenie i czatować na dworze. Ale zobaczyłem terenowy samochód na podjeździe, więc odczekałem, póki nie stało się jasne, że Luis nie zamierza odjeżdżać. Byłem ci niepotrzebny, dlatego wróciłem

do domu. - Potulnie się do mnie uśmiechnął. - Przyznaję, że trochę się rozeźliłem.

Tym wyjaśnieniem rozwiązał moją irytację. Jak mogłam być zła na człowieka, którego jedyną intencją było mnie chronić?

- Poczciwy Luis zawsze był groźnym konkurentem - powiedział Travis. - A co dopiero teraz, kiedy jest lekarzem, nie jakimś tam obdartym indiańcem ze wzgórz.

- Nie wybieram przyjaciół według ich pozycji ani zamożności - stwierdziłam z oburzeniem.

Travis uniósł dłonie w uspokajającym geście.

- Zdaje się, że dziś rano popisuję się talentem do gaf. Prawda jest taka, że dla sukcesów Luisa nie żywię nic prócz podziwu. Twoja babka zachowała się bardzo wielkodusznie, dając mu pieniądze na naukę w college'u i studia medyczne, ale muszę przyznać, że uczciwie sobie na nie zasłużył.

Z zaskoczenia odebrało mi mowę. Babka Faith wysłała Luisa na studia medyczne? Mimo że była znana ze skąpstwa i nigdy nie okazywała mu sympatii?

Travis najwyraźniej zauważył moje zdziwienie, bo dodał:

- Myślałem, że o tym wiesz. Pokręciłam głową.

- Dlaczego to zrobiła? - spytałam. Wzruszył ramionami.

- Zdaniem mojej matki, tylko w ten sposób pani Faith mogła zapewnić sobie lekarza na każde zawołanie. Naranada nie jest mekką adeptów medycyny.

Miał rację. O ile wiedziałam, zanim Luis otworzył praktykę, w miasteczku nigdy nie było lekarza. Ale nauka w college'u i studia medyczne drogo kosztowały. Tak hojny gest mojej babki był nie tylko nietypowy dla niej, lecz również prawie niewyobrażalny.

- Musiała pożyczyć Luisowi te pieniądze - powiedziałam bardziej do siebie niż do Travisa.

- Nie. Z tego, co wiem, po prostu mu je dała. Zaczęłam rozmyślać, dlaczego ani babka, ani

Luis nigdy mi o tym nie wspomnieli, tymczasem Travis zmienił temat.

- Ustaliłem już datę przyjęcia - oświadczył. - W przyszłą niedzielę,

dobrze?

Już miałam skinąć głową, ale wstrzymałam się i zaczęłam liczyć dni.

- Ależ to są moje urodziny.

- Wiem. Czy może być lepszy pretekst do przyjęcia? Zapraszam również Tibbie. Nie dopuściłbym do jej nieobecności na urodzinach mamy.

- Nie wiem, Travis - powiedziałam wolno, przypominając sobie, co się stało podczas ostatnich obchodów moich urodzin w Naranadzie i jaką rolę odegrał w tym Travis.

- Czy to znaczy, że nie życzysz sobie urodzinowego przyjęcia? - Travis uciekł ze spojrzeniem gdzieś w bok. - A ty co o tym sądzisz, Tibbie?

Ujrzałam córkę stojącą na progu.

- Słyszałam, jak pan mówił, że jestem zaproszona - odpowiedziała. - Dziękuję. - I przenosząc wzrok na mnie dodała: - Mnie się wydaje, że to fajny pomysł, mamo.

Nie chciałam w obecności Tibbie mówić o przyczynach moich wątpliwości, zrobiłam więc unik:

- Zastanowię się.

- To zwykle znaczy „tak” - poufałym tonem wyjaśniła Trávisa Tibbie. - Ale nie zawsze. Lubię przyjęcia, tylko że mama nie chodzi na nie często, więc może ona nie lubi.

- Nie dąsaj się, Val, będzie fajnie - nalegał Travis. - Obiecuję ci, że ubawisz się jak jeszcze nigdy w życiu.

Właściwie czemu nie? Odmową rozczarowałabym Tibbie, a poza tym jakie niebezpieczeństwo mogło nam grozić na przyjęciu u Trávisa?

- Widzę, że mnie przegłosowano - oznajmiłam. - Wobec tego zgoda, ale proszę umówmy się, że nie ma żadnych urodzinowych prezentów.

- Wspomnę o tym gościom. Co do mnie, udam, że tego nie słyszałam.

- Travis, naprawdę nie chcę żadnych prezentów.

- Nie odbieraj ofiarodawcy radości dawania. Tak jest w Biblii, więc się nie sprzeciwiaj.

Uśmiechnęłam się ustępliwie. Wiedziałam, że Travis zrobi tak jak chce, wbrew moim najgorliwszym protestom. Niedługo potem

przyjechał Jed i Travis uparł się, że pomoże mu założyć zasuwy. Podczas gdy obaj pracowali, poszliśmy z Tibbie do zagrody z cukrem dla Mis tyego, a potem nakarmiłyśmy kaczki pływające po stawie. Kiedy wszystkie okruchy zniknęły, usiadłyśmy na ławce nad wodą, w cieniu wierzby płaczącej, i przyglądałyśmy się, jak trzy kaczki oddalają się ku drugiemu brzegowi.

- Soso powiedziała, że powinniśmy się postarać o jeszcze jedną kaczkę - powiedziała Tibbie.

- Bo dla Miwoków czwórka jest magiczna?

- Słyszałaś o tym od Luisa, prawda? Potwierdziłam skinieniem głowy.

- Powiedziała Soso o moich atakach - odezwała się Tibbie po dłuższej chwili. - Bałam się, że już nie będzie chciała się ze mną przyjaźnić, bo wydam jej się dziwadłem, tak jak dzieciom w Santa Cruz. Ale uznałam, że powinna wiedzieć. A Soso powiedziała, że kiedy znajdzie to, czego szuka duch, ataki przestaną mnie dręczyć i nigdy więcej nie wrócą. Czy myślisz, że ona ma rację?

Twarz Tibbie wyrażała tyle nadziei, że musiałam bardzo starannie przemyśleć dobór słów.

- Poczekajmy, to zobaczymy. - Nie sądziłam wprawdzie, żeby Soso wiedziała, co mówi, ale było w tym akurat tyle samo sensu, ile w opiniach niektórych lekarzy.

- Soso widziała jeszcze inne sowy, nie tylko białe, takie jak ta, która mieszka przy naszym domu - ciągnęła Tibbie. - Powiedziała mi, że kiedy zły człowiek umiera, jego duch czasem wciela się w sowę.

Znów musiałam uważać.

- Jej plemię ma inną wiarę niż nasza.

- Tak, wiem. Ale to mi dało do myślenia. Może oni mają rację, a my nie... Skąd można wiedzieć?

- Nie znam odpowiedzi... Może nie mają racji ani jedni, ani drudzy? Tibbie myślała nad tym przez dłuższą chwilę.

- A czy tak na wszelki wypadek mogłybyśmy dokupić czwartą kaczkę?

- Czy dobrze słyszałem, że szukacie jeszcze jednej kaczki? - odezwał się Travis za naszymi plecami. - Nie wystarczą wam trzy?

- Lepiej byłoby mieć cztery - odparła Tibbie.

- Na moim ranczu z pewnością mamy jakąś małą, która nie jest potrzebna. Przyniosę ci.

Tibbie uśmiechnęła się do niego.

- To wspaniale, panie York. Dziękuję.

- Zawsze z największą przyjemnością spełniam życzenia małych dziewczynek.

Tibbie, nie przyzwyczajona do takiej żartobliwej galanterii, spojrzała na mnie niepewnym wzrokiem.

- Skończyliście z Jedem montować zasuwy? - spytałam Travisa.

- Zostawiłem go, jak zakładał ostatnią.

- Mogę odwzajemnić się lunchem za tę pomoc.

- Dziękuję, nie skorzystam. Ale może jeszcze wpadnę później.

Z kaczką? - spytała Tibbie. Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Strzeż się Greków niosących dary, Heleno. Do zobaczenia.

Kiedy znalazł się poza zasięgiem naszych głosów, Tibbie spytała:

- Dlaczego nazwał mnie Heleną?

- Czy jesteś gotowa posłuchać długiej historii? Przewróciła oczami.

- Chyba tak.

Opowiedziałam jej o pięknej Helenie i o tym, jak

Parys wykradł ją z domostwa w Sparcie i uprowadził do państwa-miasta Troi, otoczonego murami. Krótka zbyłam przygotowania rozwścieczonych Greków do morskiej wyprawy po Helenę oraz bitwy, jakie stoczono po ich przybyciu pod Troję, bo chciałam jak najszybciej wprowadzić wątek konia.

- I kiedy garstka greckich żołnierzy ukryła się we wcześniej zbudowanym olbrzymim drewnianym koniu na kołach, reszta armii udała, że odpływa. Chociaż jeden z kapłanów ostrzegał ich przed Grekami, nawet gdy składają dary, Trojanie wciągnęli konia przez bramę do miasta, pomiędzy mury, nie przypuszczając nawet, co kryje się wewnątrz. Tej samej nocy greccy żołnierze niepostrzeżenie wydostali się z brzucha konia i otworzyli bramy przed resztą wojska. W ten sposób Troję zniszczono, trojańskich mężczyzn pozabijano, a ich kobiety sprzedano w niewolę. Tylko Helena wróciła do domu.

Tibbie skrzywiła się.



- Tfu, okropieństwo. Ale dlaczego pan York mi to powiedział? Czy powinnam strzec się kogoś, kto chce mi dać coś, co wygląda jak prezent?

- Travis chciał być zabawny - powiedziałam z uśmiechem. - Myślę, że możemy przyjąć od niego kaczkę *nie* obawiając się zniszczenia ani sprzedania w niewolę.

Przez całą drogę do domu Tibbie trwała w zamyśleniu. W holu dokładnie obejrzała swój wizerunek w lustrze o pozłacanych ramach, przekrzywiając głowę na lewo i prawo.

- Nic z tych rzeczy - powiedziała. - Nieźle wyglądam, ale ładna nie jestem. A tym bardziej piękna, jak Helena z tej historii.

- Nie traktuj zbyt dosłownie tego, co mówi Travis - poradziłam. - On lubi się droczyć. A jeśli chcesz znać moje zdanie, to jesteś zdecydowanie najlepiej wyglądającą dziewięciolatką w całej Naranadzie.

Tibbie zachichotała.

- Znowu się wygłupiasz, mamo.

Po lunchu stwierdziłam, że oczy same mi się zamykają, więc zostawiłam Tibbie z Delią i zdrzemnęłam się trochę. Późnym popołudniem zbudził mnie zapach świeżego pieczywa.

- Delia i ja upiekłyśmy bułeczki - powiadomiła mnie Tibbie, gdy wkroczyłam do kuchni. - Damy ci spróbować na kolację.

Zjadłyśmy wcześniej i potem zagrałyśmy z Delią kilka partii kierków. Raz wygrałam. Czułam się prawie tak, jakby wszystko było w porządku, całkiem normalnie. Tylko gdy mój wzrok padał na nową zasuwę przy kuchennych drzwiach, przypominało mi się, dlaczego trzeba było ją założyć.

Travis wrócił o zmroku.

- Twoja kaczka pływa razem z tamtymi - powiedział do Tibbie. - Chyba im się spodobała. A może spodobał. Z białymi kaczkami nigdy nie wiadomo.

Tibbie chciała zaraz ją zobaczyć, więc poszliśmy nad staw. Przez kilka minut przyglądaliśmy się czterem kaczkom leniwie sunącym po wodzie. W drodze powrotnej mimo woli spojrzałam w stronę Mount Sangre i krótko zatrzymałam wzrok na szczycie, bo wydało mi się, że zauważyłam tam błysk. Nie powtórzył się jednak, więc postanowiłam nic nie mówić Travisowi.

- Czy przyjęcie dla mojej mamy będzie wieczorem? - zainteresowała Się Tibbie.

- Tak planowałem, owszem.

- To dobrze, bo rzadko wolno mi bawić się do późna.

- Na moim przyjęciu będziesz bawić się do późnej godziny.

Gwarantuję ci.

Tibbie zmierzyła mnie triumfującym spojrzeniem. W odpowiedzi wruszyłam ramionami. Raz może nie spać, nie zaszkodzi jej. Przez te ataki robiłam się chyba nadopiekuńcza.

Po powrocie do domu dalej graliśmy w kierki, teraz z Travisem zamiast Delii, ale po drugiej rundce zaczęłam ziewać.

- Zdaje się, że twoja mama próbuje mi coś powiedzieć - stwierdził Travis, gdy ledwie starczyło mi dłoni, by zasłonić usta przy kolejnym ziewnięciu.

- Przepraszam - powiedziałam. - Obawiam się, że dziś muszę położyć się wcześniej.

- Zawsze wyczuwam aluzję, kiedy dostanę nią w łeb - odezwał się Travis. - Pozwól mi tylko jeszcze raz rzucić okiem na okna. Upewnię się, czy wszystkie są zamknięte, i już mnie nie ma.

Zamknęłam za nim drzwi, czując się o wiele bezpieczniej z dodatkowymi zasuwami. Dość bezpiecznie, by zrezygnować z czuwania przez kolejną noc. Skoro nic nam nie groziło, mogłam iść do łóżka.

- Czy dasz mi... chciałam spytać, czy pozwolisz mi zabrać Diabła do pokoju? - spytała Tibbie. - On naprawdę jest bardzo grzeczny.

Wahałam się. W końcu uznałam, że kotek najprawdopodobniej i tak nie zostanie w łóżku przez całą noc, tak samo jak poprzednio, więc dla czego odbierać córce coś, co dodaje jej otuchy. Niechęc do zwierząt w sypialni przejęłam prawdopodobnie po babce Faith, która nigdy nie pozwalała mi spać z Sombłą.

- Koty, nawet tak czyste jak Sombra, przenoszą zarazki - mówiła i recytowała długą listę paskudnych chorób, których można nabawić się od kota w łóżku. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że babka musiała spędzać wszystkie letnie miesiące przewidując najstraszniejsze rzeczy, jakie mogą mi się przydarzyć.

A przecież przysięgałam sobie, że nie upodobnię się do niej.

Musiałam troszczyć się o Tibbie, ale nie należało przesadzać z każdą bagatelką.

- W porządku - powiedziałam. - Diabło może z tobą spać. Zostawię uchylone drzwi do mojej sypialni, żeby mógł zejść na dół, gdyby potrzebował.

Nagrodziła mnie uśmiechem szczęścia i porwała Diabła w ramiona.

Gdy tylko Tibbie i kot ułożyli się przytuleni w łóżku, poczułam, że nie jestem już taka senna. Chciałam poczytać, ale na nocnej szafce zobaczyłam tylko tomik wierszy, który dostałam w prezencie od Luisa. W Santa Cruz zajęłabym się nim z przyjemnością, ale tu, w Szkarłatnym Kamieniu, wyobraźnia poetki niepokoiła mnie. Szczególnie nocą.

Tyle było tam mowy o wędrówkach zjaw i duchach wpływających na nasze życie, że widziałam w tym zamach na moje poczucie rzeczywistości.

Zastanawiałam się, czy zadać sobie trud zejścia do biblioteki po coś innego. Niezdecydowana, znalazłam się przy oknie i wyjrzałam w noc. Chociaż z sypialni nie widziałam Mount Sangre, pamiętałam o świetle, które już drugi raz zauważyłam na jego szczycie. Żałowałam, że nie wspomniałam o tym Travisowi.

Ciekawe, czy nadal było widać to światło. Wiedziałam, że nie zaznam spokoju, póki nie spojrzę na wzgórze. Oznaczało to, że muszę zejść na dół, skąd miałam znośny widok. Zerknęłam do Tibbie i przekonałam się, że już śpi. Nie zawracając sobie głowy wkładaniem szlafroka czy szukaniem rannych pantofli, wykradłam się na korytarz i zeszłam po schodach.

Chociaż zostawiłam mniej świateł niż poprzedniej nocy, palił się jeden z kinkietów w holu na parterze, dzięki czemu nie musiałam szukać drogi po omacku. Wiedziałam, że mam najlepszy widok ze schodków przed domem, ale zawahałam się przed otwarciem drzwi i zamiast tego wyjrzałam przez wysokie, podłużne okno z prawej strony wejścia.

Światło na szczycie! Raczej migotliwe, nie stałe. Cóż to może być? Kto tam wszedł i co robi? Chciałam zobaczyć lepiej. Zapaliłam lampę przed progiem i uważnie zbadalam wzrokiem schody oraz tę część podwórza, która znalazła się w kręgu światła. Nikogo nie zauważyłam.

Wziąwszy głęboki oddech zgasiłam światło, przekręciłam klucz w

zamku i otworzyłam frontowe drzwi. Ostrożnie wyszłam na dwór.

Spojrzałam na Mount Sangre i usłyszałam ciche zawodzenie. Czy z wierzchołka? Posłuchałam chwilę i nabrałam pewności. Chociaż lipcowa noc była ciepła, mocno przycisnęłam ramiona do piersi, żeby zwalczyć zimno, jakie przenikało mnie od wewnątrz. Nie wątpiłam, że zawodzenie i migotliwe światło mają ze sobą związek. Przypomniawszy sobie czarną świecę i zakłęcie sprzed dziesięciu lat, poczułam w ustach smak strachu. Jakaż to przerażająca ceremonia odbywa się dzisiejszej nocy na tym cholernym wzgórzu?

---

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

---

Zaalarmowana światłem i dźwiękami płynącymi z wierzchołka Mount Sangre uciekłam do domu, dokładnie zamknęłam drzwi i zabezpieczyłam je zasuwą. Potem stałam roztrzęsiona, usiłując przekonać siebie, że to tylko miejscowe urwisy wymachują pochodniami, że nie dzieje się nic gorszego ani bardziej groźnego. Ale jak mogłam uwierzyć w tak proste wyjaśnienie, skoro czułam spływające ze szczytu wzgórza fale mocy, które przyprawiały mnie o gęsią skórę.

Może „moc” nie była właściwym słowem, ale wyraźnie miałam wrażenie, że płomienie i monotony śpiew budzą coś, od czego włosy stają mi dęba, a wszystkie nerwy napinają się jak postronki.

Teraz wrażenie to znikło, zapewne osłoniła mnie ściana domu. A może zwyczajnie uległam grze nadwrażliwej wyobraźni i w napadzie panicznego lęku odczułam oddziaływanie nie istniejącej siły?

Ale światła były prawdziwe. I na pewno słyszałam głosy, wiele głosów. Tej nocy spokój Mount Sangre zakłócili obcy ludzie. Bóg jeden wie, po co. Nie zamierzałam bynajmniej sprawdzać, kim są ani czego chcą, przynajmniej nie przed świtem. Zresztą nie byłam pewna, czy nawet za dnia odważyłabym się wejść na szczyt.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza i wolno je wypuściłam. Dom dawał bezpieczne schronienie i mnie, i Tibbie, Drzwi były wzmocnione zasuwami, okna zamknięte. Nikt nie mógł dostać się do środka, chyba że siłą, ale w takim przypadku narobiłby dość hałasu, żebym zdążyła wezwać pomoc.

Wolnym krokiem przeszłam do biblioteki, gdzie lampa stojąca na biurku roztaczała przyćmione światło i rzucała złowieszcze cienie. Gryfy z kominka zdawały się na mnie warczeć. Czy powinnam tu czuwać? Niepewnie wzruszyłam ramionami. A gdyby Tibbie dostała tymczasem ataku i gdzieś wywędrowała? Gdyby schodziła kuchennymi schodami, za nic bym jej nie usłyszała. Poprzedniej nocy była z nią Soso, ale dziś

już nie. Musiałam albo wrócić do siebie, albo zbudzić Tibbie i przyprowadzić ją do biblioteki. Po krótkim zastanowieniu wzięłam pogrzebacz z kominka i zniosłam go na górę do sypialni. Na wszelki wypadek.

Tibbie spała niespokojnie. Gdy jej się przyglądałam, Diabło zeskoczył z łóżka i wymaszerował z pokoju. Opuścił nas. Pokręciłam głową, uświadamiając sobie chorobliwość tej myśli. Kotek ma swoje potrzeby, nie związane z Tibbie ani ze mną. Nadal przyglądałam się małej, poruszona matczynym uczuciem miłości. Wróciłam do Szkarłatnego Kamienia, mając nadzieję na poprawę jej zdrowia. Czy podjęłam mądrą decyzję?

Tibbie była zachwycona tym miejscem, uwielbiała Misty'ego i wiejski krajobraz, a stary dom ją fascynował. Nawet nawiązała nową przyjaźń. Gdybym wspomniała o rychłym wyjeździe, zgłosiłaby burzliwy protest. Długo musiałabym czekać na wybaczenie, a jeszcze dłużej, nim zrozumiałaby, dlaczego kazałam jej wyjechać z takiego wspaniałego miejsca, skoro obiecywałam pobyt przez całe wakacje. Zrobiłabym wszystko, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo, zniosłabym nawet jej dezaprobatę i rozczarowanie. Ale czy naprawdę Tibbie znajdowała się w niebezpieczeństwie? Luis zdawał się tak sądzić, chociaż nie rozumiałam dlaczego. Gdybym miała wierzyć w sensne ostrzeżenia, powiedziałabym, że są skierowane pod moim adresem, a nie Tibbie.

A włamywacz? Czy nie przypisywałam nadmiernego znaczenia temu zdarzeniu? Do licha, gdzie na świecie człowiek jest bezpieczny przed potencjalnymi złodziejami? W Santa Cruz też były dwie nieudane próby włamania do naszego mieszkania. Drugiego rabusia policja złapała, okazał się małoletnim narkomanem.

Nie chciałam opuszczać Luisa, tak samo jak Tibbie nie chciała wyjeżdżać z Szkarłatnego Kamienia. Ale dla bezpieczeństwa powinnyśmy jednak wynieść się stąd szybciej niż we wrześniu, więc należało zacząć oswajać Tibbie z myślą o wcześniejszym wyjeździe. Jeszcze nie jutro, ale w następnym tygodniu. Po przyjęciu u Trávisa, bo Tibbie czeka na nie z wielką niecierpliwością.

Kiedy w końcu przyłożyłam głowę do poduszki zostawiwszy pogrzebacz w zasięgu ręki, ponure myśli zdołały zachwiać resztkami

mojej pewności siebie. Owładnęło mną przekonanie, że już nigdy nie odważę się zasnąć.

Luisie, myślałam, dlaczego cię tu nie ma? Przypomnienie jego pieścizot trochę mnie odprężyło.

Westchnęłam. Tonęłam w tym miłym rozmarzeniu, póki nie usłyszałam, że gdzieś na dole skrzypnęła deska.

Natychmiast usiadłam wyprostowana, chwyciłam pogrzebacz i zamieniłam się w słuch, ale dźwięk się nie powtórzył. Przypomniawszy sobie, że w starym domu jest mnóstwo skrzypiących i jękliwych odgłosów, z powrotem ułożyłam się na poduszce, zachowałam jednak czujność i nie wypuściłam pogrzebacza z dłoni.

Mimo lęku wkrótce musiałam przysnąć, bo nagle poderwałam się z mocno bijącym sercem. Tibbie stała na progu, w świetle nocnej lampki sączącym się z jej pokoju.

Musiałam przełknąć ślinę, żeby móc się odezwać.

- Co się stało, Tibbie? - spytałam. Słowa nie chciały mi przejść przez gardło, bo miałam wrażenie, że wiem.

- Gdzie on jest? - spytała beznamiętnie i weszła do mojej sypialni, spoglądając przed siebie rozkojarzonym wzrokiem, jak zawsze w czasie ataków. Minęła łóżko i doszłaby do drzwi, gdybym nie skoczyła i nie złapała jej za ramię.

- Chodź do mnie do łóżka - powiedziałam i lekko pociągnęłam ją ku sobie.

Trafiłam jednak na opór. Popatrzyłam na nią zdziwiona. Nigdy przedtem Tibbie nie przeciwstawiała mi się podczas ataku.

Mogłam zaciągnąć ją do łóżka wykorzystując przewagę wzrostu i siły, ale nie chciałam zrobić jej krzywdy. Pod wpływem nagłej decyzji puściłam ramię Tibbie i wzięłam ją za dłoń.

- W porządku, pójdę z tobą - powiedziałam, wolną ręką chwytając pogrzebacz. Tibbie wyprowadziła mnie na korytarz i zeszła po schodach. Kinkiet przy wejściu palił się nadal. Przez dłuższą chwilę mała stała u podnóża schodów, jakby nasłuchiwała.

Słuchałam razem z nią. Dolatywało mnie bardzo odległe, ledwie słyszalne kwilenie, od którego krzepła mi krew w żyłach. Czyżby dźwięk pochodził z zewnątrz?

Tibbie odwróciła się w stronę biblioteki. Ze mną u boku przeszła do zamkniętych drzwi... Czy to ja je zamknęłam? Nie mogłam sobie przypomnieć. Ogarnął mnie niepokój. Kiedy Tibbie położyła dłoń na kłamce, kwilenie rozległo się znowu. Zdecydowanie z wnętrza domu. Z biblioteki. Tibbie otworzyła drzwi.

Lampa stojąca na biurku nie świeciła dość jasno, więc puściłam dłoń córki, żeby zapalić górne światło. Kiedy przekreśliłam wyłącznik, Tibbie pobiegła do kominka. Dołączyłam do niej w chwili, gdy wodziła palcami po rzeźbionym gryfie, jakby chciała zapamiętać kształt bruzd w drewnie. Obmacała oba gryfy z prawej strony, potem oba z lewej i w końcu znieruchomiła.

Zamrugałam widząc, jak Tibbie zniechęta znowu chwyta za gryfa i przy nim manipuluje. Pod jej palcami głowa bestii zmieniła położenie i ku mojemu zdziwieniu drewniana płyta, do której był przytwierdzony gryf, drgnęła. Coś czarnego skoczyło prosto na nas. Szarpnęłam Tibbie do tyłu. Obie upadłyśmy na podłogę, pogrzebacz wyleciał mi z ręki.

Tibbie pozbierała się pierwsza. Usiadła i przyłożyła dłoń do czoła.

- Diabło? - powiedziała. - Gdzie jest Diabło? Zobaczyłam biały pyszczek kotka wystający spod kanapy i z opóźnieniem pojęłam, że słyszałyśmy kwilenie Diabła. Właśnie uwolniłyśmy go ze skrytki w kominku. I dopiero teraz uświadomiłam sobie, co Tibbie powiedziała tym razem, gdy wstała pod wpływem ataku. Nie tak jak zwykle „Gdzie to jest?”, tylko „Gdzie on jest?”.

Szukała Diabła i znalazła.

Tibbie wywabiła mruzcza spod kanapy, przytuliła i obsypała pieścizotami. Dopiero kiedy była przekonana, że nic mu nie jest, rozejrzała się dokoła, a potem spojrzała na mnie.

- Czy miałam atak? - spytała.

- Niezupełnie, ale chyba coś w tym rodzaju. - Zrobiłam gest w kierunku skrytki, na tyle małej, że kotek ledwie się tam mieścił. - Uwolniłaś stamtąd Diabła.

- Byłam pewna, że coś słyszę - powiedziała Delia, stając na progu w szlafroku i kapciach. - Co się znowu stało?

- Popatrz - wskazałam. - Czy wiedziałaś o tej skrytce przy kominku? Delia pokręciła głową i podeszła bliżej.



- Boże miłosierny, co nas jeszcze czeka? Wszystkie trzy zbadałyśmy skrytkę. Sięgnęłam do środka. Myślałam, że jest pusta, ale zaraz poczułam pod palcami coś miękkiego. Wlepiłyśmy wzrok w cztery piórka, które trzymałam w dłoni.

- Sowa też tam była - powiedziała nagle Tibbie. - Ale już odleciała.

- Jaka sowa? - spytałam. - Skąd wiesz?

- No, przecież to jasne jak słońce, że znalazłyśmy tajną skrytkę pani Faith - powiedziała Delia.

Medalion z sową! Ale jeśli moja babka trzymała cokolwiek w tej kryjówce, nie było już po tym śladu. ; - Skąd wiesz o sowie? - powtórzyłam pytanie do Tibbie.

- Nie mam pojęcia. Po prostu wiem. Tak samo jak wiedziałam, że muszę znaleźć Diabła. - Pogłaskała kotka po uszach.

Nie domyślałam się, co to może znaczyć, ale nigdy przedtem Tibbie nie pamiętała niczego, co działo się w czasie ataku.

- Kto wsadził mojego kotka w takie straszne miejsce? - spytała z naciskiem Tibbie.

- Chcesz powiedzieć, że był w tej skrytce? - spytała Delia. - No, na pewno nie ja!

- Musiał jakoś się tam wczołgać przez kominek - upierałam się, bo nie chciałam uwierzyć, że istotnie go tam wsadzono. Przełożyłam piórka do lewej ręki i próbowałam wymacać inny otwór, ale bez skutku.

- Mamo, sama widziałaś, że Diabło za nic nie wszedłby do biblioteki, kiedy sowa była w swojej kryjówce - powiedziała Tibbie. - On o niej wiedział, bał się jej. Ktoś wsadził tam Diabła i zabrał sowę, którą Diabło dla niego znalazł.

Próbowałam doszukać się w tym wszystkim jakiegoś sensu, gdy usłyszałam przyspieszony oddech Delii.

- Valoro, popatrz. - Pokazała coś ręką. Zobaczyłam na podłodze przy zasuniętych draperiach rozdeptane delikatne listki. Pochodziły z wistarii, która pięła się po murze na zewnątrz. Wielkimi susami dopadłam tego miejsca i jednym ruchem rozsunałam zasłony. Okno było przymknięte, ale nie zamknięte na klamkę. Teraz je zamknęłam, ale rozumiałam, że robię to nie tylko za późno, lecz i bez potrzeby. Intruz znalazł przedmiot, którego szukał, medalion z sową, więc nie miał po co wracać.

- Uciekł, prawda? - spytała Tibbie.

Skinęłam głową. Nie przeszukałyśmy domu, żeby się upewnić, ale i tak nie miałam co do tego wątpliwości. Odgięłam zaciśnięte palce lewej dłoni i przyjrzałam się piórkom. Koliber, pąsowoboki kacyk, błękitna sójka i nie znany mi ptak z plamiastym upierzeniem - takie same cztery piórka, które wyśniłam i znalazłam potem u siebie w pokoju. Zdawało mi się, że bije od nich ledwie wyczuwalny zapach konwalii.

- Delio - powiedziałam zmieszana i wylękniona. - Nie rozumiem, co się tutaj dzieje.

- Po mojemu, duch pani Faith próbuje nam powiedzieć, że ktoś przyszedł opróżnić jej skrytkę. W swoich ostatnich miesiącach pani Faith widocznie zapomniała, że coś tam jest schowane i dlatego szperała po całym domu. Mogło wylecieć jej z pamięci za życia, ale nie po śmierci. Duchy wiedzą wszystko.

Nie pocieszyła mnie tymi słowami.

- Włamywacz uciekł i żadnej z nas nic się nie stało - powiedziała dobitnie Delia. - Możemy się tylko cieszyć. Uważam, że powinniśmy zaraz napić się gorącego kakao.

Miałam właśnie ją poprzeć, kiedy zaskoczyło i mnie kołatanie do drzwi. Tibbie chwyciła mnie za rękę.

- Litości! - wykrzyknęła Delia. - Któż to może być o tej porze?

Podniosłam z podłogi pogrzebacz i popchnęłam Tibbie w stronę Delii.

- Pójdę zobaczyć. Wy zostańcie tutaj. Łomotanie trwało nadal.

Zapaliłam lampę przed domem i wyjrzałam z niepokojem przez okno przy drzwiach, mając nadzieję, że zobaczę Luisa, choć wiedziałam, że szansa była nikła.

Zamiast tego objawił się Travis. Jego widok również mnie ucieszył. Otworzyłam drzwi z wszystkich zabezpieczeń.

- Uciekł mi, sukinsyn - powiedział od progu. - Gonilem go, ale miał za dużą przewagę na starcie. Wszystko w porządku?

- Ranna nie jestem, jeśli o to ci chodzi, ale o porządku nie ma mowy.

- Siłą powstrzymałam wybuch płaczu, bojąc się wystraszyć Tibbie. - Czy chcesz powiedzieć, że ścigałeś złodzieja?

Travis skinął głową, a ja dostrzegłam Delię z Tibbie wyglądające ukradkiem z biblioteki. Diabło wyrwał się z ramion małej i skoczył do

kuchni.

- O, pan York - powiedziała Delia. - Chodź ze mną do kuchni, Tibbie, pomożesz mi przygotowywać kakao.

- Wszyscy tam pójdziemy - powiedziałam spragniona bezpieczeństwa i przytulności, jakie znajdowałam w kuchni przed laty.

- Idźcie - rzekł Travis. - Ja zaraz dołączę, tylko zbadam to okno, którym dostał się włamywacz. Jestem pewien, że było wcześniej zamknięte.

Akurat Tibbie pomagała mi nakryć stół, kiedy Travis wrócił i przysiadł na stołku.

- Obluzowana zasuwka - powiedział. - Tymczasowo ją wzmocniłem, niech Jed potem coś z nią zrobi.

Skinęłam głową.

- Nie mówiłeś mi, że zamierzasz czuwać noc w noc.

Travis wzruszył ramionami.

- A po co są przyjaciele? Znów przyjechałem konno, niestety tym razem później, niż zamierzałem. Ledwie zdążyłem przywiązać Ajaksa do słupa i rozłożyć śpiwór pod dębem, kiedy zauważyłem, że jedno z okien w bibliotece wygląda na otwarte. Zacząłem podchodzić, żeby sprawdzić, i właśnie wtedy ciemna postać wypełzła przez okno, zatrzasnęła je za sobą... Rabuś odwrócił się, więc zobaczył, że do niego biegnę. Śmignął jak strzała. Konno mógłbym go upolować, a tak... - Wzruszył ramionami. - Skoczył w gaj mandarynkowy i tyle go widziałem. Czy czegoś brakuje?

- Chyba zabrał coś, co należało do mojej babki, ale nie jestem pewna.

Podświadomie oczekiwałam, że Tibbie wtrąci się i powie, że dokładnie wie, co ukradł złodziej, i że w dodatku zamknął jej kotka, ale ona milczała, przenosząc ponure spojrzenie z Trávisa na mnie i z powrotem. Przy kuchni Delia, odwrócona do nas tyłem, bez słowa dosypywała kakao do mleka. .-

- Coś wartościowego?

- Nie jestem pewna - powtórzyłam. Nie, żebym nie ufała Travlsowi, bo tak nie było, ale nie mogłam się zdobyć na to, żeby właśnie jemu opowiedzieć o medalionie z sową.

- To dobrze, że nic wam się nie stało - powiedział Travis. - Kiedy ten łobuz prysnął w mandarynki, wróciłem po Ajaksa i pojechałem go szukać. Zapadł się pod ziemię. Co gorsza, nawet go dobrze nie widziałem. Ty też nie, prawda? Bo gdybyśmy mogli dać miejscowemu glinie opis...

- Uciekł, zanim zeszedłem na dół. Poza tym nie widzę potrzeby zawiadamiania policji. Co może poradzić jeden jedyny policjant z Naranady? Złodziej uciekł i nie wróci.

Travis zmarszczył brwi.

- Nie wróci? Dziwna uwaga.

Delia przyczłapała nalać nam gorącego kakao do kubków, a Tibbie, podążająca za nią, dokładała każdemu po słodkiej piance.

- Zrobić grzanki? - spytała Delia.

- Poproszę - odpowiedziałam.

- Przyniosę galaretkę i masło orzechowe - zgłosiła się Tibbie.

- Dlaczego uważasz, że złodziej nie wróci? - Travis nie ustępował.

Próbowałam dać mu wymijającą odpowiedź, bo nie chciałam wszczynać rozmowy o medalionie.

- Nie ma potrzeby - stwierdziłam oschle. - To nie był zwyczajny złodziej. On dokładnie wiedział, czego chce, znalazł to coś i zabrał.

Travis w milczeniu sączył kakao, najwyraźniej rozmyślając nad moimi słowami. Poczęstował się grzanką z masłem, podaną przez Delię, i w roztargnieniu posmarował ją dżemem pomarańczowym.

- Przestań biegać w kółko i usiądź z nami - powiedziałam Delii.

W milczeniu usłuchała. Tibbie potoczyła wzrokiem po stole, ale nie odezwała się ani słowem. Ciche dzwonięcie zegara przy frontowych drzwiach przypomniało mi, że jest czwarta rano. Wszyscy powinniśmy być o tej porze w łóżkach.

W końcu Travis przełknął ostatni kęs grzanki i spojrzał na mnie.

- Czy mówiłem ci, że wkrótce po tym, jak zgubiłem ślad złodzieja, słyszałem odjeżdżający motor, jedną z tych potężnych maszyn?

Natychmiast pomyślałam o dawnym chłopaku Willi. Czy to możliwe, żeby Jack Norton wrócił do Naranady po tylu latach? Willa z pewnością widziała się z nim po tej nocy na Mount Sangre i chociaż nie pamiętała, co się z nią działo podczas burzy, to przecież mogła była mu

opowiedzieć o pierwszej części wieczoru. O księdze zaklęć i medalionie z sową.

- Jeśli to Jack się włamał - rzekłam na głos, bardziej do siebie niż do nich - to po co brałby medalion?

- Tak myślałem - triumfalnie oświadczył Travis.

- Że to Jack?

- Nie. Że złodziej zabrał medalion z sową. Dlaczego, do diabła, nie chciałaś mi tego powiedzieć?

- Mniejsza o to... A co z Jackiem Nortonem? Travis wzruszył ramionami.

- Wiemy tylko, że słyszałem odjeżdżający motocykl. Nie mogę nawet połączyć go na sto procent z człowiekiem, którego goniłem.

Zadrzałam wyobraziwszy sobie Jacka, który szuka na mnie zemsty za to, co się stało z Willą. Przecież mógł wciąż utrzymywać jakieś stosunki z ludźmi w Naranadzie... Może usłyszał, że przyjechałam do Szkarłatnego Kamienia z dzieckiem Willi. Z jego dzieckiem, wbrew temu, co twierdziła Willa i on sam.

Mimo iż myśl o tym przerażała mnie, w pewnym sensie chciałam, żeby prawda okazała się właśnie taka. Jeśli to Jack zgwałcił Willę, wtedy i Luis, i Travis są niewinni. Zdecydowanie wolałabym, żeby był to ktoś obcy niż ktoś, kogo znałam i chciałam darzyć zaufaniem.

Ale co dalej może knuć Jack? Jak chciałby wykorzystać medalion? I skąd znał kryjówkę?

Oczywiście nie wykluczałam, że wiele lat temu Willa odkryła schowek babki i zdradziła go Jackowi. Co jeszcze z dawnych informacji od Willi Jack mógłby teraz wykorzystać przeciwko nam?

W obronnym geście otoczyłam Tibbie ramieniem. Niech on sobie nie myśli, że ma do niej jakiegokolwiek prawo, choćby chciał z nią tylko porozmawiać!

- Nie rób takiej spłoszonej miny - odezwał się Travis. - Będę czuwał do świtu.

- Kto to jest Jack Norton? - spytała Tibbie.

- Taki jeden człowiek, który kiedyś tu mieszkał - powiedziałam, odwlekając odpowiedź. - A jeśli zjadłaś grzanekę i wypłaś kakao, to najwyższy czas, żebyś poszła do łóżka. Ja zresztą muszę zrobić to samo.

Wypuściłam Travisa kuchennymi drzwiami i podziękowałam mu za pomoc.

- Jesteś prawdziwym przyjacielem - dodałam.

Uśmiechnął się do mnie.

- Oho, zdaje się, że robisz krok we właściwym kierunku.

Dopiero gdy wchodziliśmy z Tibbie po kuchennych schodach, zobaczyłam, że mała znowu przytula Diabła.

- Nie widziałam go w kuchni... Skąd on się wziął?

- Schował się w swoim pokoju. Czyli w pakamerze. Skinęłam głową.

- On chyba nie lubi pana Yorka - powiedziała Tibbie.

- Nie możesz mieć do kotka pretensji o to, że nie ufa ludziom, których dobrze nie zna... Tym bardziej, że niedawno ktoś go zamknął w schowku.

- Tak, to było straszne. - Przed wejściem do pokoju już się nie odezwała. Przy moim łóżku przystanęła. - Mamo, czy zgodzisz się, żebyśmy z Diabłem pospali do rana razem z tobą? - spytała.

- Ciebie zapraszam, ale co do Diabła, to muszę zobaczyć, jak się będzie zachowywał.

- Będzie po mojej stronie łóżka.

Kiedy leżałyśmy już obok siebie, a Diabło zwinął się w kłębek przy Tibbie, córka spytała mnie:

- Czy ten rabuś naprawdę już nigdy nie wróci?

- Nie sądzę, żeby miał to zrobić. Tamta zasuwka przy oknie była obluzowana, więc udało mu się ją otworzyć. Na wszelki wypadek Jed dopilnuje, żeby nie było więcej obluzowanych zasuwek.

- To straszne, kiedy obcy ludzie dostają się do twojego domu.

- Owszem. - Bardzo chciałam jej obiecać, że nic złego wokół nas już się nie stanie, ale ponieważ starałam się zawsze mówić prawdę, więc poprzestałam na tym, czego byłam pewna. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nigdy więcej się to nie zdarzyło.

- Całkiem zabawnie wyglądałaś, kiedy podchodziłaś do drzwi z tym pogrzebaczem, wiesz, mamo?

- Wyobrażam sobie. Westchnęła.

- Chciałabym, żeby niedługo Soso znów mogła do nas przyjechać i

trochę tu pobyc.

- Mam nadzieję, że będzie mogła - powiedziałam z poczuciem winy, gdyż wątpiłam, czy zdąży, jeśli wyjedziemy w przyszłym tygodniu, tak jak zaplanowałam.

- Czy wiesz, że jej plemię ma mnóstwo różnych nazw na to samo? Niektóre sobie wypisałam, na przykład dla kojota. Czasem mówi się o nim „aheli”, czasem „woto”, a...

- Czy Soso nie nazwała kojotem Trávisa?

- Owszem, „yutu”. Spytałam ją, dlaczego wybrała akurat to, bo dla mnie „aheli” brzmi lepiej, ale wytłumaczyła mi, że nazwa zależy od tego, co kojot robi. „Wootci” znaczy na przykład, że kojot szczeka. Powiedziała, że akurat przyszło jej do głowy „yutu”.

- A co to dokładnie znaczy?

- Kojot udający, że nie widzi zdobyczy.

- Travis? - zachichotałam. - Ja bym nazwała go „wootci”.

Okazało się, że i mnie dobrze robi obecność Tibbie. Obie zbudziłyśmy się dopiero późnym przedpołudniem, kiedy zapukała Lucy Jennings.

- Delia kazała mi pani powiedzieć, że na dole jest doktor Redhawk.

Kiedy weszłam do biblioteki, Luis medytował nad otwartym schowkiem przy kominku.

- Przepraszam, że cię obudziłem - powiedział,

- Już się wyspałam. Przypuszczam, że Delia opowiedziała ci o złodzieju.

- Skończyłem pracę w szpitalu dopiero po północy. Cholernie żałuję, że mimo to nie przyjechałem. Gdybym tu był, nic by się nie stało. Co stąd zabrano? Delia nic o tym nie wspominała.

- Medalion z sową - powiedziałam. Luis spojrzał ponuro.

- Tego się obawiałem.

- Myślę, że złodziejem mógł być Jack Norton.

- Norton? Ten, co miał motor i chodził z Willą? Jego od lat tutaj nie ma. Nie słyszałem, żeby wrócił do miasteczka.

Na użytek Luisa streściłam wydarzenia tej nocy, łącząc własne obserwacje ze sprawozdaniem Trávisa.

- A więc mógł to być Jack - zakończyłam.

- Pozwól mi pomyśleć - powiedział. - Nie jadłaś jeszcze śniadania. Czy masz coś przeciwko temu, żebyśmy zjedli razem? Porozmawiać możemy później.

Po posiłku wraz z Luisem odprowadziłam Tibbie do zagrody, bo Jed obiecał, że przypilnuje ją podczas przejażdżki na kucu. Poprosiłam też Jeda, żeby potem sprawdził wszystkie zamknięcia okien.

W drodze powrotnej do domu powtórzyłam Luisowi, co Tibbie mówiła o babce Soso i dodałam:

- Czy to prawda, że Soso będzie musiała wyjechać z osady Miwoków?

- Stara Mary Quail umiera na raka wątroby. Po jej śmierci mam zamiar wziąć Soso do siebie, do miasteczka, tylko jeszcze jej o tym nie powiedziałem.

- To wspaniale, że chcesz dać jej dom, ale naprawdę powinieneś podzielić się tą wiadomością z Soso. Ona bardzo się martwi tym, że zostanie wysłana gdzieś na północ.

Skinął głową.

- Zrobię *to*.

Myślałam o wielkoduszności Luisa i zastanawiałam się, czy nie pożałuje swojej decyzji, kiedy przyjdzie mu na własnej skórze doświadczyć odpowiedzialności za wychowywanie dziecka. I wtedy rzut oka na Mount Sangre przypomniał mi, co tam widziałam poprzedniej nocy. Przystanąłam i zapatrzyłam się na szczyt wzgórza, przejęta rozbudzonym na nowo strachem.

- Co się stało? - spytał Luis i otoczył mnie ramieniem.

- Dotąd nie łączyłam tych wydarzeń - powiedziałam - ale zanim złodziej wdarł się przez okno biblioteki, na Mount Sangre odbywała się... jakaś ceremonia. Były pochodnie, śpiewy. Zamierzałam to dzisiaj zbadać, tylko że...

- Mam czas. Możemy to zrobić teraz. Chodź. - Chwycił mnie za rękę.

Zaparłam się.

- Luis, nie. Chyba nie jestem w stanie.

- Dlaczego? - Obrócił moją głowę tak, że musiałam mu spojrzeć prosto w oczy. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że nie dasz sobie rady



fizycznie, prawda?

Wyrwałam się.

- Właśnie fizycznie. Próbowałam tam się wdrapać, kiedy zobaczyłam na tym cholernym wzgórzu ciebie z Tibbie, i nie mogłam się zmusić.

- Ze mną będziesz mogła. - Powiedział to z wielką pewnością siebie.  
- Razem możemy wszystko.

Prawie mu uwierzyłam. Byliśmy już blisko wierzchołka, gdy przystanęłam.

- Nie, nie mogę - powiedziałam czując, jak narasta we mnie panika.

- Zamknij oczy. Usłuchałam.

- Wyobraź sobie, że idziesz ścieżką do świątyni dumania - powiedział cicho. - Droga jest długa, a schody strome, ale świątynia dumania stanowi twój cel i wspinasz się tam, bo warto. Trzymaj mnie za rękę i nie otwieraj oczu, póki ci nie powiem. Wyobrażaj sobie świątynię dumania i nagrodę, jaka czeka na ciebie u celu.

Zastanawiałam się, czy Luis mógł wiedzieć, że jako nastolatka zawsze wyobrażałam sobie, że właśnie w świątyni dumania czeka na mnie kochanek. Zastanawiałam się też, czy ma pojęcie, że w jakiś sposób twarz owego wyśnionego kochanka z czasem nabrała jego rysów, a gdy marzenie przestało być bezimienne, ja stopniowo zaczęłam tęsknić za jego pocałunkiem i uściskami.

- Ścieżka jest długa - powtórzył Luis, nie wypuszczając mojej ręki. - Trudno nią przejść. Ale jestem z tobą.

Z zamkniętymi oczami poruszałam się za nim, oszołomiona jego melodyjną recytacją.

- Idziemy razem stromą ścieżką, zawsze razem.

Wiatr nie zepchnie nas z drogi, nie zrzuci na dół. Jesteśmy pod ochroną. Jesteśmy pod strażą. Duch południa czuwa nad nami, otacza nas płaszczem z piór, powstrzymuje ciemność, tę ciemność, która wypływa spoza krawędzi świata. Duch południa tańczy dla nas, tańcem odpędza zło, które wyciąga złośliwe pajęczne macki, zło, które ślizga się jak wąż. *Kuksu* w tańcu odpędza zło płaszczem z kruczych piór i skrzydłami myszołowa, rozpędza ciemność przenikliwym krzykiem orła. W wirze jego tańca jad złego Hamai, dziadka grzechotników, odlatuje

coraz dalej i dalej, jad rozprasza się na ognistych szlakach gwiazd. *Kuksu* czuwa nad nami. Jesteśmy bezpieczni. Jesteśmy chronieni.

Luis przeszedł na język Miwoków. Nieznane słowa cicho przelatywały tuż obok, pieszcząc mnie jak ptasi puch. Częściowo zdawałam sobie sprawę z tego, że wchodzę coraz wyżej, ale nie czułam niepokoju. Byłam przeświadczona, że w ochronnym kokonie słów, jaki utkał dla nas Luis, nic złego nie może się stać.

Kiedy w końcu przystanęliśmy, umilkły słowa śpiewnej recytacji.

- Otwórz oczy, Valoro - powiedział.

Usłuchałam i zamrugałam powiekami, oślepiona jaskrawym blaskiem słońca. Przez chwilę nie widziałam ostro. Kiedy odzyskałam zdolność widzenia, ujrzałam poniżej Szkarłatny Kamień oraz sady i pola Rollandów. Byłam na szczycie Mount Sangre, ostatnim miejscu na świecie, w którym chciałabym się znajdować.

- Obróć się - nakazał Luis. Powoli, niechętnie obróciłam w stronę masywnego, spłaszczonego u góry szaroczarnego głazu, tego, którego wiele lat temu Travls użył jako ołtarza.

Teraz nie było tam ani świecy, ani krwawego okręgu. Ale gwałtownie się wzdrygnęłam, gdy zobaczyłam na środku kamienia pióro białej sowy. Tuż obok niego, zwrócone dudką ku jego dudce, jakby gotowe do pojedynku, leżało pióro lśniące czernią.

Oblizalam wyschnięte wargi, starając się za wszelką cenę uspokoić. Wpatrywałam się to w lśniącą czernią, to w nieskazitelną biel. Te dwa pozornie niewinne pióra przerażały mnie.

---

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

---

Stałam tam, gdzie miałam nadzieję już nigdy się nie znaleźć, na szczycie Mount Sangre, i wpatrywałam się w pióra na skale.

- Ktoś tu był wczoraj w nocy! - wykrzyknęłam.
- *Co to znaczy?*

Luis wziął mnie za ramię i odwrócił od głazu. W dole ujrzałam ranczo Yorków i hektary gruntów, przypominające mi, że Mount Sangre oddziela posiadłości moją i Trávisa. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nasi przodkowie kłócili się o ten kopiec. Kto by go chciał?

Czoło pokryły mi krople potu. Na nie osłoniętym wierzchołku, bez śladu cienia, upał był nie do wytrzymania. Siły odbierał mi jednak nie żar lejący się z nieba, lecz coś znacznie bardziej nieuchwytnego, jakieś niewidzialne zagrożenie, od którego wibrowały mi wszystkie nerwy. Najwyraźniej Luis też czuł się niepewnie, bo chwycił mnie za rękę i ruszył z powrotem w dół, pociągając mnie za sobą.

- Nie martw się tym, co widziałas ostatniej nocy - powiedział cicho.
- Dlaczego miałabym się nie martwić? Na Mount Sangre nigdy nie zdarza się nic dobrego.

- To było coś innego. Mój dziadek uważa, że został ostrzeżony przed niebezpieczeństwem, więc rozesłał wieści do innych rodów plemienia Miwoków. Byłem zbyt zajęty, żeby uczestniczyć w tej ceremonii, ale z pewnością tancerze *Kuksuyu* odpowiedzieli na jego wezwanie.

- *Kuksuyu?* - powtórzyłam, przypominając sobie, jak Luis przywoływał jakiegoś *Kuksu*, który miał nas strzec w drodze na Mount Sangre.

- Tancerze-ptaki, wysłańcy *Kuksu*, ducha południa, jedyne obdarzonego dostateczną siłą, by przeciwstawić się Hamai, złu wcielającemu się w coraz to inną postać. Wszyscy mają płaszcze z czarnych kruczych piór, takich jak to na skale.

- A sowie pióro?

- Oznacza, że zło, ukryte pod postacią białej sowy, rzuca duchowi *Kuksu* wyzwanie. Widziałas wczoraj i słyszałaś, jak tancerze *Kuksuyu* próbowali wypędzić zło z tego głazu. - Pokręcił głową. - Z układu piór widać, że im się nie udało.

Okazało się, że Luis jest o wiele głębiej przesiąknięty zwyczajami i rytuałami swego plemienia, niż dotąd sądziłam, i to mnie niepokoiło.

- Mam dość złych duchów i piór - wykrzyknęłam. - Żałuję, że w ogóle wróciłam do Naranady.

Luis nie odzywał się aż do momentu, gdy stanęliśmy u podnóża Mount Sangre.

- Przyznaję, że jesteś tutaj w niebezpieczeństwie. Bardzo się tym dręcę. Ale nie mogę żałować, że do mnie wróciłaś. - Przystanął, chwycił mnie w ramiona i pocałował. I oczywiście na czas tego pocałunku wszystko inne przestało istnieć. Nawet gdy mnie już puścił, magia jego objęć trwała. Zrobiło mi się lżej na sercu. - Wiem, że się bardzo przejmujesz - powiedział, gdy ruszyliśmy dalej, trzymając się za ręce. - Masz powód. Dziadek rozesłał wieści do tancerzy *Kuksuyu* po ostrzeżeniu, jakie odczytał z twoich czterech piórek. Powiedział, że czwarte należało do gołębia, nazywanego żałobnikiem.

Mogłam była na to wpaść, pomyślałam. Gdybym tylko skojarzyła to piórko z trumną widzianą we śnie. Nie chciałam wiedzieć, jak Biegnący Lis zinterpretował wszystkie cztery pióra, ale bałam się też nie wiedzieć.

- Co twój dziadek wyczytał z tych piórek? - spytałam.

- Oboje dostarczyliśmy mu wskazówek. Koliber najbardziej lubi czerwone kwiaty, jego piórko oznacza krew. Pąsowoboki kaczyk, co powiedziałem dziadkowi, przenosi groźne bakterie, powodujące zapalenie mózgu i rdzenia u koni, a często także u ludzi. Innymi słowy: ciemność w głowie. Błękitna sójka jest złodziejem, a gołąb żałobnik oznacza śmierć. Dziadek zestawił to w ten sposób: „Strzeż się złodzieja, w którego głowic jest ciemność, bo przychodząc niesie krew, ciemność i śmierć”.

Mimo upału przebiegł mnie dreszcz.

- Złodziej przyszedł - powiedziałam wolno. - Ukradł medalion z sową. - Uderzyła mnie nagła myśl. - Nie powiedziałam ci, że znalazłam jeszcze cztery piórka, takie same jak poprzednio, w schowku babki. -

Przypomniawszy sobie zapach konwalii, dodałam: - Nie wierzę, żeby wsadził je tam złodziej.

- Nie, on by tego nie zrobił. To pani Faith je tam zostawiła, jako powtórne ostrzeżenie dla ciebie.

Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami.

- Delia twierdzi, że jej duch wędruje nocami po domu. Nie mów mi, że uważasz tak samo.

Luis wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że nie odrzucam takiej możliwości. Nauczyłem się już, że istnieją w świecie niewidzialne moce inne niż wiatr, trzęsienia ziemi i im podobne siły przyrody. Wielu ludzi nazywa je duchami. Szamani mojego plemienia zajmowali się niektórymi z nich od najdawniejszych czasów. Nie wiem, czym one są, ale wiem, że istnieją i wiem, że moc uwięziona w skale na szczycie Mount Sangre jest potężna i zła.

- Miwokowie - ciągnął Luis - wiedzą o istnieniu zła na Mount Sangre od wielu stuleci. Dziadek mówi, że na długo przed przybyciem tutaj Anglików czy Hiszpanów, *Kuksu* osobiście nauczył moje plemię tańca *Kuksuyu*: ceremonii, którą należy odprawiać każdego lata, żeby zapobiec uwolnieniu się tej mocy.

- Przerażasz mnie. Zatrzymał się w cieniu dębu.

- Muszę. Byłoby zbyt niebezpieczne, gdybyś nadal trwała w przekonaniu, że dziesięć lat temu na Mount Sangre przeżyliśmy po prostu uderzenie pioruna podczas nagłej burzy. Burza, owszem, była, i piorun rzeczywiście trafił w skałę, ale przyciągnęła go ta moc, która usiłowała się wyzwolić. Prawie jej się to udało, dzięki temu idiotycznemu obrzędowi, który we czworo odprawiliśmy. Zresztą część zła wydostała się na zewnątrz.

- Co się z nią stało?

- Chciałbym wiedzieć. Ale nawet najmądrzejsi wśród nas, tacy jak dziadek, nie wiedzą dość. Byłem tam, tak samo jak ty, i mogę ci tylko powiedzieć, że coś, nie mam pojęcia co, zapobiegło wyrwaniu się całej mocy z głazu. Gdyby jej się to udało, wszyscy czworo nie żylibyśmy od dziesięciu lat.

Stałam nieruchomo, oszołomiona tym, co powiedział Luis. Nie

chciałam wierzyć ani jednemu słowu, a jednak, szczerze mówiąc, dziesięć lat temu sama czułam to zło na Mount Sangre, tyle że potem już nigdy nie odważyłam się spojrzeć prawdzie w oczy.

- Czy dlatego ostrzegłeś mnie z Tibbie i chciałeś, żebyśmy wyjechały? - spytałam w końcu. - Bo Willa i ja uczestniczyłyśmy w tym obrzędzie?

Skinął głową.

- Nasza czwórka może być dotknięta skazą. Tibbie nie jest wprawdzie Willą, ale rosła w jej ciele przez dziewięć miesięcy. Nie mogę powiedzieć, że coś mrocznego przeszło z matki na dziecko, ale również nie mogę być pewien, że tak się nie stało.

Ataki... O Boże, ataki Tibbie. Czyżby były dziedzictwem po matce?

- Pierwszy raz od dziesięciu lat - ciągnął - trzy osoby z naszej czwórki są tutaj, w pobliżu Mount Sangre. Czwarta wprawdzie umarła, ale żyje jej dziecko i też jest tutaj. Oblewa mnie zimny pot, kiedy o tym pomyślę.

Przygryzłam wargę, zdecydowana jak najszybciej zabrać stąd Tibbie.

- Czy rozmawiałeś o tym z Travisem? - spytałem, .

- Raz próbowałem, ale znasz go. Potraktował to, co mu mówiłem, jako dowcip stulecia. - Luis spojrzał na zegarek. - Cholera, muszę wracać do gabinetu, ale wieczorem wpadnę.

Skinęłam głową i szybko doszliśmy do domu. Luis stanął z zafrasowaną miną przy swoim samochodzie, zaparkowanym na podjeździe.

- Martwię się. Niedobrze, że muszę cię zostawić. Próbowałam się uśmiechnąć.

- Już mówiłeś coś takiego kiedyś w nocy... Chociaż może z trochę innego powodu.

Uśmiechnął się figlarnie.

- Nie zapomniałem o tym. - Wykonał gest w moim kierunku, ale właśnie wtedy zawołała go Tibbie, która nadbiegła po podjeździe.

- Luis! Już jedziesz? Miałam nadzieję, że zostaniesz popatrzeć, jak jeżdżę. Dużo lepiej mi idzie.

- Nie dzisiaj - odparł. - Może podczas weekendu, dobrze?

- Rozumiem, że lekarze zawsze mają mnóstwo zajęć - powiedziała.

- Stanowczo masz rację.
- Chyba nie zostanę lekarzem, kiedy dorosnę. Może lepiej będę trenować konie.
- Jeszcze masz przed sobą kilka lat na podjęcie decyzji. - Luis otworzył drzwi samochodu.
- Poczekaj - błagalnie powstrzymała go Tibbie. - Zapomniałam spytać, co mówi się na pożegnanie w języku Miwoków.
- Nie ma takiego słowa. Dawniej, kiedy Miwok był gotów do odejścia, odchodził w milczeniu. Potem nauczyliśmy się grzeczności, więc hiszpańskim osadnikom mówimy " *adios*, brytyjskim *good-bye*, ale nadal nie mamy swojego słowa.
- Wobec tego *adios* - pożegnała go.
- *Vaya eon Dios* - odrzekł, obejmując spojrzeniem nas obie.
- To znaczy „Idźcie z Bogiem” - powiedziała Tibbie, kiedy patrzyłyśmy na oddalający się samochód. - Takie „do widzenia” podobne do błogosławieństwa.
- Tak. - Nie powiedziałam jej tego, ale zaczynałam wierzyć, że błogosławieństwo może nam być wkrótce bardzo potrzebne.
- Usiadłyśmy w saloniku, mając przed sobą wysokie szklanki pełne świeżo wyciśniętego soku cytrynowego z wodą i cukrem i upieczone przez Deli makaroniki, przybrane rodzynkami.
- Obawiam się, że będziemy musiały wyjechać wcześniej niż planowałyśmy - zaczęłam.
- Tibbie odłożyła nadgryzione ciastko.
- Kiedy?
- No, właściwie natychmiast. Tibbie zamrugła powiekami.
- Chcesz powiedzieć, że jeszcze przed niedzielą?
- Tak.
- Łzy napłynęły jej do oczu.
- Ale Luis powiedział, że w weekend popatrzy, jak jeżdżę. - Nagle zabrakło jej tchu. - Poza tym bardzo, bardzo chcę iść na urodzinowe przyjęcie, które wydaje dla ciebie pan York. I nigdy więcej nie zobaczyłabym Soso. Dlaczego musimy wyjechać już teraz? - Przy ostatnim słowie głos jej się załamał.

Chyba nie mogłam powiedzieć jej prawdy, ale nie znosiłam kłamstw,

więc wybrałam półprawdę.

- Musimy poszukać nowego mieszkania w Santa Cruz i... ;

- Dlaczego nie możemy dalej mieszkać tutaj? Szkarłatny Kamień jest twój, a w Naranadzie są szkoły, do których mogę chodzić.

- Ale ja muszę pracować, zapomniałaś? W małym miasteczku nie ma pracy dla ludzi mojego zawodu.

- Mówiłaś, że babka zostawiła nam oprócz domu trochę pieniędzy.

Czy nie możemy z nich skorzystać?

- Te pieniądze wystarczą na niewiele więcej oprócz opłacenia podatków, utrzymania domu i zapewnienia pensji dla Delii i Jeda przez kilka lat. - Nie oczekiwałam fortuny w spadku, ale pytanie Tibbie przypomniało mi, że babka Faith musiała wydać dużą część swych pieniędzy na edukację Luisa. Nadal nie rozumiałam przyczyny jej nagłego aktu dobroczynności wobec człowieka, którego nie lubiła.

- Czemu nie możesz zarabiać pieniędzy sprzedawaniem pomarańczy i tego, co rośnie w sadach? - nalegała Tibbie.

- Obawiam się, że babka Faith nie utrzymywała sadów w wystarczająco dobrym stanie, żebyśmy mogły z tego żyć. Poza tym musiałabym zatrudniać ludzi do zrywania owoców. Nie sprzeczasz się, Tibbie. Przykro mi, ale musimy wyjechać.

Wybuchnęła płaczem, zerwała się z krzesła i wybiegła z pokoju.

Ciężko westchnęłam i poszłam za nią.

Tibbie leżała na łóżku z twarzą wciśniętą w poduszkę i nie pozwalała się uspokoić. Przyniosłam jej Diabla, ale odwróciła twarz od kotka i ode mnie, i dalej szlochała tak, że krajało się serce.

Zastanawiając się, jak ją pocieszyć, stanęłam przy oknie z widokiem na zarośla, w których kolibry przemykały wśród obfitego czerwonego kwiecia. Czerwonego jak krew. Musiałyśmy wyjechać, nie było innej możliwości. Ale Tibbie jest takim kochanym dzieckiem. Sprawiając jej zawód, czułam się jak Zła Czarownica z Zachodu.

- Mamo - odezwała się za moimi plecami płaczliwym głosem. - Czy ty już mnie nie lubisz?

Wtedy popłakałam się i ja.

W końcu doszliśmy do porozumienia. Zdecydowałyśmy zostać na weekend i wyjechać w poniedziałek, a jeszcze przed rozpoczęciem zajęć



w szkole zaprosić Soso do Santa Cruz.

Tłumaczyłam sobie, że pozostanie tutaj przez kilka dni na pewno niczym nie grozi. Tym bardziej, że zamierzałam chuchać na Tibbie znacznie bardziej niż zwykle. No i oczywiście żadna z nas nie może się zbliżyć do Mount Sangre. I tak byłyśmy za blisko wzgórza, mieszkając w Szkarłatnym Kamieniu. Ale postanowiłam być ostrożna. Nadzwyczaj ostrożna.

Wieczorem, gdy Tibbie usnęła, powiesiłam przed zamkniętymi drzwiami mojego pokoju pęk starych dzwonek od sań, które nawlokłam na kawałek włóczki. Wypróbowałam urządzenie, dzwonki dawały wystarczająco głośny dźwięk, bym usłyszała z dołu, gdyby mała próbowała otworzyć drzwi. Zadowolona, że Tibbie nie wysłiznie się niepostrzeżenie na korytarz, gdyby miała atak, zesłam do kuchni napić się z Delią ziołowej herbaty.

- Będzie mi żal, że wyjechałaś, taka jest prawda - powiedziała. - Miałam nadzieję, że może zechcesz tu zostać z Tibbie. Człowiekowi jest weselej z dzieckiem w domu, szczególnie z takim bystrym i miłym. Ty też byłaś całkiem bystrym maleństwem, ale nie takim jak Tibbie.

Uśmiechnęłam się.

- Wiem, że potrafiłam dopiec. I ty, i babka Faith miałyście ze mną krzyż pański, kiedy tu przyjeżdżałam.

- Wcale nie byłaś taka zła. Kłopot polegał na tym, że pani Faith chciała cię upodobnić do siebie, jakby to w ogóle było możliwe. Najpierw zawiodła ją Willa, a potem ty. Nigdy nie potrafiła zrozumieć, że nie można z dziecka zrobić kogoś, kim ono nie jest.

- Wiem, że sprawiłam jej zawód, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, że Willa również, przynajmniej do niedawna.

- Biedna Willa. Chciała wszystkich zadowolić i w końcu nie zadowoliła nikogo, nawet siebie. Twoja Tibbie nie jest do niej ani trochę podobna. Aha, przypomniało mi się. Pytałam Lucy Jennings, czy to możliwe, żeby Jack Norton wrócił do miasteczka. Nie słyszała o tym, ale ma zasięgnąć języka. Lucy jest spokrewniona z połową tutejszych, więc jeśli Jack tu jest, to ona się dowie.

- Jeśli włamał się Jack, to nie sądzę, żeby jeszcze nas nachodził.

- Mnie tylko martwi, że potrzebował tego starego medalionu z sową,

po pani Faith. Po co, na miłość boską? Z tego, co widziałam, medalion nie był wiele wart. Nigdy nie mogłam zrozumieć, czemu pani Faith tak się o niego trzęsie.

Nie chciałam rozmawiać o medalionie.

- Z przyjemnością zostałamby dłużej - powiedziałam. - Ale to niemożliwe.

Skinęła głową.

- Masz swoje powody. Żal mi tylko Tibbie. Jej się tu bardzo podoba. Szkoda, że nie słyszałaś, jak rozprawiła o kucu, kiedy Jed przyszedł na popołudniową filiżankę herbaty. Kazała mu troszczyć się o Misty'ego, jakby nie wiedziała, że Jed oporządzał konie od małego chłopaka.

Przecież zjadł na tym zęby. Żyje tym, stary.

- Rzeczywiście, Tibbie będzie tęsknić za Szkarłatnym Kamieniem. Cieszę się, że ty i Jed możecie tu zostać i zająć się domem, póki nie zdecyduję, co z nim zrobić.

- Jestem tu tak długo, że czuję się prawie jak na swoim. A ty pewnie sprzedasz wszystko Travisowi Yorkowi, skoro on tak bardzo pali się do kupna. Yorkowie zawsze mieli chrapkę na grunty Rollandów.

Nie byłam pewna, czy chcę sprzedać posiadłość Travisowi. Ale może w końcu istotnie okaże się, że Delia ma rację. Ja już z pewnością nie będę tu mieszkała. I nie odważę się kusić losu, pozwalając, by któregoś dnia zamieszkała tu Tibbie. Nie, muszę to sprzedać.

- Dobrze, na mnie już najwyższy czas. Trzeba dać odpocząć starym kościom. - Delia wstała z krzesła i odniosła filiżankę do zlewu. Płuczac ją pod kranem, powiedziała: - Cieszę się, że nie wyjeżdżasz przed urodzinami. Pomagam Tibbie przygotować dla ciebie niespodziankę. Byłaby zrozpaczona, gdybyście wcześniej wyjechały.

To częściowo usprawiedliwiało gwałtowną reakcję Tibbie. Musiała bardzo się cieszyć z tej niespodzianki, poczułam więc zadowolenie, że postanowiłam zostać do poniedziałku. Szkoda byłoby zniweczyć jej starania. Ale wyjazd był koniecznością. Nie mogłam dopuścić, żeby stała jej się krzywda i jeśli tylko było to w mojej mocy, musiałam temu zapobiec.

Już na kuchennych schodach Delia przystanęła.

- Wczoraj wieczorem przypomniał mi się pierścionek z kocim

oczkiem, ten, który dałaś Willi, a ona zgubiła. Zaczęłam się zastanawiać, czy złodziej nie znalazł go w skrytce razem z medalionem. Pani Faith nigdy nie wybaczyła ci darowania tego pierścionka. Jeśli kiedyś potem go znalazła, to jasne jak słońce, że mogła go ukryć.

Spojrzałam na Delię, jakbym poczuła, że powinnam się wytłumaczyć.

- Pierścionek nie był mojej babki, tylko mój. Do mnie należą! wybór, czy komuś go dać, czy zatrzymać.

- Ja ci tego nie wyrzucam, ale z nią było inaczej. „Kocie oczko to talizman - powtarzała bez końca. - Valora z głupoty pozbyła się czegoś, co by ją chroniło”.

Słyszając Delię przytaczającą słowa babki poczułam, jak włosy mi się jeżą, ale zapanowałam nad sobą, przypomniałam sobie tylko, że za kilka krótkich dni moje lęki i Szkarłatny Kamień będą należeć do przeszłości.

- Willa długo płakała po tym zgubionym pierścionku - powiedziałam.- Gdyby babka go znalazła, powinna go była jej oddać. Ale Willa umarła bez pierścionka. A ponieważ nikt nie ma pojęcia, czy babka go znalazła, nigdy nie będziemy również wiedzieć, czy był w schowku.

- To źle, że tego nie wiemy, prawda? Ale są tajemnice, które zabiera się do grobu. Wielu nigdy nie poznamy. Dobranoc, Valoro.

Usiadłam w bibliotece i próbowałam czytać czekając na Luisa, ale obsesyjnie nachodziły mnie myśli o pierścionku. Może i był to talizman, ale nie ochronił Willi na Mount Sangre. Zastanawiałam się jednak, w jaki sposób owej fatalnej nocy pierścionek zaginął. Przypomniałam sobie, że widziałam jego odblask, kiedy Travis zapalił świecę, więc podczas wypowiedzania tych upiornych zaklęć Willa jeszcze miała go na palcu.

Czy pierścionek dostał się w ręce gwałciciela? Jeśli należało winić Jacka Nortona, to wszystko było moim zdaniem możliwe.

Pragnęłam, żeby medalion przestał istnieć, tak samo jak księga z zaklęciami, spalona przez moją babkę. Do kogo z moich przodków należały te przedmioty? Nie chciałam uwierzyć, że Rollandowie parali się kiedyś czarami. Nie mogłam sobie wyobrazić babki Faith w jakikolwiek sposób zajmującej się czarną magią. Choć oczywiście jej postęпки czasem mnie zadziwiały. Bądź co bądź, to ona zapłaciła za

medyczną edukację Luisa... Nie mogłam pojąć dlaczego.

Układ między babką Faith i Luisem gnębił mnie aż do jego przyjazdu. Ale kiedy Luis się pojawił, zamknął za sobą drzwi i wziął mnie w objęcia, wywietrzało mi z głowy wszystko z wyjątkiem jego zapachu, smaku, dotknięć i cudownego uczucia, jakie miałam w jego ramionach.

- Luis - sprzeciwiłam się, czując jego usta na swoich. -

Doprowadzasz mnie do takiego stanu, że w ogóle nie mogę myśleć.

- Myślenia nie miałem akurat teraz w planach.

- W jakich znowu planach?

Roześmiał się i przyciągnął mnie bliżej. Przyłgnęłam do niego, by spełnić nasze wspólne, oczywiste pragnienie. Pocałunek stawał się coraz bardziej upojny. W końcu, ciasno spleceni, oszołomieni namiętnością, zaczęliśmy się chwiać.

- Jeśli się stąd nie ruszymy - szepnął - znajdziemy się zaraz na tym przeklętym parkiecie.

Ciasno objęci jakoś dotoczyliśmy się do biblioteki i tam opadliśmy na skórzaną kanapę. Ledwie starczyło mi przytomności umysłu, by przypomnieć sobie o dzwoneczkach i kazać Luisowi zostawić otwarte drzwi.

W gorączkowym pośpiechu zdarliśmy z siebie ubrania i przytuliliśmy się do siebie, chłonąc nawzajem swoje ciepło. Miłosną grę bez pośpiechu, radość z tej gry, delektowanie się każdą chwilą musieliśmy odłożyć do następnego razu. Chciałam wprawdzie wszędzie go dotykać i czuć, że odwzajemnia pieszczoty w ten sam sposób, ale nie mogłam się doczekać, kiedy stanie się częścią mnie. Pragnęłam go bez reszty, pożałowałam absolutnie całego.

Był więc niepohamowany pęd, było szaleństwo i cudowne uniesienie.

Nie wiem, czy następny raz byłby jeszcze wspanialszy, przypominałam sobie bowiem nagle, co dręczyło mnie przed jego przyjściem.

- Czy *to* prawda, że moja babka dała ci pieniądze na studia medyczne? - spytałam, z opóźnieniem uświadamiając sobie, że te słowa zabrzmiały prawie jak oskarżenie.

Odsunął się, by spojrzeć mi w oczy.

- Prawda.

Jakoś nie chciałam być dłużej naga, więc wyswobodziłam się, sięgnęłam po luźną bawełnianą koszulkę i nałożyłam ją na siebie.

- Nie sądziłam nawet, że ona cię lubi.
- Bo nie lubiła mnie. - Luis wstał i zaczął się ubierać.

Przyglądając mu się, znów uległam powabowi jego posępnej urody. I byłam już gotowa przerwać dociekania, ale przecież nie mogłam tak tego zostawić. Luis nie zaprzeczył, ale także niczego nie wyjaśnił. Dlaczego?

Ubrałam się do końca i przysiadłam skulona w kącie kanapy. Luis zajął miejsce w drugim i z uwagą mierzyliśmy się wzrokiem.

- Gzy mógłbyś mi zdradzić, co skłoniło ją do takiej zmiany stanowiska? - spytałam w końcu.

- Nie zmieniała stanowiska. Zawarliśmy umowę. - Jego głos brzmiał obojętnie, twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Wyjaśnij mi to, proszę. - Swym zachowaniem budził we mnie niejasne podejrzenia, więc odezwałam się ostrzej niż zamierzałam.

- W zamian za pieniądze na naukę podpisałem zgodę na to, że nigdy więcej nie będę próbował cię spotkać ani skontaktować się z tobą w żaden inny sposób.

Zapatrzyłam się na niego, nie wierząc własnym uszom.

- Jak mogłeś? - krzyknęłam.

- Dziesięć lat temu powiedziałas mi, że nie chcesz mnie więcej widzieć na oczy. Jasno dałaś mi do zrozumienia, że nie życzysz sobie mieć ze mną do czynienia. A skoro nie mogłem zdobyć ciebie, to dlaczego miałbym nie przystać na warunki Faith Rolland? Zawsze chciałem być lekarzem, żeby pomóc mojemu plemieniu. Pojawiła się szansa i skorzystałem z niej.

Nie mogłam zaprzeczyć, że dziesięć lat temu rzeczywiście powiedziałam mu to, co powiedziałam, ale byłam wtedy przerażona i zrozpaczona tym, co stało się na Mount Sangre. W owym czasie każde wypowiedane słowo traktowałam ze śmiertelną powagą... ale przecież ludzie się zmieniają. Luis nie zadał sobie trudu sprawdzenia, czy się zmieniłam. Zamiast tego z zimną krwią wymienił mnie na pieniądze.

- Nie mogę uwierzyć, że byłeś w stanie zrobić coś takiego - powiedziałam.

Wzruszył ramionami.

- Mnie też było trudno uwierzyć, że twoja babka posuwa się aż do tego dla utrzymania nas z dala od siebie. Spytałem ją, jaką ma pewność, że dotrzymam swojej części umowy. „Twój podpis na dokumencie jest dla mnie gwarancją - powiedziała. - Wystarczy, że moja idealistyczna wnuczka rzuci okiem na ten papier i będziesz w jej oczach przegrany raz na zawsze. Nie zechce już mieć z tobą nic wspólnego. A ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zachować czystość linii Rollandów i zapobiec mieszaniu krwi. Ona jest młoda. Kupuję dla niej czas, żeby wyrosła z młodzieńczego zauroczenia”.

Spojrzał na mnie tymi swoimi ciemnymi oczami, bez cienia wstydu czy prośby o przebaczenie. Wpadłam w furję. W uszach odbiły mi się echem słowa, które wymamrotał na tej samej kanapie dwie noce temu: „Dotrzymałem warunków. Umowa wygasła”.

To do niej mówił. Do babki Faith.

- Z mojego punktu widzenia umowa nie wygasła - powiedziałam zimno.

- Czy nie jest trochę za późno na takie stwierdzenia?

Prędzej padłabym trupem, niż przyznałabym mu rację.

- Odczekałeś do jej śmierci, a potem zerwałeś umowę - wyrzuciłam z siebie.

- Nie zerwałem. Sama wróciłaś do Naranady.

- A gdybym nie wróciła? Chcesz powiedzieć, że nigdy nie zamierzałeś mnie odszukać? - Wiedziałam, że zachowuję się irracjonalnie, ale za bardzo ucierpiała moja duma, bym kierowała się rozsądkiem.

- Nigdy cię nie zapomniałem. Jak mógłbym? Ale dziesięć lat temu byłem pewien, że nawet nie zapamiętałaś mojego imienia.

Spojrzałam na niego złym wzrokiem.

- Żałuję, że zapamiętałam. Żałuję, że w ogóle cię poznałam.

Znowu wzruszył ramionami.

- Babka nie myliła się co do twojego idealizmu. Zdaje się, że ci nie przeszedł. Czego, do diabła, spodziewałaś się po mnie, Valoro? Dziesięć lat temu nie umiałem czytać w twoich myślach i teraz też nie umiem. Słyszałem tylko twoje słowa, a według nich miałem zejść ci z oczu.

- Ale nie na zawsze.

- Teraz to wiem, wtedy nie wiedziałem. Pragnęłam zrozumieć jego uczucia, ale duma

przeszkadzała mi spróbować. Nie zależy mu na mnie tak bardzo! To jedno jedyne przeświadczenie wyryło się w moim umyśle naprawdę wyraźnie.

- Wyjeżdżam w poniedziałek - powiedziałam wstając z kanapy. - Nie sądzę, żebyśmy jeszcze się spotkali.

On również wstał.

- Czy nie idziesz na przyjęcie Trávisa?

- Oczywiście, że idę!

- Wobec tego zobaczymy się.

Jego opanowanie doprowadzało mnie do szału. Miałam ochotę go uderzyć.

- Wiesz, co miałam na myśli. Już po wszystkim. Nigdy więcej.  
Koniec.

Na jego ustach pojawił się półuśmiech.

- Ktoś, zdaje się że ulubieniec dziadka, jogin Berra, powiedział kiedyś: „Nie jest po wszystkim, póki nie jest po wszystkim”. A nie jest. Stanowczo nie.

Zanim zdążyłam wymyślić ciętą ripostę, już podązał wielkimi krokami przez bibliotekę. Dopadłam drzwi wejściowych sporo później i kiedy znalazłam się na dworze, nie było po nim śladu.

Zasunęłam wszystkie zamki, wkładając w tę i czynność znacznie więcej energii niż potrzeba, i pomaszerowałam w stronę schodów. Na trzecim stopniu z kolei bezsilnie usiadłam, pogrążona w czarnej rozpacz. Tak wiele rzeczy i spraw odrzucałam, zupełnie jakby nie miały dla mnie znaczenia. Skreślałam z życia Luisa i Szkarłatny Kamień.

Słusznie czy niesłusznie?

---

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

---

Znajomość z Luisem nie ma przyszłości, powiedziałam sobie następnego ranka, spędziwszy resztę nocy przewracając się z boku na bok w łóżku. W żadnym wypadku. Nawet gdybym była w stanie zmusić się do wybaczenia mu tej umowy z moją cioteczną babką, to i tak nie mogłam zostać w Naranadzie. Dla dobra Tibbie nie wolno mi tego ryzykować. A wiedziałam, że Luis stąd nie wyjedzie.

Był jedynym lekarzem Miwoków na tym terenie i dobrze zdawał sobie sprawę, że jego plemię go potrzebuje. Rozumiał przecież tych ludzi tak, jak nie rozumiałby żaden obcy.

Stojąc pod prysznicem wymruczałam:

- Niech szlag trafi twoją szlachetną duszę, Luis. Wiem, że chciałeś pomóc swojemu plemieniu, ale czemu musiałeś wpaść w sidła babki Faith, żeby zdobyć pieniądze na studia?

Istniały przecież rządowe pożyczki, szczególnie dla mniejszości narodowych, a gdybyśmy byli razem, sama bym mu pomogła. Czyżby tego nie wiedział? Z pewnością rzucając się na ofertę babki nawet nie zadał sobie trudu, żeby dowiedzieć się, co u mnie słychać.

Włożyłam szorty i bawełnianą koszulkę, wciąż mrucząc do siebie pod nosem. Usiłowałam zagłuszyć wątpliwości, rodzące się gdzieś w zakątkach mojego umysłu. Czy dziesięć lat temu rzeczywiście tak ochoczo bym mu pomogła? Pierwszy rok na uniwersytecie był dla mnie katorżniczy. Ledwie zdążyłam się tam zaaklimatyzować, kiedy przyjechała Willa, bez centa przy duszy i do tego w ciąży. Po jej śmierci dręczyły mnie żal i wyrzuty sumienia, no i zostałam sama z niemowlęciem.

Czy rzeczywiście powitałabym wówczas Luisa z otwartymi ramionami?

- Mamo, nie będziesz dzisiaj jadła śniadania? - zawołała Tibbie z parteru.



Kiedy otworzyłam drzwi na korytarz, zobaczyłam, że promienie słońca, wpadające ukośnie przez okno sypialni, ożywiają olejny portret dwudziestokilkuletniej babki Faith. Obraz wisiał w tym niezbyt stosownym miejscu, gdyż babce nigdy się nie podobał. Ale ponieważ autor był powszechnie znany, nie chciała definitywnie usunąć portretu.

Skrzywiłam się widząc uśmieszek na jej ustach, który sugerował, że babka Faith zawsze będzie górą, przechytrzy wszystkich. Ale przecież nie ze wszystkimi jej się udało. Nagle uświadomiłam sobie, że raz przegrała batalię z własną siostrą. Moja babka Hope poślubiła mężczyznę, którego pragnęła Faith, dalekiego krewnego Rollandów. Babka Faith poznała go na przyjęciu w San Francisco i zaprosiła w odwiedziny do Naranady.

Najwcześniejsze zdjęcia babki Hope, jakie widziałam, przedstawiały uroczą dziewczynę o ujmującym uśmiechu. Mogłam zrozumieć, dlaczego mężczyzna w tamtych czasach wolał kobietę łatwiejszą we współżyciu niż babka Faith, nawet za młodu.

Czyżby uraza babki Faith była trwała? Czy jąrzyła ją przez długie lata, aż w końcu babka postanowiła odegrać się na mnie, drugopokoleniowym owocu tamtego małżeństwa, tak, bym musiała wycierpieć to samo, co ona? Czy dlatego zadała sobie tyle trudu, żeby rozdzielić mnie i Luisa?

Pokręciłam głową. Ta sprawa nie miała nic wspólnego z przeszłością. Przecież babka powiedziała Luisowi, że Rollandowie są dla niego za dobrzy.

Mnie to, że jest Miwokiem, zupełnie nie przeszkadzało, w przeciwieństwie do umowy, jaką podpisał z babką. Westchnęłam i już miałam zamiar zejść na dół, gdy pierwszy raz spostrzegłam, że małe kolczyki na portrecie wyglądają tak, jakby były w nich kocie oczka. Przysunęłam się bliżej. Tak, na pewno kocie oczka. Nigdy nie widziałam tych kolczyków u babki Faith. Nie było ich też w biżuterii, którą zostawiła mi w spadku. Ciekawe, co się z nimi stało?

„Kocie oczko chroni”, powiedziała babka do Delii.

Przed czym chroni? Chciałam przejść nad tym przesądem do porządku dziennego, ale dziwne zdarzenia ostatnich tygodni sprawiły, że zapragnęłam mieć te kolczyki.

Wyrzucić to z pamięci, poradziłam sobie w myślach i z powrotem odwróciłam się do schodów. Dlaczego próbujesz ułożyć coś sensownego z łamigłówek, w której brakuje tylu elementów?

Potem Tibbie wzięła się do ćwiczenia gry na fortepianie, a ja poszłam do jadalni studiować inny portret babki Faith, już czterdziestoletniej. Nadal miała rude włosy Rollandów, tak jak ja teraz, i nadal uśmiechała się w ten sam sposób, ale kolczyki miała inne. Przy tych oględzinach zastała mnie Delia.

- Lucy nie przyjdzie dzisiaj ani jutro do pracy - poinformowała mnie.  
- Wpadła wczesnym rankiem, przyniosła bochenek tego pysznego chleba z cukinii, który sama piecze, i powiedziała, że jej matka jest chora. Przyniosła też nowiny o Jacku Nortonie. Podobno dalej jest w marynarce. Ostatnio miał od niego wiadomość kuzyn Ed, który w czerwcu dostał pocztówkę z Danii. Okręt Jacka stał tam w porcie. Ed twierdzi, że po wstąpieniu do marynarki Jack poprzysiągł sobie nigdy więcej nie postawić nogi w tym grajdole zwanym Naranadą. Z tego, co wiadomo kuzynowi, dotrzymał słowa.

Dania w czerwcu. Ale przez miesiąc okręt mógł dopłynąć do zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. I Jack mógł cichcem zjawić się w miasteczku, bez wiedzy Eda. Musiałam jednak przyznać, że prawdopodobieństwo pojawienia się Jacka lub jego okrętu w pobliżu Kalifornii jest bardzo małe.

Skoro więc nie Jack jest złodziejem, to kto? Kto zabrał medalion z sową? I jak złodziej mógł dowiedzieć się o skrytce?

- Nie wyglądasz zbyt radośnie - stwierdziła Delia. - Ja też wolałabym, żeby rabusiem okazał się Jack, ale chyba nie ma na to szans.

- Czy myślisz, że babka wspominała komuś o tym schowku?

Kręcąc głową, Delia spojrzała na portret.

- Po twarzy widać, że to kobieta, która dochowuje sekretów. Chyba że pod koniec życia coś jej się wymknęło w pomieszaniu. Ale nie mam zielonego pojęcia, przy kim. Na pewno nie przy mnie. Póki żyła Willa, mogła coś wyniuchać, ona lubiła szperać. Ale Willi nie ma wśród żywych dużo dłużej niż pani Faith.

- Tibbie wbiła sobie do głowy, że złodzieja zaprowadził do kryjówki Diabło, ale to jest oczywiście niemożliwe, nawet gdyby był

najpodobniejszy do kocicy babki. Sombra mogłaby znać to miejsce, bo kręciła się przy swojej pani, ale nie bezpieczeństwa kociak.

- Nie zapominaj o tych czterech piórkach. Diabło mógł je wyczuć. Kory mają dobry węch.

Wydawało mi się to dość nieprawdopodobne. W takiej sytuacji złodziej musiałby wiedzieć nie tylko o medalionie, lecz i o piórkach, i jeszcze uznać, że kociak może mu pomóc. Poza tym musiałby wnieść zwierzaka do biblioteki, bo Diabło nie wszedłby tam z własnej woli.

Z kolei Tibbie utrzymywała, że Diabło bał się medalionu z sową i dlatego początkowo nieufnie odnosił się do tego pomieszczenia. Ale w jaki sposób kot wyczułby przedmiot ze srebra?

- Skąd złodziej mógł wiedzieć, że w domu jest mały kot? - spytałam.

- Lucy lubi plotkować. Prawdopodobnie mnóstwo ludzi w miasteczku słyszało, że Tibbie znalazła bezpieczeństwa kociaka, który wygląda dokładnie tak samo jak kocica pani Faith.

Pokręciłam głową.

- Nie mogę tego pojąć. Nie podoba mi się to, co się tutaj dzieje. Przeraza mnie. Wyjechałabym nawet jutro, gdybym sądziła, że Tibbie przebaczy mi cofnięcie danego słowa.

- Może najgorsze już minęło - pocieszała mnie Delia.

- Miejmy nadzieję! - Powiedziałam to z żarliwym przekonaniem, obawiałam się jednak, że nadzieja nie wystarczy. - Dość mam zgubionych pierścionków, tajnych schowków i włamywaczy.

- Gdybyś poprosiła Jeda, pewnie mógłby przespać tutaj dwie noce, aż do twojego wyjazdu. Żona umarła mu dwa lata temu, więc w domu nikt na niego nie czeka.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością do Delii i poczułam się nieco różniej.

- To świetny pomysł. Zaraz z niego skorzystam.

- Powiedz Jedowi, że mogę wstawić składane łóżko do kuchni. W ten sposób będzie miał gdzie się położyć, ale w razie kłopotów będzie pod ręką.

Poszłam do zagrody razem z Tibbie i podczas gdy ona jeździła na kucu, odbyłam rozmowę z Jedem.

- Jasne, bardzo chętnie - powiedział. - Chcesz, żebym wziął z sobą

strzelbę? Jest stara, ale jara.

Miałam odpowiedzieć przecząco, ale zamiast tego znieca skinęłam głową. Skoro byłam dość zaniepokojona, żeby prosić go o pilnowanie domu, to równie dobrze może być uzbrojony.

Potem powiedziałam Tibbie, że Jed będzie spał w kuchni.

- Nie sądzę, żeby złodziej miał wrócić - dodałam, nie chcąc jej straszyć. - Ale ostrożność nie zawadzi.

Tibbie nie wydawała się spłoszona w najmniejszym stopniu.

- Po co złodziej miałby wracać? Dostał to, czego chciał. Ale dla Jeda to dobrze. Myślę, że u siebie w domu jest mu trochę smutno, bo mieszka całkiem sam.

Ja także sądziłam, że włamywacz osiągnął swój cel, ale czy czegokolwiek można być pewnym?

- Po naszym wyjeździe Delia też zostanie całkiem sama - rzekła po chwili Tibbie. - Może Jed przeniósłby się na stałe do Szkarłatnego Kamienia? Wtedy żadne nie mieszkałoby samo.

Delia została wdową dwa lata po ślubie, zanim jeszcze przyszła do pracy w Szkarłatnym Kamieniu. Co prawda postanowiła nie wychodzić powtórnie za mąż, ale może nie będzie miała nic przeciwko temu, żeby w domu zamieszkał jakiś mężczyzna. Zyskałaby poczucie bezpieczeństwa, no i towarzysza.

- Mogę to Jedowi zaproponować - powiedziałam.

- Ciągle żałuję, że musimy wyjechać - podjęła Tibbie zadumanym tonem. - Tyle jeszcze chciałam tu zrobić. Na przykład wejść na szczyt Mount Sangre.

Wytrzeszczyłam na nią oczy.

- Przecież tam byłaś. Skrzywiła się.

- Miałam atak, więc to się nie liczy. Przecież wiesz, że potem niczego nie pamiętam.

- Wiem. Ale kiedy skończył ci się atak po tym nocnym włamaniu, pamiętałaś przecież, że szukałaś Diabła.

- Ten atak był trochę inny - wyjaśniła. - Inaczej się czułam, bo wiedziałam, czego szukam, tak jakby Diabło mnie wołał. I coś jakby szeptało w mojej głowie o tych gryfach na kominku.

„Póki żyła Willa, mogła coś wyniuchać, ona lubiła szperać”. Słowa

Delii wracały do mnie raz po raz i wtedy przenikał mnie zimny dreszcz.

Za wielu przesądów się nasłuchiłaś i za wiele znasz mitów, zbeształam się w duchu. Willa nie żyje i jej duch czy co tam innego na pewno nie przychodzi szeptać do ucha Tibbie.

To, że nie umiałam wyjaśnić, skąd Tibbie wiedziała o mechanizmie poruszonym obrotem głowy gryfa, nie znaczyło, że koniecznie muszę wierzyć w duchy. Ale pierwszy raz od tygodni zatęskniłam do schludnego biura w Santa Cruz, gdzie pracowałam. Najgorsze, co się tam mogło wydarzyć, to błędy komputera, ale i one miały zawsze jakieś logiczne wytłumaczenie. Stwarzały problemy, które dawały się rozwiązać.

Złowrogie ciarki przeszły mi po krzyżu, pojęłam bowiem, że być może nigdy nie zrozumiem, co zaszło tu, w Naranadzie.

- Ten ostatni raz nie był taki zły - ciągnęła Tibbie - bo pamiętam, co się działo. Ale i tak nie lubię moich ataków. Ten lekarz z Pało Alto, co miał dwa nazwiska i długą siwą brodę, powiedział, że może z nich wyrosnę. I co? Przecież mam już dziewięć lat. Więc kiedy?

Jak zawsze, gdy Tibbie potrzebowała pocieszenia, schowałam do kieszeni własne zmartwienia, zdecydowana nie okazywać jej, że i ja jestem bardzo niespokojna.

- Myśl, co chcesz - odparłam - ale dziewięć lat to wcale nie tak dużo. Tibbie przewróciła oczami.

- Teraz będzie wykład o tym, jak wydawało ci się, że jesteś dorosła, kiedy miałaś trzynaście lat, ale okazało się, że wcale nie jesteś, kiedy wpakowałaś się...

Roześmiałam się.

- Oho, widzę, że wszystko pamiętasz i świetnie wiesz, co chciałam powiedzieć.

Tibbie pokręciła głową.

- Dalej nie rozumiem, jak mogłaś wsiąść do kradzionego samochodu z facetem, o którym wiedziałaś, że jest... jak babka go nazwała?... obwiesiem.

- Nie wiedziałam, że ten samochód jest kradziony - zaprotestowałam.

- Przejazdzka z czternastoletnim obwiesiem. Przecież musiałaś

wiedzieć, że on w tym wieku nie może mieć prawa jazdy.

- Zupełnie jakbym słyszała swoją matkę.

- To dlatego, że opowiadałaś mi tę historię mnóstwo razy, więc całkiem nieźle zapamiętałam, co powiedziała ci babcia. I miała rację.

Wyraźnie udało mi się odwrócić uwagę Tibbie, więc szeroko uśmiechając się do niej, spytałam:

- Czy jeśli obiecuję, że więcej tego nie zrobię, możemy skończyć z tym tematem?

- Teraz też czasem robisz dziwne rzeczy, mamó. Tak samo jak inni dorośli.

- Może dlatego, że w głębi serca każdy pozostaje dzieckiem?

Tibbie westchnęła.

- Zawsze wszystko zwała się na dzieci.

Jed wprowadził się tymczasowo zapowiadając, że przemyśli propozycję i może zostanie na stałe po naszym wyjeździe. Nie wiadomo, czy sprawiła to jego obecność, ale rabuś wreszcie przestał dawać znaki życia. W sobotę o świcie było gorąco i parno.

- Jed mówił, że nad górami zbierają się burzowe chmury - powiedziała mi Delia przy śniadaniu. - Zdaje się, że solidnie pogrzeje.

- Będzie prawdziwa burza? - zainteresowała się Tibbie. - Taka z błyskawicami?

Delia skinęła głową.

- O jej!

W Santa Cruz, gdzie Tibbie mieszkała przez całe życie, burze zdarzały się rzadko, nic też dziwnego, że ta myśl ją ekscytowała.

- Mam nadzieję, że Luis przyjedzie przed burzą - odezwała się znów Tibbie. - Inaczej nie zobaczy, jak jeżdżę na Mistym.

Ponieważ nie miałam wiadomości od Luisa przez cały tydzień, a ostatnio rozstaliśmy się we wrogim nastroju, nie byłam pewna, czy pamięta o obietnicy danej Tibbie.

- Luis może być bardzo zajęty i w ogóle nie ruszyć się z miasteczka - ostrzegłam córkę.

- To możliwe. Ale na pewno nie w niedzielę.

W niedzielę powinnam zobaczyć Luisa na przyjęciu u Trávisa. Ale czy na pewno? Może nie przyjdzie, a ja będę musiała wyjechać z

Naranady sposobem Miwoków, bez pożegnania. Tak pewnie byłoby najlepiej.

- Co się stało, mamó? Zmrużyłam oczy.
- Nic. A czemu pytasz?
- Smutno wyglądasz.
- Jestem po prostu trochę zmęczona. - Było w tym dużo prawdy.

Chociaż nie dręczyły mnie już złowróżbne sny z tajemniczymi przesłaniami od ciotecznej babki, to nadal nie sypiałam dobrze. Nie mogłam przestać myśleć o Luisie w ciągu dnia, a noce były wypełnione jego wizerunkiem i wspomnieniami. O Luis, Luis, Luis.

Do diabła z Luisem!

Przyjechał późnym popołudniem, przed samą burzą. Kiedy wysiadał na wprost frontowych schodków, błyskawica przecięła niebo, a grzmot rozległ się, gdy przekraczał próg.

- Uwielbiam burze - z podnieceniem oznajmiła mu Tibbie. - Rzadko mam okazję je oglądać.

- Poobserwujmy na dworze. - Luis spojrział kątem oka, czy wyrażę zgodę. Zobaczywszy, że skinęłam głową, poprowadził nas do saloniku i otworzył drzwi wychodzące na patio, osłonięte dachem przed ulewą.

Chciałam sprawić przyjemność Tibbie, więc nie zgłosiłam zastrzeżeń do pomysłu, mimo że podczas burzy czułam się niepewnie. Stojąc razem z Luisem i Tibbie na ceglany podłożu, nie rozkoszowałam się bynajmniej oslepiającymi zygzakami błyskawic i grzmotami, od których nerwowo podskakiwałam.

- Fajnie byłoby w taki deszcz boso potaćzyć na trawniku - powiedziała Tibbie.

- Nie wydaje mi się - ostudziłam jej zapał. - A jeśli trafi cię piorun?

- Czytałam w książce, że piorun uderza w najbliższe wysokie drzewo, a ja jestem taka mała, że nic mi się nie może stać. - Wpatrując się w strugi ulewy, wskazała olbrzymią sosnę na końcu trawnika. - O, tam piorun...

Zanim dokończyła zdanie, oslepił nas krótki, jaskrawy błysk, ostrze skwierczącej błyskawicy spadło prosto na sosnę i natychmiast potem przeraźliwy trzask drzewa zmieszał się z łoskotem grzmotu. Tibbie, zdaje się, krzyknęła. Ja krzyknęłam na pewno.

Wdychając nozdrzami zapach nadpalonego drewna, zafascynowana przypatrywałam się połówkom rozłupanego pnia, chylącym się w dwie różne strony. Nie wiem, jak długo stałyśmy tak bez słowa, wstrząśnięte nagłą śmiercią sosny.

Luis przerwał milczenie.

- Zły omen.

- Ja wcale nie chciałam, żeby tak się stało - pisnęła Tibbie ledwie słyszalnym głosem.

- Nie żartuj - powiedziałam stanowczo. - Pioruny nie uderzają według twojego widzimisię. Nie masz z tym nic wspólnego. - Przeniosłam wzrok na Luisa, robiąc zagniewaną minę. - Dość już się nasłuchiłam tych nonsensownych zabobonów. To jest akurat taki sam zły omen, jak każde inne zjawisko natury. Jeszcze trochę i powiesz mi, że trzęsienie ziemi, które rozwaliło część Santa Cruz kilka lat temu, miało być karą za zło.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że człowiek nie panuje nad naturą - stwierdził kwaśno Luis. - Miwokowie od dawna wiedzą, że natura jest silniejsza od człowieka, a w dodatku kapryśna, i stwarza różne zagrożenia dla życia. Źle wróży drzewo pękające na dwie części, które odpadają od siebie w różnych kierunkach. Dla mnie i mojego ludu znaczy to, że ważna sprawa wymagająca decyzji może potoczyć się w dwie strony; w stronę zła albo dobra.

- Jaka sprawa? - spytałam natarczywie.

- Myślę, że wiesz.

Zrozumiałam, że myśli o Mount Sangre oraz piórach sowy i kruka. W odróżnieniu od starych westernów, w których szlachetni bohaterowie nosili jasne kapelusze, a podejrzane typy czarne, tu było odwrotnie. Nie chcąc podejmować rozmowy o Mount Sangre w obecności Tibbie, powiedziałam:

- Czas, żebyśmy wrócili do domu.

Delia i Jed, gapiący się z progu ogrodowych drzwi na trafione piorunem drzewo, odsunęli się, żeby nas przepuścić.

- O rety, blisko było - skomentował Jed.

- Już mam po dziurki w nosie tego hałasu - dodała Delia. - Dzięki Bogu, że ta burza przechodzi.



Tibbie była nienaturalnie milcząca. Kiedy Luis zaproponował, żeby coś dla niego zagrała, skoro nie może pojeździć na Mistym, ledwie skinęła głową.

Nie udało mi się jednak zapalić światła w muzycznym pokoju. Okazało się, że nie ma prądu.

- Sprawdzę bezpieczniki - powiedział Jed - ale mogło rąbnąć w transformator. A jeśli tak, to musimy trochę poczekać, aż ekipa naprawi.

Zostawiłam Tibbie z Luisem i razem z Delią przyniosłyśmy z pakamery do muzycznego pokoju dwie latarenki na baterie, kilka świec i zapalki. Luis i Tibbie stali przy oknie. Kiedy weszłam, coś tam szeptali, ale na mój widok natychmiast umilkli. Postawiłam jedną z latarenek na fortepianie.

- Czy nie mogłabyś zamiast tego zapalić świec? - spytała Tibbie. - Byłoby zabawniej. Wiesz, tak jak za dawnych czasów.

- Łatwiej będzie ci czytać nuty przy latarence - powiedziałam.

- Znam wszystkie kawałki na pamięć. Muszę tylko widzieć klawisze.

Chcąc dogodzić jej romantycznemu nastrojowi, ustawiłam na fortepianie kandelabr z czterema różowymi świecami, zapaliłam je i zgasiłam latarenkę. Nowość sytuacji bardzo ożywiła Tibbie. Gra przy świecach pomagała jej uporać się z szokiem, jaki najwyraźniej przeżyła w chwili, gdy piorun uderzył w drzewo, które chwilę wcześniej wskazała. Koniec „Tańca Anitry” był już czystym popisem na cześć Luisa.

- Na zajęciach baletowych tańczymy do tej melodii - powiedziała mi Tibbie, gdy skończyła. - Madame Olga mówi, że może nigdy nie będę zawodowo tańczyć, ale mam do tego wrodzony talent. Pokazałabym ci, ale potrzebna jest muzyka, a bez prądu radio nie gra. Gramofon też.

Gramofon w Szkarłatnym Kamieniu był stary, ale działał. Moja cioteczna babka nigdy nie doszła do poziomu stereo czy nawet hi-fi. Ale Tibbie przypomniała mi swą uwagę o czymś zupełnie już minionym. Gdzieś na strychu leżał muzealny nakręcany patefon.

- Myślę, że z tym kłopotem możemy sobie poradzić - powiedziałam.

Luis i ja wzięliśmy latarnie, Tibbie latarkę i pod moim przewodnictwem weszliśmy po schodach dwa piętra wyżej.

- Czy tu są nietoperze? - spytała Tibbie, gdy znaleźliśmy się na

strychu.

- Nie pytałaś mnie o to, kiedy pokazywałam ci strych zaraz po przyjeździe.

- Wtedy przyszliśmy tu w dzień, więc nie myślałam o nietoperzach.

- Tibbie niespokojnie rozejrzała się po obszernym, mrocznym pomieszczeniu ze spadzistym stropem.

Luis wyżej uniósł latarnię.

- Nie ma nietoperzy - oznajmił po chwili.

Uspokojona, Tibbie szła za mną wśród kufrów, starych lamp i dawno nie używanych mebli. W końcu dotarliśmy do patefonu w dębowej skrzynce. Uniosłam wieczko, podparłam je i sprawdziłam, czy w głowicy jest igła. Była, więc schyliłam się do szafki pod spodem, w której stały szybkoobrotowe płyty. Wyjęłam jedną na chybił trafił i położyłam na talerzu patefonu.

- Nakręć - poleciłam Luisowi, wskazując metalową korbkę z prawej strony urządzenia.

Gdy to zrobił, zdjęłam ramię z podpórki i delikatnie opuściłam na początek płyty. Otworzyłam drzwiczki głośnika, powyżej szafki na płyty, i strych wypełnił się metalicznym, ostrym dźwiękiem muzyki Paula Whitemana i jego „Cliquot Club Eskimos”.

- Dlaczego to tak dziwacznie brzmi? - spytała Tibbie.

- Ten patefon, razem z płytami, pochodzi z wczesnej epoki zapisu dźwięku - wyjaśniłam. - Wtedy wydawał się ludziom cudem techniki.

Luis przeszukał płyty i wydobyl nagranie „Tańca i Anitry”. Podał mi je i zrobił miejsce dla Tibbie, żeby mogła zatańczyć.

- Poczekaj, muszę włożyć baletki - powiedziała, chwyciła latarkę i szybko oddaliła się w stronę schodów.

- Skąd wiedziałeś tak szybko, że tutaj nie ma nietoperzy? - spytałam Luisa.

Wzruszył ramionami.

- Żadnego nie wyczułem.

Odpowiedź była wysoce niezadowolająca, ale postanowiłam zawierzyć nadziei, że Luis się nie myli, i nie myśleć więcej o nietoperzach. Odłożywszy „Taniec Anitry” na bok, umieściłam na talerzu inną płytę Paula Whitemana, z fokstrotem.

Luis ponownie nakręcił patefon a kiedy zabrzmiała zwawa muzyka, skłonił się i spytał:

- Czy mogę cię prosić do tańca?
- Tylko jeśli znasz krok fokstrota.

Chwycił mnie za rękę, otoczył ramieniem w talii i zaczęliśmy sunąć po zakurzonej podłodze strychu. Chociaż moje taneczne umiejętności ledwie zasługiwały na miano poprawnych, poczułam, że jesteśmy zestrojeni z sobą jak za sprawą magii. Bez wysiłku poddawałam się prowadzeniu Luisa, który wykonywał nie znane mi kroki.

- Czy tak się tańczy fokstrota? - spytałam bardziej po to, by nie ulec czarowi jego objęć, niż z ciekawości.
- W wersji Miwoków.
- Czy to znaczy, że udajesz?
- Jak to udaję? Przecież trzymamy się w rytmie, prawda?

Nie było też nic udawanego w doznaniu, jakie budziła we mnie jego bliskość. Chciałam na zawsze pozostać tuż przy nim. Krążyliśmy po skrawku podłogi, opróżnionym dla Tibbie. Luis przyciągał mnie coraz bliżej i bliżej, właściwie bardziej obejmowaliśmy się niż tańczyliśmy. Patefon zaczął tracić impet, więc zwolniła i muzyka, a nasze kroki wraz z nią. Wargi Luisa dotknęły moich.

Piosenka skończyła się efektownym akordem, ale Luis mnie nie puścił. Igła przesuwiała się coraz wolniej w końcowym rowku płyty, a my, obojętni na to, patrzyliśmy sobie w oczy. Jak mogłam zostawić tego człowieka, nie zostawiając tu jednocześnie swego serca?

- To jest najwolniejszy taniec, jaki kiedykolwiek widziałam - odezwała się nagle Tibbie. - Czyżbyście przegapili koniec muzyki?

Nie zauważyłam jej powrotu. Luis puścił mnie.

- Nie zwróciliśmy na to uwagi - powiedział do Tibbie. - Ale chyba masz rację. Te stare płyty zdecydowanie krótko grają.

Uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła uśmiech... taki konspiracyjny uśmiech, jakby oboje wiedzieli coś, czego ja nie wiem. O czym szeptali w muzycznym pokoju?

- Puszczę „Taniec Anitry” - powiedziałam pospiesznie, a Luis wziął się znowu do nakręcania sprężyny.

Patrzyłam na taniec Tibbie z przyjemnością. Lekko i z wdziękiem

przemierzała nie malowane deski, łatwo dostosowawszy się do nietypowego falowania dźwięku.

Przebiegło mi przez myśl, że Luis ma tyle samo wdzięku, co ona. Zawsze był taki. Obserwując, jak pracował w ogrodzie mojej babki, zawsze podziwiałam jego swobodę ruchów. Jaki ojciec taka córka? Zanim związek ponurego podejrzenia zdążył się rozwinąć, doszłam do wniosku, że również Travis ma naturalny wdzięk wysportowanego mężczyzny. Zresztą nie wiadomo, może miał go i Jack Norton?

Westchnęłam, na dobre zatraciwszy radość z tańca Tibbie. Mogłam starać się ze wszystkich sił, a i tak nie miałam szans zapomnieć o przeszłości. Było mi pisane, że to, co stało się dziesięć lat temu, już nigdy nie przestanie wpływać na moje życie.

W otwartych drzwiach prowadzących na strych rozbłysło nagle światło, dochodzące od ostatniego podestu schodów. Był to sygnał, że naprawiono prąd. W chwilę później odezwał się brzęczyk aparatu przywołującego Luisa.

Zeszliśmy w trójkę na dół, czar wieczoru się rozwiął. Dla mnie na zawsze.

- Czy przyjdiesz jutro na przyjęcie pana Yorka na cześć mojej mamy? - spytała Tibbie zbierającego się do odjazdu Luisa.

- Nie przepuściłbym takiej okazji - odpowiedział.

- Na pewno będzie świetna zabawa - powiedziała. - Pan York powiedział, że ubawimy się jak jeszcze nigdy w życiu.

Luis przestał się uśmiechać i z ponurą miną rzucił mi przelotne spojrzenie. Pod jego wpływem poczułam ostrzegawczy dreszcz lęku, ożyło bowiem we mnie wspomnienie.

Ubawimy się jak jeszcze nigdy w życiu.

Travis powiedział tak do Tibbie, kiedy po raz pierwszy wspomniał o przyjęciu, ale wtedy nie zwróciłam na to uwagi. Teraz uświadomiłam sobie, że tych samych słów użył dziesięć lat wcześniej, kiedy prowadził nas w górę po zboczu Mount Sangre.

---

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

---

Do niedzielnego poranka zdołałam sobie wmówić, że Travis obiecał nam dobrą zabawę bez żadnych ukrytych myśli. Mimo że dziesięć lat temu to właśnie on był inicjatorem wyprawy na Mount Sangre, po powrocie do Naranady doszłam do wniosku, że zaszkodziła mu ona w najmniejszym stopniu z nas wszystkich. Jeśli w ogóle wracał do niej myślami, to rzadko. Ja mogłam pamiętać, co powiedział Willi, mnie i Luisowi przed wejściem na szczyt, ale on z pewnością zapomniał.

Sądziłam, że po wczorajszej burzy niebo będzie czyste, jednak omyliłam się. Deszczowe chmury nadal ciężko wisiały w górze, chociaż tylko przesłaniały słońce, którego promienie tu i ówdzie przebijały się na ziemię. Zapowiadał się następny upalny, parny dzień.

Po śniadaniu Tibbie powiedziała, że musi pomóc Delii, więc nie będzie jeździć na Mistym. Poszłam na górę, by zacząć pakowanie, ale z każdym strojem, który wkładałam do walizki, czułam się bardziej przygnębiona, więc przerwałam pracę i powędrowałam na strych, żeby upewnić się, czy zostawiliśmy w porządku patefon i zawartość szafki na płyty.

Na strychu nie było klimatyzacji, toteż upał pod samym dachem bardzo dawał się we znaki. Wsunęłam płyty do kopert, odstawiłam je do szafki i zamknęłam wieko patefonu. Przed wyjściem rozejrzałam się jeszcze po rupieciach, zgromadzonych przez pokolenia Rollandów. Obiecywałam sobie tego lata wszystko przejrzeć, ale nigdy nie zdołałam się do tego zabrać. A teraz było już za późno.

Gdybym chciała sprzedać majątek, musiałabym tu wrócić i zdecydować, jakie rzeczy zatrzymać, jakie spieniężyć, podarować albo wyrzucić, nie tylko ze strychu, lecz i z całego domu. Pokręciłam głową, wcale nie zachwycona myślą o powrocie. Oczywiście nie musiałam natychmiast wystawiać domu na sprzedaż. Dopóki Delia i Jed chcieli tu mieszkać, mogłam trzymać wszystko w takim stanie jak teraz. Ale w

przyszłym roku sytuacja mogła się zmienić. Jedno było pewne: jeśli przyjadę tu robić porządki, nie wezmę z sobą Tibbie.

Mimo gorącego powietrza nie spieszyło mi się do zejścia ze strychu. Kręciłam się to tu, to tam, zaintrygowana dziwnością tego, co uzbierali moi przodkowie. Z ozdobnego mahoniowego wieszaka zdjęłam niemodny kapelusz, w jakim chodzono na przyjęcia pod gołym niebem. Strzepnęłam kurz z wyblakłej różowej gazy oraz smutno zwisających róż i włożyłam kapelusz na głowę, po czym przejrzałam się w falistej powierzchni starego, oprawnego w pozłacaną ramę zwierciadła.

Z niedowierzaniem zamrugałam powiekami. Wpatrywałam się niemal w kopię portretu młodej babki Faith, wiszącego w korytarzu na piętrze. Szybko ściągnęłam nakrycie głowy i odzyskałam własne rysy, trochę zniekształcone przez antyczne lustro. Czyżbym rzeczywiście była podobna do mojej ciotecznej babki w młodych latach, czy też uległam złudzeniu optycznemu? Miałam nadzieję, że unoszący się dokoła prawie nieuchwytny aromat konwalii też jest złudzeniem.

Odkładając kapelusz na wieszak, zauważyłam różową brokatową torebkę na krótkim pasku ze złotej plecionki. Zwisiała z kołka, który przedtem podtrzymywał kapelusz. Dziwiąc się, jak mogłam nie dostrzec jej wcześniej, wzięłam ją do ręki i dopiero wtedy odwiesiłam kapelusz.

Po tylu latach zatrask wyraźnie zaśniedział i musiałam posłużyć się parą nożyczek, znaną w zniszczonym koszyku do szycia, żeby oddzielić do siebie dwie metalowe części. Wewnątrz znalazłam poślódką chusteczkę do nosa obszytą koronką i coś, co wyglądało jak srebrna moneta. Ze środka bił wyraźny zapach konwalii.

Przyjrzałam się monecie i stwierdziłam, że jest to medal upamiętniający przyłączenie Wysp Hawajskich do Stanów Zjednoczonych w dniu siódmego lipca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Sądząc, że zainteresuję tym Tibbie, wsunęłam medal do kieszeni szortów i miałam już zamknąć sakiewkę, kiedy palcami wyczułam coś twardego. Zdziwiona, zaczęłam sprawdzać i wymacałam w środku dwie twarde grudki między brokatem i satynową podszewką.

Nożyczkami przecięłam kilka szwów i wyciągnęłam ukryte przedmioty. Ku swemu zaskoczeniu ujrzałam dwa kocie oczka.

Zaginione kolczyki! Torebka pachnąca konwaliami musiała służyć im jako schowek. Podziwiałam złocisty blask kamieni i zastanawiałam się, dlaczego babka je schowała.

Przyszło mi do głowy, że kolczyki oraz pierścionek, który podarowałam Willi ze spadku po moim ojcu, mogły stanowić komplet. Słyszałam przecież, że ojciec dostał to kocie oczko po śmierci babki Hope. Pierścionek należał do Hope, kolczyki do Faith. Ochrona? Ale przed czym?

Wsunęłam kolczyki do kieszonki, razem z medalem, odwiesiłam torebkę na wieszak i zesłam ze strychu dalej męczyć się z pakowaniem.

Zanim Tibbie przyszła na górę powiedzieć mi, że w saloniku podano lunch, zappełniłam i domknęłam jedną walizkę, a druga była prawie gotowa. Zeszliśmy na parter głównymi schodami. Kiedy zbliżyliśmy się do salonu, Tibbie wzięła mnie za rękę i kazała mi zamknąć oczy. Posłuchałam i przez resztę drogi pozwoliłam się prowadzić.

- Teraz możesz otworzyć oczy - powiedziała Tibbie.

Salon był udekorowany chyba wszystkimi możliwymi kwiatami z ogrodu, od astrów po cynie. Ogrodowe drzwi przecinała różowa wstęga ze złotymi literami: „Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin”, a z haka do lampy nad stołem zwisał bukiet różowych balonów.

Stół z lnianym obrusem był nakryty dla dwóch osób najlepszą zastawą mojej babki, porcelaną w różowe kwiatuszki, ozdobnymi rodzowymi sztuccami Rollandów i delikatnymi austriackimi kryształami.

- Mój Boże - wykrzyknęłam, autentycznie osłupiała z zachwytu. - I do tego ja w szortach!

- Hm, gdybym poprosiła, żebyś się ładnie ubrała, nabrałabyś podejrzeń - powiedziała Tibbie. - Chciałam, żebyś miała niespodziankę.

- Zdecydowanie mam. I jestem pod wrażeniem. Czy sama to wszystko wymyśliłaś?

Tibbie skinęła głową.

- Ale Delia mi pomogła. I będzie nam podawać do stołu, bo, jak mówi, wtedy będziemy miały prawdziwe przyjęcie. A ja wybrałam niektóre dania. Poczekaj, aż spróbujesz! - Odsunęła krzesło mówiąc: - Proszę bardzo, pani Rolland, zechce pani spocząć.

Zacząłyśmy od chłodnika ze śmietaną, potem przyszła kolej na sandwicze z podłużnych bułeczek nadziewanych sałatką szynkową lub topionym serkiem z oliwkami, czyli moimi przysmakami. Do picia miałyśmy lemoniadę, doprawioną sokiem z granatów. Kiedy oświadczyłam, że nie zmieszczę już ani kęsa, Delia wszystko zabrała i po chwili wniosła tort obłany czekoladą i rozjarzony świeczkami.

- Dokładnie dwadzieścia osiem - poinformowała mnie Tibbie.

Płomienie świeczek migotały, a tymczasem dołączył Jed i wraz z Delią i Tibbie odśpiewali mi we troje „Happy Birthday”. Przyjrzeni się, jak gaszę świeczki - wszystkie dwadzieścia osiem - jednym dmuchnięciem smoka. Było to z mojej strony dokonanie nie lada, zważywszy jak bardzo wzruszona byłam ich troską i staraniami.

- Spełni się twoje życzenie, mamó! - wykrzyknęła Tibbie.

Zupełnie jakby to, czego najbardziej pragnęłam, rzeczywiście mogło się spełnić.

- Ty i Jed siadźcie teraz tutaj i zjedzcie z nami tortu - powiedziałam do Delii wstając, żeby go pokroić.

- Jed i ja zjemy sobie w kuchni - powiedziała stanowczo Delia i nie można jej było tego wyperswadować.

Odkroiłam dwa duże kawałki i podałam jej talerzyki.

- Dziękuję wam obojgu za pomoc w urządzeniu najpiękniejszych urodzin, jakie dotąd miałam.

Zostawszy tylko z Tibbie, wzniosłam szklankę z lemoniadą i powiedziałam:

- Za najwspanialszą córkę na świecie. Niech wszystkie niespodzianki, które jeszcze ma w zanadrzu, będą tak przyjemne jak ta. Zachichotała radośnie.

- Pospiesz się i zjedz swój kawałek tortu - powiedziała po chwili. - Wtedy będziesz mogła otworzyć prezenty.

Wykonałam gest w stronę stołu.

- Myślałam, że to był mój prezent.

- Są jeszcze inne. - Tibbie wierciła się niecierpliwie czekając, aż przełknę ostatni kęs wspaniałego dzieła Delii. Wreszcie, widząc, że odkładał widelczyk, odetchnęła z ulgą. Zanurkowała pod stołem, wyciągnęła stamtąd trzy starannie owinięte paczki i położyła je przede



mną.

- Luis też zostawił prezent dla ciebie - powiedziała z przejęciem - ale nie mogę ci go dać aż do powrotu z przyjęcia u Trávisa, bo tak mu obiecałam.

Usiadłam rozmyślając nad motywami Luisa. Dlaczego musiałam czekać do wieczora? Cóż takiego mógł mi dać. czego miałam tymczasem nie zobaczyć? W końcu Tibbie nie wytrzymała. Podniosła najmniejszy pakunek i wsunęła mi do ręki.

W białej bibułce znalazłam rzeźbę przedstawiającą kuca. Jasne drewno było wypolerowane do połysku. \- Jaka delikatna robota - powiedziałam.

To od Jeda. Powiedziałam mu, że nadal uwielbiasz Misty'ego i dlatego ci go wyrzeźbił. Dla mnie robi Diabła. - Tibbie podała mi większą paczuszkę. - To dała ci Delia.

Odwinęłam zrobiony na drutach szal w pięknym odcieniu rózu.

- Ach, to dlatego Delia schodziła mi z oczu, kiedy migąła drutami. - Podniosłam szal do góry. - Czy nie jest przepiękny?

Tibbie skinęła głową i podsunęła *mi* ostatnią paczkę.

- Został tylko jeden prezent, więc musi być *od* ciebie - powiedziałam.

- Jest w pudełku, ale i tak musisz delikatnie otwierać - ostrzegła.

Wzięłam sobie te słowa do serca i odpakowywałam tak ostrożnie, że omal nie skręciło jej z niecierpliwości. Kiedy w końcu otworzyłam pudełko, stanęła przy mnie.

- Ojej, Tibbie, jakie to niezwykle - powiedziałam, przede wszystkim wyrażając entuzjazm dla pracy, jaką włożyła w wykonanie obrazka z nasion. Kiedy zorientowałam się, co widzę przed sobą, otoczyłam ją ramieniem i przytuliłam.

- To jest ten tajemniczy staw w skałach, nad którym byliśmy z Luisem i Soso, tak?

Uśmiechnęła się zadowolona.

- Bałam się, że nie poznasz.

- Jak mogłabym? Tutaj jest staw, tam skały, drzewo... Och, Tibbie, Podoba mi się tak, że bardziej nie może.

- Soso pokazała mi, jak rozplanować obrazek, a Delia i Jed pomogli

mi szukać odpowiednich nasion, ale poza tym wszystko zrobiłam sama. Chciałam zapamiętać najszczęśliwszy dzień w moim życiu, spędzony z tobą, Luisem i Soso.

Usiłowałam powstrzymać łzy. Ja też czułam się tam cudownie. Chyba był to najszczęśliwszy dzień również w moim życiu.

- Bez względu na to, jak wspaniałe będzie przyjęcie Trávisa - powiedziałam jej - nie wytrzyma porównania z tamtym dniem. Dziękuję ci. - Cmoknęłam ją w policzek i puściłam.

- Mnie też się wtedy wydawało, że jest wprost fantastycznie.

O znalezisku ze strychu przypomniałam sobie dopiero wieczorem, kiedy ściągnęłam szorty, żeby wziąć prysznic przed ubraniem się na przyjęcie. Odłożyłam medal i kolczyki na toaletkę.

Wybrałam białą długą bawełnianą suknię bez rękawów, zdobioną naszywanymi złotymi i srebrnymi kwiatami. Kiedy usiadłam przed lustrem, chcąc wyszczotkować włosy, mój wzrok padł na kolczyki z kocimi oczkami. Ujęłam jeden z nich, przyłożyłam sobie do ucha i skinęłam głową. Tak, pasowały do sukni.

Właśnie przypięłam sobie drugi kolczyk, kiedy weszła Tibbie, trzymając rzeźbioną koralową spinkę, którą znalazła, u siebie w pokoju zaraz po przyjeździe. Spinałam nią włosy jako nastolatka, potem zostawiłam.

- Pasuje mi do sukienki, ale nie mogę sobie poradzić z zapięciem - powiedziała.

Wyjęłam kosmyki włosów po obu stronach jej twarzy, odciągnęłam je do tyłu i przytrzymałam spinkę, a Tibbie tymczasem podniosła z toaletki stary medal.

- Tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty ósmy rok - powiedziała. - To było bardzo, bardzo dawno.

- Znalazłam go na strychu... Możesz sobie wziąć, jeśli ci się podoba.

- Dzięki. - Wsunęła srebrny krążek do kieszeni dżersejowej sukienki z bawełny, potem oceniła fryzurę w lustrze. - Czy uważasz, że w ten sposób wyglądam doroślej? - spytała, przekrzywiając głowę na różne strony.

Udałam, że się zastanawiam.

- Nie jestem pewna, czy doroślej, ale powiedziałabym, że pasuje ci

ten styl. A jak moja kreacja? Ujdzie?

Z uśmiechem odwróciła się do mnie i zaczęła mi się przyglądać.

Nagle jej uśmiech zamarł na twarzy, a wzrok przesłoniła mgła.

Zamarłam z przerażenia że zaraz będzie miała atak.

- Tibbie! - krzyknęłam.

Zamrugła i skupiła wzrok na mnie. Odetchnęłam z ulgą.

- Co się stało? - spytałam.

- Nie wiem dokładnie. Zobaczyłam twoje kolczyki... nigdy nie nosiłaś nic takiego... i coś mi się nagle zrobiło w głowie. Już przeszło.

Nie potrafię lepiej wyjaśnić. - Z wahaniem wyciągnęła palec, by dotknąć jednego kolczyka.

- Jeszcze jedno znalezisko ze strychu - powiedziałam. - To są kolczyki, które moja cioteczna babka nosi na portrecie, tym, co wisi w korytarzu na piętrze. Jeśli cię niepokoją, to je zdejmę.

- Nie, nie rób tego. Podoba mi się ich blask, poza tym dają takie miłe wrażenie ciepła.

Daleki pomruk sprawił, że odwróciłam głowę w stronę okna.

- Grzmi?

Tibbie pokręciła głową.

- Mnie się zdawało, że to odrzutowiec.

- Pewnie masz rację. Ale i tak coś wisi w powietrzu. Chyba jednak zbiera się na burzę.

Przygryzła wargę.

- Znowu? Taką z błyskawicami i piorunami?

- Myślałam, że lubisz burze?

- No, niby tak, ale... - Nie dokończyła. Wyraźnie była jeszcze poruszona wczorajszym uderzeniem pioruna i nie miała całkowitej pewności, czy to nie z jej winy padła ta sosna.

- Nie musimy iść na to przyjęcie, możemy zostać w domu - powiedziałam.

- Chcę iść! Nie boję się burzy.

- Mam nadzieję, że się nie rozczarujesz. Travis nie powiedział mi, kogo zaprosi oprócz Luisa, więc bardzo możliwe, że nie będzie żadnych innych dzieci.

- Mniejsza o to. Pan York mnie zaprosił, są twoje urodziny, więc

chcę iść. - Spojrzała na mnie spode łba. - A ty nie chcesz?

Wstałam i wygładziłam dół sukni. Gdybym miała zdobyć się na szczerłość, to musiałabym przyznać, że nie chcę. Ale Tibbie nie miała pojęcia o tym, co zaszło podczas moich urodzin dziesięć lat temu, i święcie wierzyłam, że nigdy się nie dowie.

- Robię się trochę za stara, żeby wydawano na moją cześć urodzinowe przyjęcia - wytłumaczyłam niezręcznie. - Szczególnie, jeśli dwa wypadają w jednym dniu.

- Jeszcze nie masz trzydziestu lat, mamó. Uśmiechnęłam się kwaśno uradowana, że w jej oczach brakuje mi jeszcze dwóch lat do granicy starości.

- Kogo bardziej lubisz? - spytała nagle Tibbie. - Pana Yorka czy Luisa?

- Obu lubię - odpowiedziałam szybko, unikając pułapki.

- Dokładnie tak samo? - nalegała Tibbie.

- A dlaczego pytasz? Zmarszczyła czoło.

- Bo miałam sen ostatniej nocy. Wiesz, Soso powiedziała mi, że nazwisko Luisa jest tak naprawdę jego imieniem. Trudno je wymówić, nie mogę sobie przypomnieć, bo to w języku Miwoków, w każdym razie znaczy ono tyle co „polujący myszołów z rudym ogonem”. W moim śnie zgubiłaś się gdzieś między wzgórzami. Twoim śladem biegł kojot, a nad głową latał ci myszołów. Ty nie widziałaś żadnego z nich. Mnie w tym śnie właściwie nie było, ale jednak jakoś tam byłam, bo wiedziałam, co myślisz i w ogóle.

- Bałaś się - ciągnęła Tibbie - bo nie wiedziałaś, gdzie jesteś, a nadchodziła burza. Próbowалаś się ukryć w takiej jaskini, ale w środku siedział grzechotnik, więc uciekłaś. Grzechotnik wyskoczył za tobą. Wtedy nadbiegł kojot i zamienił się w pana Yorka, a myszołów wylądował i zamienił się w Luisa. Najpierw pan York chciał ci wskazać drogę do domu, ale potem Luis powiedział, że ta droga nie jest właściwa, a ty nigdy nie trafisz, jeśli to on ci jej nie pokaże.

- I co zrobiłam? - spytałam, gdy Tibbie zamilkła.

- Nie mogłaś się zdecydować, a grzechotnik był coraz bliżej. Nie wiedziałaś o nim, ale wiedzieli pan York i Luis. Jeden trzymał cię za jedno ramię, drugi za drugie i ciągnęli każdy w swoją stronę. A ty

krzyczałaś i krzyczałaś, i w końcu się zbudziłam.

Otrząsnęłam się z nie milego dreszczu.

- Miałaś straszny sen.

- Owszem. Już, już miałam przyjść do ciebie do łóżka, ale przytuliłam Diabła, a on zaczął mrużyć. Poczułam się lepiej i zasnęłam. Czy myślisz, że ten sen był prawdziwy?

Zmieszana powiedziałam:

- Nie wiem, co masz na myśli. Wszystkie sny są prawdziwe, kiedy się je śni.

- Dziadek Biegnący Lis powiedział Soso i mnie, że czasem sny są prawdziwe i ten rodzaj snów stanowi ostrzeżenie, które powinniśmy traktować poważnie. Ale nie wyjaśnił, jak je odróżnić od innych.

Powiedział, że tego musimy nauczyć się same.

Podczas gdy próbowałam małą uspokoić, postaci z tego snu - kojot, myszołów i wąż - złowieszczo majaczyły mi w głowie.

- Widzisz, Tibbie, niektórzy ludzie, na przykład Biegnący Lis, wierzą w znaki. My...

- Jak wtedy, kiedy Luis powiedział, że to zły omen, kiedy piorun powalił sosnę?

Urwałam nie wiedząc, co powiedzieć dalej. Nie byłam już pewna moich przekonań. Gdzieś w głębi serca miałam ochotę natychmiast chwycić Tibbie, wskoczyć do samochodu i jeszcze w tej minucie odjechać z Naranady, byle dalej od znaków, przesądów i Mount Sangre.

Oczywiście, nie zrobiłam tego. Zawsze byłam dumna z mojego niezachwianego racjonalizmu, a racjoniści zachowują się w przemyślany sposób. Zapowiedziałam, że wyjedziemy jutro, i tak będzie. Jednocześnie dobrze zdawałam sobie sprawę z tego, że to, co zdarzyło się w Szkarłatnym Kamieniu po naszym przyjeździe, przekracza moje zdolności racjonalnego pojmowania.

Zrozumiawszy, że nie wiem, co odpowiedzieć, postanowiłam zagrać na zwłokę.

- Wiesz, zapytałaś o bardzo ważną sprawę. Muszę to jeszcze przemyśleć. Parę dni, może nawet dłużej.

- W porządku. Zresztą już czas iść na przyjęcie. Rzadko bywałam w mniej wyjściowym nastroju, ale skinęłam głową. Przyjęcie u Trávisa

było równie dobrym sposobem pożegnania Naranady, jak każdy inny. Rano Tibbie i ja będziemy z dala od złych znaków i złowrogich przepowiedni.

Przeszłością stanie się też problem Luisa. Wiedziałam, że wybieram najlepsze rozwiązanie. Co nie znaczyło, że nie wyczekiwałam spotkania z Luisem na przyjęciu.

Pojechałyśmy do Traviśa dłuższą drogą, żeby oszczędzić resory. Gdy zaparkowałam, ze zdziwieniem stwierdziłam brak innych samochodów. Musiałyśmy zjawić się pierwsze, bo Travis zapraszał na wpół do dziewiątej, a była już prawie dziewiąta.

Powitał nas w progu.

- Już zaczynałem się obawiać, że nie przyjedziecie - powiedział i poprowadził nas do środka domu. - Ależ uroczo wyglądasz, Tibbie. - Ujął jej dłoń i przytknął do niej usta. Tibbie zachichotała.

- Z każdym rokiem jesteś piękniejsza, Val - stwierdził pochylając się, żeby mnie pocałować. Pocałunek był jednak tak przelotny, że prawie nie poczułam muśnięcia jego warg. Zupełnie jakby nagle coś odrzuciło go do tyłu.

Spojrzałam na niego i zorientowałam się, że nieprzytomnie wlepiła we mnie wzrok. Machinalnie przeczesalam dłonią włosy.

- Czy mam plamę na nosie?

- Nie, po prostu podziwiam twoje kolczyki. Nowe, prawda?

- Po babce Faith.

Przekrzywił głowę, nadal mi się przypatrując.

- Kolczyki bardzo mi się podobają, ale wątpię, czy kocie oczko jest twoim kamieniem.

- Astrologicznie nie, jeśli o to ci chodzi. Ale wiesz, że nie przejmuję się takimi sprawami.

- Myślałem raczej o tym, że do twoich zielonych oczu kapitalnie pasowałyby szmaragdy.

- Mamo, czy będę mogła wziąć te kolczyki z kocimi oczkami, jeśli dostaniesz szmaragdowe? - spytała Tibbie.

- Jeśli - odpowiedziałam nieuważnie i poczułam niepokój, jakby zdarzyło się coś ważnego, czego znaczenie przegapiłam.

- Gdzie są goście? - spytałam, gdy wprowadził nas do pokoju

stanowiącego połączenie jadalni z salonem. Boazeria i wygodne meble tworzyły przyjemny nastrój. Muzyka w tle była tak subtelna, że praktycznie niezauważalna.

Uśmiechnął się smutno.

- Obawiam się, że wybrałem zły wieczór na to przyjęcie. Wszyscy moi znajomi są albo w górach, albo nad morzem. - Rzucił okiem na zegarek. - Luis może się zjawić w każdej chwili. Kiedy dojedzie, będziemy we czworo. Niezbyt liczne towarzystwo, ale takie kameralne spotkanie jest często miłsze niż przepychanie się w hałaśliwym tłoku. Nie sądzisz?

- Nie zaprzeczę. - Usiadłam na jednym z krzeseł wybitych złocistym aksamitem, a Tibbie oparła mi się o kolana.

- Zamierzałem ściągnąć trochę młodzieży, żeby Tibbie mogła zawrzeć nowe znajomości, ale wszyscy powyjeżdżali z rodzicami.

- Nie ma sprawy - powiedziała.

- Wiem, że lubisz jeździć konno - ciągnął Travis - więc przypomniałem sobie, że mam taką starą grę w wyścigi konne. Bawiłem się nią jako dziecko, a jeszcze przedtem mój ojciec. Zrobiono ją na długo przed tym, jak powstały te wszystkie elektroniczne cuda. Tam ją rozstawiłem. - Skinieniem przyzwał Tibbie do stolika znajdującego się w kącie pokoju, i zaczął ją wprowadzać w arkana gry.

Dziwnie zaniepokojona, wstałam i podeszłam do wielkiego okna pragnąc, żeby Luis się pospieszył i wreszcie tu dotarł. Błyskawica przecięła nocne niebo, była jednak o wiele za daleko, by doleciał również grzmot.

- Otworzę szampana - powiedział Travis za moimi plecami.

- Ja dziękuję - powiedziałam, odwracając się twarzą do niego. - Nie piję, kiedy prowadzę.

Uśmiechnął się.

- To nie kłopot, kawa gotowa. Ostatnio testuję mokkę.

- Wobec tego proszę kawę.

Travis wyszedł z pokoju i niemal natychmiast wrócił, tocząc przed sobą wózek ze szklanym blatem, na którym stała nie tylko kawa, lecz i kusząco wyglądający zestaw ciasteczek oraz biszkopcików.

- W dzbanku jest poncz owocowy dla Tibbie - powiedział.

Nie miałam serca mu mówić, że Tibbie nie przepada za tym napojem.

Ponieważ obsługiwał mnie osobiście, doszłam do wniosku, że jego gospodyni ma dziś wolny wieczór, co oznaczało, że jesteśmy w domu tylko we troje. Nie wiedziałam, dlaczego, ale wzbudziło to we mnie zdenerwowanie.

Z kąta pokoju, w którym Tibbie zajmowała się grą, dobiegały trzaski i brzęki. Travis podszedł do niej ze szklanką ponczu i talerzykiem ciasteczek. Nieważne, że Tibbie prawdopodobnie nie tknie ponczu, gospodarz i tak zachowywał się nienagannie. Dojrzał z wiekiem. Nie mogłam sobie wyobrazić dziewiętnastoletniego Trávisa osobiście częstującego kogokolwiek. Siedziałyby i czekał, aż sam zostanie obsłużony.

Usadowił się na krześle obok mnie i uniósł filiżankę kawy.

- Za twoje urodziny, Val. Żebyśmy następne też spędzili razem.

- Dziękuję, ale nie wiem, czy to będzie możliwe - powiedziałam prawie pewna, że to wykluczone. Z uprzejmości upiłam jednak kawy. Aromat mokki, bo tak chyba nazwał ten gatunek Travis, okazał się zaprawiony dość silną goryczą, więc dosypałam cukru.

- Pamiętasz, jak wybraliśmy się całą paczką do Kings Canyon? - spytał.

Skinęłam głową z uśmiechem. Miałam wtedy szesnaście lat. Corenna, Pat, Ron, Dutch i ja załadowaliśmy się na furgon Yorków, Travis usiadł za kierownicą i pojechaliśmy na piknik do parku narodowego Kings Canyon. Świetnie się tam bawiliśmy.

- Pani Faith mało nie wyszła z siebie, kiedy odwiozłem cię do domu po zmroku - powiedział. - Chyba nigdy nie uwierzyła, że w powrotnej drodze złapaliśmy dwie gумы.

- No, była prawie północ. Mówiłam ci przecież, żebyś wysadził mnie pierwszą, ale nie, zostawiłeś mnie na koniec, musiałeś najpierw rozwiązać resztę.

- Pozbyć się reszty... Jakież jest inny sposób na pobyty ze swoją ulubioną dziewczyną?

Uśmiechnęłam się do niego.

- Zawsze lubiłeś spiskować, Travis.

- Kto, ja? Nigdy! Bóg jeden wie, jak zazdrościłem Luisowi tej pracy



w ogrodzie przy Szkarłatnym Kamieniu. Mógł być sam na sam z tobą, gdy tylko wyszłaś na dwór.

- Chyba że akurat przyglądała się temu moja babka, a zwykle była na posterunku.

Luis nigdy nie należał do paczki Trávisa. Jako nastolatka miewałam okazję zamienić z nim kilka słów tylko wtedy, gdy pracował w ogrodzie.

Tymczasem Travis dalej snuł wspomnienia z letnich miesięcy, które spędzałam kiedyś w Naranadzie, stopniowo jednak nabierałam wrażenia, że myślami jest gdzie indziej i tylko na coś czeka.

Ale oczywiście dotyczyło to również mnie. Oboje prawdopodobnie czekaliśmy na tę samą osobę: na Luisa.

Travis dolał mi kawy, chociaż wypiałam niewiele więcej niż pół filiżanki.

- Może wybrałam jednak niewłaściwy gatunek - powiedział. - Jeśli ci nie smakuje, to...

- Nie, nie, w porządku - zapewniłam go i chcąc dowieść prawdziwości tych słów upiłam kilka łyków, na które nie miałam najmniejszej ochoty.

Travis wstał.

- Przepraszam cię na chwilę.

Gdy wyszedł z pokoju, sprawdziłam, która godzina. Zbliżała się dziesiąta. Gdzie jest Luis? Wiedziałam, że naprawdę nie mogę już dłużej siedzieć u Trávisa, ale bardzo nie chciałam minąć się z Luisem.

Travis wrócił, trzymając coś w zamkniętej dłoni. Ukląkł obok mojego krzesła, wyciągnął do mnie rękę i rozprostował palce, a ja w zaskoczeniu ujrzałam puzderko okryte purpurowym aksamitem.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - powiedział cicho.

Wolno otworzyłam pudełeczko nie wiedząc, czego się spodziewać. Zamrugały do mnie dwa zielone kamienie. Szmaragdy? Po tym, co Travis powiedział, było to prawie pewne.

- Śliczne są te kolczyki - powiedziałam zgodnie z prawdą. - Ale widzisz, Travis...

- Zrób mi przyjemność - błagał. - Przymierz.

- Chyba nie mogę...

- Zrobić mi przyjemności?

Zamierzałam wprawdzie nadal bronić się przed przyjęciem tak kosztownego podarku, ale odmowa przymierzenia wydawała mi się nieuprzejmością.

Niechętnie zdjęłam kolczyki z kocimi oczkami i położyłam je na stole, a potem włożyłam szmaragdy. Poczułam na uszach chłód.

- Znakomicie - wymruczał Travis.

Jakoś nie miałam ochoty zobaczyć, jak się w nich prezentuję, więc nie kusiło mnie, by poszukać lustra. Uniosłam rękę do ucha, chcąc z powrotem zdjąć szmaragdy, ale Travis mnie przytrzymał.

- Będę głęboko rozczarowany, jeśli przed odjazdem przynajmniej nie obejrysz tego, co masz w uszach.

Mimo że nie lubiłam takiego nacisku, jak mogłam odmówić? Rozmyślałam właśnie nad taktownym wyjściem z sytuacji, kiedy podeszła do nas Tibbie z nienaturalnie pobladłą twarzą. Natychmiast zapomniałam o wszystkim innym. Zanim zdążyłam ją spytać, czy nic jej nie jest, odezwała się sama.

- Przepraszam, panie York, gdzie jest łazienka?

Wstał i zaczął jej tłumaczyć, a ja odprężyłam się, bo pojęłam, że to nie atak, lecz zapewne tylko zakłopotanie spowodowało dość dziwny wygląd Tibbie. Zresztą może coś mi się porobiło z oczami, ponieważ twarz Trávisa też wydawała mi się lekko rozmazana, zupełnie jakbym zapadała w sen. Byłoby fatalnie, gdybym zasnęła na tym krześle. Niezgrabnie wymacałam filiżankę i wypiałam jeszcze duży łyk kawy.

Może powinniśmy już jechać, póki senność nie ogarnie mnie na dobre. Tibbie była w łazience, musiałam doczekać do jej przyjścia i wtedy dać hasło do powrotu. Nie chcąc zapomnieć o kolczykach z kocimi oczkami, spojrzałam na stół, ale tam ich nie zobaczyłam. Gdzie się podziały? Spróbowałam wstać z krzesła i ku swemu przerażeniu stwierdziłam, że mam dziwnie miękkie nogi.

Travis utwierdził mnie w niepokoju pytając:

- Czy coś się stało? - Czy rzeczywiście w jego głosie oprócz troski usłyszałam nutę triumfu?

Próbowałam skupić wzrok na jego twarzy. W zamroczeniu pomyślałam, że nie powinien się uśmiechać, powinien być zaniepokojony moim zachowaniem. Ja zdecydowanie byłam

niespokojna.

- Luis! - krzyknęłam. - Gdzie jest Luis?

Głos Trávisa dobiegł mnie jakby z bardzo daleka.

- Nie ma go tutaj, Val, i nie będzie. Wysłałem poczciwego i sumiennego Luisa na daleki spacer wśród wzgórz. Będzie tam szukał ciężko chorego człowieka, którego naturalnie nie znajdzie.

- Ale... - Chciałam powiedzieć, że potrzebuję Luisa tutaj, teraz. Głos mnie jednak zawiódł. Kurczowo chwyciłam się Trávisa, żeby nie upaść, bo pokój z nienacka zawirował.

W ostatnim świadomym przebłysku, zanim zamknęła się nade mną kompletna ciemność, pomyślałam, że zostałam nafaszerowana jakimś narkotykiem.

---

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

---

Znalazłam się w złowrogiej ciemności, z poczuciem wiszącej nade mną niewidzialnej groźby, niepewna gdzie jestem i tak skołowana, że nie zdawałam sobie nawet sprawy z tego, czy stoję, czy leżę plackiem. Bałam się o siebie, ale jeszcze bardziej o Tibbie. Gdzie ona jest? Muszę ją znaleźć, zanim... Zanim co? Wiedziałam, że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, nie mogłam sobie jednak przypomnieć, dlaczego.

Próbowałam zawołać ją po imieniu, tymczasem, jak w najgorszym koszmarze, nie mogłam wydobyć z siebie dźwięku. Ani się poruszyć. Chciałam wierzyć, że śnię, ale coś podszeptywało mi, że jest inaczej.

Tylko raz w życiu widziałam tak absolutną, nieprzeniknioną ciemność. Lata temu, na Mount Sangre. Wzdrygnęłam się na to wspomnienie. Ale przecież nie jestem na Mount Sangre, jestem... gdzie? Nagle ukazała się smuga wirującego światła, rozszerzająca się w tunel. Zobaczyłam biegnącego w moją stronę lisa. Na końcu tunelu lis się zatrzymał i wlepił we mnie lśniące, przenikliwe ślepie.

- Mówiłem, żebyś nigdy nie przyjmowała niczego ofiarowywanego ci we śnie - powiedział. - Ostrzegałem, że nic dobrego z tego nie wyniknie. - Podczas gdy lis mówił, pysk mu się skrócił i zamienił w pomarszczoną twarz starego człowieka. Potem światło, lis, człowiek i tunel zniknęły.

Czyżbym wzięła coś ofiarowanego mi we śnie? Miałam wrażenie, że pamiętam zielony ogień szmaragdów, ale nie ze snu. Travis dał mi szmaragdowe kolczyki na urodziny. W prezencie. Strzeż się Greków niosących dary. Czy Travis kiedyś tak nie powiedział? Nie przyjął tych kolczyków. Nie chciałam kosztownych podarunków od Trávisa. Ale poprosił mnie, bym je włożyła, i usłuchałam. Czy nadal miałam je w uszach? Spróbowałam unieść rękę, ale bez powodzenia.

Czyżby to Travis niósł dary, których miałam się strzec? Jeśli tak, to po co mnie ostrzegał? Ostrzec mnie i śmiać się, czy to miał być żart? W

tej straszliwej ciemności nic nie miało sensu.

Bez żadnej zapowiedzi usłyszałam głos ciotecznej babki:

- Dałam ci we śnie cztery piórka - powiedziała. - Ale ty nie skorzystałaś z mojego ostrzeżenia. A teraz są już twoje urodziny, teraz jest za późno.

Moje urodziny? Ile mam lat? Nie mogłam sobie przypomnieć. Nie osiemnaście, to wiedziałam na pewno, bo w osiemnaste urodziny przeżyłam tę okropną noc na Mount Sangre. Wiele lat temu. Ile lat? Tymczasem umarła Willa, ale nie jej córka. Nie Tibbie. Tibbie była moja, musiałam dać jej miłość i zapewnić bezpieczeństwo. Ale jak mogłam zapewnić jej bezpieczeństwo, skoro wpadłam w sidła tej ciemności i nie wiedziałam, gdzie jestem?

Luis. Gdyby tylko przyszedł Luis. Pomógłby mi, to wiedziałam.

Luis poszedł na daleki spacer wśród wzgórz. Kto wypowiedział przy mnie te słowa? Nie było tutaj Luisa, żeby mi pomógł. Zostałam-sama. Nie było nikogo, kto uratowałby mnie z tej ciemności, gdzie porzucono mnie, żebym szczała, nie mogąc się poruszyć ani odezwać, nie mogąc chronić siebie, a tym bardziej Tibbie.

Znów pojawił się pysk lisa, raz po raz przyjmujący kształt głowy starego człowieka.

- Strzeż się złodzieja, w którego głowie jest ciemność - usłyszałam - bo przychodząc niesie krew, ciemność i śmierć.

Patrzyłam, jak twarz lisa-człowieka znika, wiedziałam, że już słyszałam to ostrzeżenie, ale nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie i kiedy. Czy już znajdowałam się w ciemności przyniesionej przez złodzieja? Kim był ten złodziej?

- Zaprowadziłam cię do tych kolczyków z kocimi oczkami, żeby cię uchronić - szepnęła mi do ucha cioteczna babka. - Z głupoty je zdjęłaś. Pozbawiłaś się ochrony. Teraz nie mogę ci już pomóc.

Wbrew sobie zdjęłam kocie oczka. By zastąpić je szmaragdami, których nie chciałam. Dlaczego Travis poprosił mnie o włożenie szmaragdów? Gdybym tylko mogła zrozumieć, co się dzieje i gdzie jest Tibbie...

Doleciały mnie inne wątle głosy, to cichnące, to nieco głośniejsze, jakby wysyłała je odległa stacja radiowa.

Kim jesteście? - próbowałam wołać. Pomóżcie mi, proszę! Czułam, jak wargi układają mi się w słowa, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. W głowie miałam absolutny mętlik, nie mogłam doprowadzić żadnej myśli do sensownego wniosku. Zamiast tego strzępki pomysłów, wspomnień, prób rozumowania bezładnie przemykały mi przez głowę, jak wodne owady po stawie. Nie wynikało z tego nic.

Ogarnęła mnie panika. Usiłowałam przezwyciężyć niesamowity lęk. Jeśli kiedykolwiek miałam odszukać drogę wyjścia z tej ciemności i znaleźć Tibbie, musiałam uporządkować myśli, począwszy od odpowiedzi na pytanie, gdzie jestem. Ale było to bardzo złożone pytanie.

Przede wszystkim nie wiedziałam, czy siedzę, czy leżę. Skupiłam się na swoim ciele. Mimo że nie mogłam się poruszyć, czułam twarde podłoże zarówno pod stopami, jak i pod plecami, ale nacisk był nierówny. Uznałam, że raczej siedzę, niż leżę. Siedzę na krześle?

Jeśli tak, to krzesło jest wyjątkowo twarde. A nogi mam raczej wyciągnięte, niż zgięte w kolanach. Z wielkim wysiłkiem zdołałam poruszyć prawą dłońią. Ześliznęła mi się z kolana... na co? Palce powiedziały mi, że pod dłońią mam błoto. Musiałam być na dworze i siedzieć na ziemi.

Przeleciało mi przez myśl, że przedtem byłam na przyjęciu. Z okazji moich urodzin. W niedzielę wieczorem. W domu Travisa. Tibbie była ze mną. Gdzie podziewa się teraz? Dlaczego jestem na dworze?

Ostrożnie, ostrzegłam się w myśli. Trzymaj się pierwszego pytania, nie zadawaj następnych. Jeszcze nie. Wiedziałam, że jestem na dworze. Teraz należało określić, gdzie.

Plecy opierały mi się o coś nierównego, niewygodnego i twardego jak skała. Skała! Zaparło mi

dech ze strachu, wstrząsnęło mną koszmarnie przypuszczenie. Skała na szczycie Mount Sangre. Nagle z przerażeniem dokładnie uświadomiłam sobie, gdzie jestem.

Wielkim wysiłkiem zwalczyłam trwogę. Panika nic mi nie da, a co ważniejsze, nie pomoże Tibbie.

Skupiłam się na tym, co jeszcze mogę wyczuć, i odkryłam w czerni pulsowanie zamglonego światła. Czy oczy mam otwarte, czy zamknięte? Nie byłam pewna, ale ponieważ otaczała mnie ciemność, przyjąłam, że

zamknięte. Jeśli byłam w stanie poruszyć dłonią, to z pewnością mogłam także podnieść powieki.

Udało się. Wokół nadal było ciemno, ale absolutną ciemność zastąpił nieco rzadszy mrok nocy. W świetle błyskawicy na niebie zobaczyłam, że siedzę na ziemi, oparta o skałę, dokładnie tak, jak przypuszczałam. Odczułam gigantyczną ulgę, widząc Tibbie siedzącą w kucki po mojej lewej stronie. Dzięki Bogu, była cała i zdrowa. Próbowałam wypowiedzieć jej imię, ale udało mi się jedynie coś wybełkotać.

- Mamo? - szepnęła.

Bardzo chciałam ją pocieszyć, dotknąć, ale nie mogłam się ruszyć.

- Zbudziłaś się, Vał? - spytał Travis za moimi plecami i pojęłam, że musi stać na skale. Zszedł z niej i znalazł się przede mną. - O tak, dobrze. Chciałem, żebyś wyraźnie zdawała sobie sprawę z tego, co tu będzie się działo. Zaslugujesz na to, żeby pocierpieć, bo to wszystko twoja wina.

Moja wina? O czym on, na miłość Boską, mówi? Znowu zawirowała mi w głowie karuzela różnych wrażeń... Przyjęcie u Trávisa, Tibbie wychodzi z pokoju, opada mnie zamroczenie, uświadamiam sobie, że dostałam jakiś narkotyk...

Narkotyk! Nic dziwnego, że jestem taka bezradna. Ale działanie środka musiało słabnąć, bo inaczej bym się nie zbudziła.

- Długo na to czekałem - powiedział Travis. - Dziesięć lat. Wszystko to nie byłoby konieczne, gdybyś, zgodnie z moim życzeniem, doceniła mojego Romea i zagrała Julię.

Znowu międlili tę starą śpiewkę. Owszem, w młodych latach lubiłam jego towarzystwo, ale nigdy nie zamierzałam stać się jego Julią.

- Gdybyś zagrała swoją rolę - ciągnął, oświetlony na chwilę zygzakiem błyskawicy - byłibyśmy razem, tak jak nam pisał los, ale ślepotą nie pozwoliła ci dostrzec tego, co wyraźnie ci zasugerowałem. Jakoś nie rozumiałaś, że tak musi być i że nigdy się nie poddam. Kiedy przeczytałem tę starą książkę, którą znalazłaś w bibliotece babki przed dziesięcioma laty, sądziłem, że znalazłem rozwiązanie, sposób połączenia nas na zawsze. Twój upór zmusił mnie do posłużenia się zaklęciem. I mogłoby poskutkować, gdyby nie przeszkodziła Willa.

Słuchałam go z rosnącym przerażeniem. Od dłuższej chwili zdawałam

sobie sprawę z tego, że wprowadził mnie i Tibbie na szczyt Mount Sangre w jakimś okropnym celu, ale dotąd nie uświadamiałam sobie, jak bardzo owładnęła nim obsesja Romea i Julii.

Travis przyklęknął przede mną na jedno kolano, w makabrycznej parodii gestu mężczyzny proponującego małżeństwo. Błyskawica nadała jego skórze niesamowity odcień zieleni, a twarzy złowróżbny wyraz. Travis pomachał mi czymś przed oczami. Głośno zaczerpnęłam powietrza, gdy rozpoznałam medalion z sową.

- To ty! - zacharczałam, w końcu wydobywszy z siebie głos. - Ty jesteś złodziejem!

- Medalion należał mi się sprawiedliwie -oświadczył. - Ale zgubiłem go dziesięć lat temu i pani Faith znalazła go przede mną, po czym schowała do skrytki. Ktoś inny na moim miejscu poddałby się, ale nie ja. Szukałem go przez te wszystkie lata, przeszukiwałem Szkarłatny Kamień, kiedy wszyscy spali. Ta zasuwka okna w bibliotece była obluzowana od bardzo, bardzo dawna,

Travis był włamywaczem. Tylko udawał, że pełnił straż i ścigał rabusia.

- Dlaczego? - spytałam.

- Och, Val, ciężko myślisz. Oczywiście dlatego, że potrzebowałem medalionu do uwolnienia mocy.

Przeszył mnie dreszcz. Luis i Biegnący Lis też mówili o mocy ukrytej w skale, o którą się opierałam. Złej mocy.

- Do uwolnienia zła - ostrzegłam. - W skale jest zła moc.

Błyskawica oświetliła jego uśmiech politowania,

- Zrozumiesz, co to jest, kiedy zdobędę władzę nad tą mocą. - Pieszczotliwie pogładził medalion. - W końcu szczęście się do mnie uśmiechnęło. Twoją babkę zawiódł umysł, popsuła jej się pamięć i sama zaczęła szukać medalionu, bo nie wiedziała, gdzie go podziała. Obserwując ją noc po nocy zorientowałem się, że biblioteka jest jedynym miejscem, gdzie może być schowek. Właśnie przetrząsałem wszystkie kąty, kiedy pani Faith weszła i mnie nakryła. Na szczęście jej serce nie wytrzymało tego szoku.

Na szczęście? Jak mógł być taki gruboskórny?

- Zabiłeś ją - rzuciłam oskarżająco.



- Oszczędź mi dramatycznych scen... I tak za długo żyła. Ale po jej śmierci nadal brakowało mi poszlak, żeby odkryć, gdzie mogła wepchnąć ten medalion. Tak było aż do twojego przyjazdu. Póki nie usłyszałem Tibbie mówiącej, że jej kotek boi się wejść do biblioteki z powodu sowy. Początkowo pomyślałem, że to ty znalazłaś medalion. Ostrożne wypytywanie przekonało mnie jednak, że nie, więc powziąłem plan, jak można wykorzystać kota. Chodziłem po bibliotece trzymając go. Kiedy podszedłem do gryfów, dosłownie oszalał. Próbując się uwolnić, przegryzł mi palec do kości. Po zabraniu medalionu zamknąłem tę przeklętą bestyjkę w skrytce, w nadziei, że udusi się za swe przewiny.

Na dźwięk przytłumionego jęku Tibbie zdołałam unieść ramię i otoczyć nim jej plecy dla dodania otuchy. Gdybym odzyskała siły, mogłybyśmy zaryzykować ucieczkę przed Travisem. Mówił straszne rzeczy, ale rozumiałam, że dopóki gada, a nic nie robi, mam jeszcze szansę otrzeźwieć wystarczająco, żeby pomóc uciec córce.

- Straszysz Tibbie - powiedziałam. - Proszę, puść ją.

- Jest córką Willi. Potrzebuję jej.

- Po co? Przecież to tylko dziecko.

- Przypomnij sobie, co zaszło dziesięć lat temu, kiedy ty, Luis, Willa i ja staliśmy wokół tej skały. Z magicznej księgi nauczyłem się na pamięć zaklęcia, które łączy, bo chciałem na zawsze połączyć ciebie ze mną. Wtedy nic nie wiedziałem o magii. Do diabła, nie byłem nawet pewien, czy zaklęcie podziała. Urządziłem ceremonię na Mount Sangre tylko dlatego, że ma krwawe dzieje. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co jest uwięzione w tej skale.

- Zło - wyszeptałam.

- Moc - poprawił mnie. - Starannie wypełniłem instrukcje. Intonując zaklęcie, rozlałem wokół medalionu kocią krew. Czułem rosnące napięcie, wreszcie ciemność nad nami zamknęła się i nastąpiła straszliwa eksplozja, kiedy moc trysnęła ze skały. Gdyby nie ten cholerny pierścionek z kocim oczkiem, który miała Willa, moc weszłaby we mnie, tego, który ją przyzwał.

- Mamo - szepnęła Tibbie.

Nie odpowiedziałam, nie chcąc kierować na nią uwagi Trávisa. W ciszy modliłam się, żeby znaleźć sposób ucieczki dla małej.

- Dlatego musiałem cię namówić do zdjęcia tych kolczyków z kocimi oczkami - mówił dalej. - Udałem więc, że szmaragdy mojej babki mają być urodzinowym prezentem dla ciebie. Będą, ale kiedy się pobierzemy. Kocie oczko przyciąga moc, ale także powstrzymuje jej przepływ. Pierścionek sprawił, że moc weszła w Willę, ale następnie kocie oczko odesłało większą jej część z powrotem do skały. Jakaś jej część się uwolniła i weszła we mnie. Od tej pory dogłębnie studiuje magię i wiem już, że gdyby wtedy cała moc trafiła do mnie bez pośrednictwa Willi, to padłbym trupem na miejscu. W pewnym sensie Willa ocaliła mi życie.

- Omal przy tym sama nie umarła - powiedziała gniewnie. - Zresztą myślę, że właśnie to przeżycie w końcu ją zabiło, j. Wzruszył ramionami.

- Willa nie była dość silna, żeby panować choćby nad drobną częścią mocy, którą zatrzymała. Sądzę jednak, że ta moc do pewnego stopnia przeszła na mającą się urodzić Tibbie. Ja też mogłem wnieść w to swój wkład.

Byłam tak roztrzęsiona, że omal nie przegapiłam znaczenia jego ostatnich słów. Wniósł wkład? Tylko wtedy, gdyby to on zgwałcił Willę.

Wpatrywałam się w niego w świetle błyskawic, rozcinających teraz niebo prawie bezustannie, więc Travis musiał dostrzec trwogę i zrozumienie, wypisane na mojej twarzy.

- Nie mogłem się powstrzymać. Kierowała mną moc, którą przyjąłem w siebie - powiedział. - Ale chodziło mi o ciebie, nie o Willę. Nie mogłem cię jednak znaleźć, więc nie miałem wyboru.

Wściekłość, zmieszana z przerażeniem, odebrała mi mowę. Pojęłam, że nigdy nie znałam prawdziwego Travisa. Widziałam tylko powierzchowny urok, chłopięcą radość, jaką okazywał światu, lśniąca fasadę, a nie ohydne wnętrze. Modliłam się, żeby Tibbie nie doszukała się żadnego sensu w jego gadaninie, żeby nie pojęła tego, co przed nami odsłaniał.

- Na pewno nie chciałbyś, żeby Tibbie stała się jakakolwiek krzywdą - powiedziała z nadzieją, że skoro przyznał się do ojcostwa, to może wobec córki żywi jakieś ludzkie uczucia. - Zaraz nadejdzie burza. Gdybyś pozwolił jej teraz iść, to może...

- Wcale nie nadchodzi burza - powiedział Travis. - Moc czuje moją obecność, wyczuwa okazję do oswobodzenia się i to ona przyciąga błyskawice.

Tibbie jest mi nieodzownie potrzebna. Będzie pośredniczką, podobnie jak Willa.

- Ależ to tylko dziecko! - wykrzyknęłam. - Może stać się jej krzywda. Przypomnij sobie, co było z Willą.

- Chcę wyzwolić tę moc - powiedział. - Całą moc. Tibbie przekaże ją mnie. Nie ma najmniejszego znaczenia, czy uda jej się to przeżyć.

Potwór! Jaki ojciec skazałby na śmierć własną córkę? Musi być szalony. Wprawdzie odzyskałam dotąd tylko niewielką część swojej normalnej sprawności, ale Tibbie musi uciec, zanim Travis rozpocznie ten potworny obrządek, bo inaczej, będzie zgubiona. Wstać jeszcze nie byłam w stanie... co więc mogłam zrobić, żeby ją ocalić?

W ramionach i dłoniach miałam więcej siły niż w nogach, toteż wpadło mi do głowy jedynie, żeby uczepić się go i trzymać, póki zdołam i dać tym sposobem Tibbie szansę, aby zbiegła na dół. Gotowa rzucić się w jego stronę, ułożyłam usta do krzyku: „Uciekaj, Tibbie!”.

Zanim zdążyłam wydobyć z siebie te słowa, Tra-vis zerwał się, chwycił Tibbie za ramię i przyciągnął do siebie.

- Dość czasu zmarnowałem - powiedział i ruszył wokół skały. Czyniłam gorączkowe wysiłki, by nie stracić Tibbie z oczu, próbowałam się podnieść, ale mięśnie wciąż miałam zwiotczałe i tylko zgięło mnie w pół. Zaczęłam się wyginać i skręcać, wreszcie zdołałam się obrócić. Byłam teraz na kolanach, twarzą do skały, a dłonie zaciskałam na krawędzi głazu, żeby nie upaść.

Travis stał naprzeciwko mnie, po drugiej stronie skały, ramieniem przytrzymując przed sobą Tibbie, i której jedna dłoń była zwinięta w pięstkę. Przy następnej błyskawicy wydało mi się, że między jej palcami coś załśniło.

- Kiedy już zdobędę władzę nad tą mocą, nie pożałujesz - powiedział do mnie Travis. - Doznasz pod jej wpływem niebywalej radości, że możesz być moją Julią. Będziesz robić wszystko, co ci powiem, i oboje zaznamy szczęścia. Ty i ja będziemy razem, Yorkowie i Rollandowie pojednani, ich majątki połączone w jeden, a Mount Sangre będzie moje

na zawsze.

Travis był szalony. Zwariował. Skuliłam się widząc, jak podnosi medalion ku rozświetlonemu błyskawicami niebu i intonuje zaklęcie. Imiona nie z tego świata złowrogo unosiły się w powietrzu, odebrało mi dech, musiałam walczyć o każdy haust powietrza.

Śpiewnie deklamując zaklęcie, Travis przez cały czas trzymał Tibbie przed sobą. Umieścił medalion na skale i sięgnąwszy do kieszeni, położył coś obok niego. Dopiero gdy usłyszałam słabe piśnienie, rozpoznałam w tym czymś małą zielonożółtą papużkę jego matki. Usłyszałam trzask otwieranego noża. Jednym szybkim ruchem Travis uciął ptakowi głowę. Chwycił wijące się w drgawkach ciało i papuzią krwią narysował okrąg wokół medalionu.

Pokonana napadem mdłości i lękiem o Tibbie, przyłożyłam twarz do skały. Nie mogłam dłużej na to patrzeć. Travis pomyślał o wszystkim. Fałszywym wezwaniem pozbył się Luisa, żeby nie miał nas kto ratować, mnie oszołomił narkotykiem i teraz byłam za słaba, żeby się opierać czy nawet stanąć na nogi, a Tibbie to przecież tylko dziecko, do tego śmiertelnie przerażone. Rozpacзлиwa sytuacja, bez szans na ucieczkę.

Słyszając pomruk grzmotu, uniosłam głowę. Dziwne błyski rozjaśniały niebo od dłuższego czasu, ale zagrzmiało pierwszy raz. Czy to możliwe, że Travis omylił się co do burzy? Wszystko jedno, i tak nie potrafiłam wymyślić, w jaki sposób burza mogłaby nam pomóc.

Wbiłam palce w głąz z taką desperacją, że poczułam, jak odłupał się od niego mały odłamek o ostrych, poszczerbionych krawędziach, nie większy od limonki. Może da się wykorzystać jako broń? Dobrze rzucam piłką, więc przy odrobinie szczęścia mogłam trafić. Tyle że narkotyk bardzo mnie osłabił... Czy byłam w stanie wykrzesać z siebie dość siły? I nawet gdybym rzuciła celnie, to czy można tym skutecznie razić?

W tej chwili ujrzałam to, czego podświadomie się lękałam: białe pióro sowy spływające na skałę. Wiedząc, że nie mam więcej czasu do namysłu, zacisnęłam dłoń na poszczerbionym odłamku, zamachnęłam się i cisnęłam nim w kierunku głowy Trávisa najsilniej jak mogłam.

Czas jakby się zatrzymał... Pióro zawisło w powietrzu, kamień leciał w stronę Trávisa i jeszcze nie dotarł do celu... Nabrałam w płuca

powietrza, by krzyknąć do Tibbie.

Samego uderzenia nie widziałam, ale Travis zatoczył się do tyłu i rozluźnił chwyt, którym trzymał małą. Wiedziałam, że trafiłam.

- Uciekaj, Tibbie! - wrzasnęłam.

Wyrwała mu się i pędem zaczęła oddalać się od skały. Przez chwilę myślałam, że zdąży zbiec na dół, Travis pozbiierał się jednak za szybko, zrobił kilka chwiejnych kroków i pobiegł za nią. Oboje zniknęli mi z oczu. Modliłam się, żeby zdołała uciec.

Gdy znów zobaczyłam Travisa, zawiedziona osunęłam się na skałę. Tibbie zwisała mu z ramienia, przerzucona przez nie jak worek z paszą dla bydła. Travis bez słowa stanął naprzeciwko mnie i zsunął Tibbie na ziemię, tak że znów znalazła się przed nim, twarzą do skały. Błyskawice strzelały zygzakami jedna za drugą, po każdej następował teraz głuchy grzmot. W świetle widziałam krwawą plamę na prawej skroni Travisa.

- Zariatnctmik, Etituamus, Almouzin... -zaintonował Travis, podejmując zaklęcie. Z opóźnieniem spostrzegłam, że białe pióro leży już w krwawym kręgu, na medalionie z sową, i ma dudkę umazaną na czerwono.

Gdy tylko Travis się odezwał, wisząca nad nami niewidzialna groźba, która nie ustąpiła nawet podczas przerwy w obrzędzie, dała o sobie znać ze zwielokrotnioną siłą. Ciemność rozlała się na wierzchołku Mount Sangre, czernią zamazując błyskawice. Przestałam cokolwiek widzieć. Ogarnęła mnie rozpacz. Obie, Tibbie i ja, byliśmy zgubione. Nawet gdyby teraz jakimś cudem zjawił się tu Luis, przybyłby za późno.

Zawodzenie Travisa zdawało się odbijać echem w ciemności. Otepiałym z trwogi umysłem starałam się zrozumieć, dlaczego echo brzmi jakoś inaczej. Nie wiem, ile czasu minęło, nim zorientowałam się, że słyszę dwa męskie głosy, monotonna recytujące różne słowa w dwóch różnych, nie znanych mi językach.

Coś musnęło mój policzek. Mimo woli wyciągnęłam rękę i chwyciłam w dłoń pióro. Czy sowie? Przerazona próbowałam je odrzucić, ale przyklepiło mi się do palców, jak posmarowane klejem. Skuliłam się na ziemi, usiłując pohamować nadchodzący atak hysterii.

Moje serce waliło tak głośno, że od jego pulsowania wibrowały mi kości. A może słyszałam tylko odgłosy burzy? Nie, łoskot grzmotu jest

nieregularny, a to coś pulsowało rytmicznie. Po chwili uświadomiłam sobie, że dociera do mnie nie łomotanie serca, lecz dźwięk bębna. •

Travis nie miał bębna. Gdzie wobec tego było źródło dźwięku? Czyżbym wyczuwała pulsowanie skały, z której zła moc wyrywa się na wolność? Nieważne. Bałam się, że cokolwiek słyszę, nie wyniknie z tego nic dobrego. Tibbie i ja byliśmy zgubione.

---

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

---

Bęben nadal rytmicznie dudnił, a ja kuliałam się w złowrogim mroku na szczycie Mount Sangre. Dziesięć lat temu nie słyszałam dźwięku bębna i nie było dwóch głosów, intonujących zaklęcia. Uniosłam głowę, nie z nadzieją, bo się jej już wyzbyłam, lecz by jak najgodniej przyjąć ten horror, który miał nadejść.

Ciemność rozdarło światło. Nie zuchwały błysk pioruna, lecz ciepły, złocisty blask. W jego wątej poświacie zobaczyłam, że pióro, które z taką odrazą trzymam, jest czarne, nie białe. Dobry omen? Gdybym tylko mogła w to uwierzyć! Czułam jednak złowieszcze drżenie głazu, w którym moc pęczniała, by wyrwać się, oswobodzić, bałam się więc, że na dobry omen jest za późno. I za późno na to, by można było powstrzymać przed wytryśnięciem odwieczną złą moc, zaklętą w skale.

Wyteżyłam wzrok w poszukiwaniu Tibbie. Dostrzegłam, że wciąż więzi ją ramię Tralisa. Nie widziałam ani bębna, ani dobosza, nie wiedziałam też, skąd dochodzą mnie gwizdy. Strzelił grzmot, który na chwilę zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Gdy przebrzmiały jego echa, bez żadnego wcześniejszego znaku, całkiem znienacka, jakby po prostu zmaterializowała się czerń nocy, na skałę wyskoczyła dziwna, rośla, pierzasta postać ni to człowieka, ni ptaka, rozłożyła wielkie skrzydła i rozpoczęła taniec. Zataczała spiralne kręgi, kopiąc medalion i depcząc krwawy okrąg oraz sowie pióro.

Travis wydał okrzyk wściekłości i odepchnął Tibbie na bok. Z nożem w dłoni jednym susem znalazł się na skałę, by stawić czoło tajemniczej postaci. Dokoła przelatowały zygzaki błyskawic, grzmoty uderzały niemal bez przerwy i odbijały się echem od okolicznych wzgórz. Lunął deszcz.

Chwiejnym ruchem próbowałam się podnieść i wtedy ktoś chwycił mnie za ręce i postawił na nogi. W tej samej chwili tuż obok usłyszałam głos Tibbie.

- Mamo! - Rzuciła się naprzód i przytuliła do mnie, a ten, kto przyszedł nam na pomoc, podtrzymywał nas.

W świetle błyskawicy natychmiast poznałam starą, pomarszczoną twarz. Wlepiłam wzrok w Biegnącego Lisa, który nie miał na sobie nic prócz przepaski na biodrach, lisiego łba, nasadzonego na czubek głowy, i bębna przewieszzonego przez ramię.

- Chodź - przynaglił, ciągnąc mnie za ramię. Rzuciłam ostatnie strwożone spojrzenie za siebie, ku walczącym na skale. Straszliwy ognisty piorun wstrząsnął szczytem wzgórza i nieprzenikniona ciemność spowiła skałę, kryjąc obie postaci.

Wspierając się na Biegnącym Lisie i otaczając drugim ramieniem Tibbie, chwiejnym krokiem oddalałam się od skały i tych, którzy na niej walczyli. Trvisa i... kogo? A może czego? To, co na moich oczach wskoczyło na skałę, nie było zwykłym człowiekiem w płaszczu z kruczych piór. Przeszył mnie dreszcz trwożnego podziwu.

*Kuksu!*

Musiałam wyszeptać to imię, gdyż Biegnący Lis powtórzył za mną.

- *Kuksu*. Przybył ocalić nas wszystkich.

U podnóża Mount Sangre, przemoczeni do suchej nitki, słaniając się na nogach, ukryliśmy się w szopie, której dach nieco chronił przed deszczem.

- Gdzie jest Luis? - sapnęłam osuwając się na ziemię, bo nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Tibbie uklękła przy mnie.

- Luis przyjdzie - powiedział Biegnący Lis, przysiadając w kucki naprzeciwko nas i kładąc dłoń na głowie Tibbie. - Dzielne masz serce - powiedział do niej. - Pomogłaś w walce amuletem, rzucając wyzwanie złu.

- Bałam się - odpowiedziała szcękając zębami.

- Świat jest przerażający - przyznał Biegnący Lis. - Nam, którzy na nim mieszkamy, pozostaje tylko starać się żyć odważnie.

Uściskałam Tibbie, która przywarła do mnie ze wszystkich sił.

- Kto zwycięży? - wyszeptałam.

- Człowiekowi użyczają mocy zło ukryte w skale - powiedział Biegnący Lis - ale *Kuksu* też jest potężny.

Czyżby chciał powiedzieć, że walka może się zakończyć i tak, i tak?



Pomyślałam o sośnie rozłupanej przez piorun oraz jej połówkach, odpadających od siebie. Luis nazwał to złym znakiem. Zadrżałam.

- Gdzie jest Luis, dziadku? - spytałam.

- Odpowiedział na fałszywe wezwanie. Przypomniałam sobie Trávisa, który chełpił się, że wysłał Luisa na daleki spacer po wzgórzach.

- Skąd wiedziałeś, że potrzebujemy pomocy?

- Wyczytałem to z piór. Dostałaś cztery pióra ostrzegające przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. W kryjówce znalazłaś cztery takie same. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego. Dwa razy po cztery pióra. Dwie całości, osiem piór. Dziś wieczorem Soso powiedziała mi, że masz dwudzieste ósme urodziny i znaczenie stało się dla mnie jasne. Śmierć czyha na ciebie dzisiejszego wieczoru. Kiedy pojąłem niebezpieczeństwo, dałem znać Luisowi.

- Ale jak mogłeś się z nim porozumieć, skoro nie miał w pobliżu telefonu?

- Luisa wiele ze mną łączy: krew, moc uzdrawiania, wiedza o tym, kiedy któryś z nas potrzebuje natychmiastowej pomocy. Telefon nie był potrzebny.

Próbowałam wyłowić z tego jakiś sens, a tymczasem odezwała się Tibbie.

- Pan York nie goni nas, prawda? Boję się go, to zły człowiek.

- Obejrzałem ciało Trávisa Yorka - powiedział od progu Luis, zaskakując Tibbie i mnie. - Travis York nigdy już nikogo nie będzie gonił, Tibbie. Nie żyje.

- A *Kuksu*? - spytał Biegnący Lis.

- *Kuksu* odszedł. - Luis przysiadł w kucki obok nas. - Czy możecie iść? - spytał.

- Mama nie może - odparła Tibbie. - W każdym razie nie za dobrze. Ja mogę.

- Będę prowadził dziecko - powiedział Biegnący Lis.

Nie tracąc więcej słów, Luis wziął mnie na rękę. Zostawiliśmy za sobą szopę i w słabnącym deszczu ruszyliśmy w stronę Szkarłatnego Kamienia, tak samo jak nasza czwórka dziesięć lat temu. Ale z tamtej czwórki Willa i Travis nie żyli.

Wtulona w objęcia Luisa zamknęłam oczy, próbując jednocześnie zamknąć swój umysł przed koszmarami tej nocy. Trwoga się skończyła, Tibbie i ja byliśmy bezpieczni.

Jed wpuścił nas do domu, potem przyszła Delia. Omal nie zasnęłam na stojąco, gdy Delia pomagała mi oraz Tibbie przebrać się w suche koszule nocne. Mała przyszła do mnie do łóżka, zaraz potem wskoczył do nas Diabło. Usłyszałam jeszcze, jak mruczy, i zapadłam w sen.

Złe sny mnie nie dręczyły, ale o świcie zbudziłam się z wściekłym bólem głowy i paskudnym smakiem w ustach... Bez wątpienia miałam kaca po narkotyku. Tibbie wstała, przyniosła mi aspirynę i szklanę wody, po czym z powrotem wpełzła do łóżka.

- Mamo - spytała - czy głowa nie boli cię za bardzo, żeby porozmawiać?

- W każdym razie na pewno mogę posłuchać ciebie - odpowiedziałam.

Usiadła na łóżku, sięgnęła do szufladki w nocnej szafce i coś z niej wyciągnęła, chowając to w zamkniętej dłoni.

- To nie była prawdziwa kradzież - powiedziała - bo on zabrał coś, co do niego nie należało.

- Musisz zacząć od początku - powiedziałam nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Nie bardzo wiem, gdzie jest początek. To wszystko zaczęło się chyba jeszcze przed moim urodzeniem, ale wtedy jeszcze nie żyłam, więc nie jestem pewna. W każdym razie opowiadałaś mi, że podczas ataku powtarzam: „Gdzie to jest?”, a przytomniejąc mówię: „Nie mogę tego znaleźć”. Kiedy zobaczyłam u ciebie wczoraj wieczorem kolczyki z kocimi oczkami, coś szepnęło mi w głowie: „Musisz znaleźć coś podobnego do tych kolczyków”. Tylko zapomniałam o tym szepcie tak szybko, że nie zdążyłam ci wtedy powiedzieć.

W domu pana Yorcka, kiedy zaczęłam bawić się grą, znowu usłyszałam ten szept: „Coś podobnego do kolczyków”. Tym razem zapamiętałam. Nie mogłam cię spytać, co robić, bo on z tobą rozmawiał, a tymczasem głos ciągle mi szeptał: „No, idź”. Wreszcie zrozumiałam, że muszę poszukać. Poszłam więc niby do łazienki.

Wytrzeszczyłam na nią oczy nie wiedząc, co powiedzieć.

- Znalazłam to, co miałam znaleźć, i zabrałam - ciągnęła Tibbie. - Ale kiedy wróciłam do pokoju, leżałaś na tym krześle tak dziwnie, jakbyś spała, chociaż wiedziałam, że to niemożliwe. Pan York próbował mnie zmusić do wypicia szklanki ponczu owocowego, ale mu się nie udało, bo nie znoszę ponczu, więc wszystko rozlało się na podłogę. Wtedy skłamał mi, że odwiezie nas do domu. Zamiast tego wjechał furgonem pod Mount Sangre i obwiązał mnie liną, tak że musiałam iść za nim wtedy, kiedy on niósł cię na górę. Byłam naprawdę przerażona.

Przygryzłam wargę, pewna, że to straszne przeżycie pozostawi na zawsze swój ślad.

- Ucieszyłam się, kiedy jęknęłaś - mówiła dalej Tibbie - bo wtedy wiedziałam, że nie umarłaś. Chciałam ci powiedzieć, co zabrałam z domu pana Yorka, ale nie miałam okazji. Więc teraz proszę.

- Otworzyła dłoń.

Nie wierzyłam własnym oczom. Leżał tam pierścionek z kocim oczkiem, który kiedyś podarowałam Willi.

- Właśnie ten pierścionek miałam znaleźć - powiedziała. - I w końcu go znalazłam, więc nie będę już miała ataków. Czy to była kradzież, mamo?

- Nie, Tibbie, nie ukradłaś tego pierścionka. - Zdziwiło mnie, z jakim spokojem to mówię, bo w głowie czułam absolutny zamęt. Uznawszy, że Tibbie musi poznać część prawdy, wyjaśniłam: - Ten pierścionek nigdy nie należał do Travisa. On go zabrał... ukradł... twojej prawdziwej mamie. Tak naprawdę ten pierścionek jest twój.

Po długiej chwili milczenia Tibbie uśmiechnęła się w zadumie.

- Może to ona powiedziała mi, gdzie go znaleźć.

- Chciałabym w to wierzyć - powiedziałam przez łzy. I może, ale tylko może, Tibbie nie będzie już miała więcej ataków.

- Dziadek Biegający Lis mówi, że to jest mój amulet, który chronił nas obie, zanim nadszedł *Kuksu*. - Wsunęła sobie pierścionek na palec wskazujący, potem na kciuk, ale i tak był za duży.

- Chyba będę musiała zawiesić go na łańcuszku i nosić na szyi, póki nie urosnę.

- Dobry pomysł.

- Jeśli przeszedł ci trochę ból głowy, to może wstaniemy? Czuję

zapach kawy, więc na pewno w kuchni jest Delia.

Na zegarze jeszcze nie było siódmej, ale uznałam, że nawet jeśli wstanę, to i tak nie poczuję się gorzej niż w łóżku. Zresztą bardzo potrzebowałam paru filiżanek kawy, żebym była zdolna odpowiedzieć na jakiegokolwiek pytanie Tibbie o Trávisa i Mount Sangre.

Przypomniawszy sobie o obecności Jeda, włożyłam szlafrok i ranne pantofle, po czym kilka razy przesunęłam szczotką po włosach i dopiero wtedy zeszliśmy kuchennymi schodami na dół.

- Pan Lis jest w patio - powiedziała mi Delia. - Podałam mu tam śniadanie. Wygląda na to, że woli być na dworze niż w domu.

- Biegący Lis jest tutaj?

- Zeszłej nocy byłeś w marnym stanie - powiedziała Delia. - Dlatego nie wiesz, że i on, i doktor Redhawk spali w gościnnym pokoju. Doktor musiał dostać w nocy wezwanie, bo kiedy wstałam o szóstej, już go nie było. A pan Lis już siedział w patio.

- Zjedźmy w patio - zaproponowała Tibbie. Wkrótce wyszliśmy przez ogrodowe drzwi, niosąc tace do stolika z parasolką. Biegący Lis, w dżinsach i niebieskiej koszuli, siedział w kucki na słońcu. Obok niego leżał mały plecak.

- Wcześniej wstałeś, dziadku - powiedziałam.

- Ptaki i ja wstajemy powitać słońce, kiedy nadchodzi od wschodu wraz ze światłem nowego dnia.

- Chodź zjeść z nami - zaprosiła go Tibbie. - Jest dodatkowa filiżanka kawy i mnóstwo cytrynowych bułeczek.

- Dziękuję. - Biegący Lis wstał i przyłączył się do nas. - Nieczęsto mam tyle szczęścia, żeby zjeść drugie śniadanie.

W miłym ciepłym poranku byłabym nawet skłonna uwierzyć, że wszystkie okropności poprzedniej nocy zdarzyły się po prostu w złym śnie, gdyby nie przypominało mi o nich łupanie w głowie.

- Czy pan York na pewno nie żyje? - spytała Tibbie, atakując od razu sedno sprawy, podczas gdy ja zastanawiałam się, jak zacząć.

Biegący Lis skinął głową.

- Luis zajął się zniesieniem jego ciała z Mount Sangre. - Pochwycił mój wzrok mądrymi, bystrymi oczami i dodał: - Travis York był sam na wzgórzu i zginął od uderzenia pioruna podczas burzy, która rozszałała

się ostatniej nocy.

- Ale... - zaczęła Tibbie.

- Luis próbuje oszczędzić nam przesłuchań na temat ostatniej nocy - powiedziałam stanowczo. - Czy naprawdę chcesz wyjaśnić, co tam się stało? Wyjaśnić to obcym?

Pokręciła głową.

- Travis York rzeczywiście zginął od uderzenia pioruna powiedział Biegnący Lis. - Po co mieszać w to innych ludzi?

- I tak pewnie nikt nie uwierzyłby w *Kuksu* - powiedziała Tibbie. - Zobaczyła Jeda opryskującego róże i pospieszenie ześliznęła się z krzesła. - Przepraszam, muszę porozmawiać z Jedem o Mistym.

- Luis zamienił wczoraj kilka słów z panią Koski i Jedem O'Neillem - powiedział Biegnący Lis po jej odejściu. - Zgodzili się nie wspominać nikomu o tobie i Tibbie.

- Dziękuję.

- To zrobił Luis, nie ja. Dziś wstał wcześnie, bo dostał wezwanie do szpitala, ale ja czekałem, aż się zbudzisz, bo muszę ci powiedzieć, że jeszcze nie wszystko dobrze się skończyło. Mamy przed sobą wiele pracy. Tibbie jest dzieckiem, więc nie chciałem przy niej o tym wspominać, ale zło wciąż tkwi tam, gdzie było. Nadal czai się w skale na Mount Sangre.

Zacisnęłam dłonie na filizance kawy, nie chcąc tego słuchać.

Pragnęłam raz na zawsze pozbyć się strachu.

- Ostatniej nocy miałem sen - ciągnął Biegnący Lis. - W tym śnie lis, mój zwierzęcy duch opiekuńczy, przyszedł do mnie i pokazał, co trzeba zrobić. Ziemia sama będzie nas chronić. Musimy pokryć skałę wieloma warstwami ziemi. Ponieważ zgodnie z prawami tego kraju to ty masz prawa do Mount Sangre, a nie moje plemię, więc decyzja należy do ciebie.

- Chcę pomóc, ale czy to coś da?

- Tak. - Stary szaman mówił cicho, bez nacisku, ale z głębokim przekonaniem w głosie. Kilka tygodni temu nie uwierzyłabym mu. Teraz zmądrzałam.

- Ile ziemi potrzeba? - spytałam.

- Dużo, żeby głęboko zasypać skałę. Wiedziałałam, że sprowadzenie

sprzętu, który wwiózłby na szczyt tyle ziemi i tam ją zwałił, będzie bardzo kosztowne, ale mało mnie to obchodziło. Dzięki Biegnącemu Lisowi żyła Tibbie i żyłam ja. Jeśli więc twierdził, że przykrycie skały ochroni mnie i innych ludzi przed złem uwięzionym w środku, z chęcią wydam na ten cel ostatniego centa.

- Załatwię to jak najszybciej.

- Dobrze. - Dopił kawę i wstał, najwyraźniej szykując się do odejścia.

- Dziadku, poczekaj - krzyknęłam. - A co z... z *Kuksu*?

Biegnący Lis wzruszył ramionami.

- Luis go wezwał, *Kuksu* przybył.

Ze zdziwienia szeroko otworzyłam oczy.

~ Luis? Myślałam, że to ty wezwałeś *Kuksu*.

- Jestem na to za stary. *Kuksu* potrzebuje zręczności młodszego mężczyzny. Ja tylko pomogłem bębnieniem.

Usiłowałam zinterpretować to> co powiedział, i w końcu zapytałam:

- Czy mówisz mi, że ta postać z piórami, która wskoczyła na skałę, to był Luis?

- *Kuksu* wyzwał zło. *Kuksu* odniósł zwycięstwo.

- Ale gdzie wobec tego był Luis? Nie widziałam go.

- Luis był tam, na skałę, a jednocześnie go tam nie było.

Przycisnęłam obie dłonie do obolałej głowy.

- Nie rozumiem.

- Trudno ci to wyjaśnić, bo nie jesteś potomkiem Miwoków. Mimo wszystko postaram się, ale wiedz, że usłyszysz tylko część prawdy. Luis-człowiek nie mógł opanować Trávisa Yorka, bo Travis zaczerpnął w sobie trochę złej mocy. Był kimś więcej niż człowiekiem. Dlatego Luis wezwał *Kuksu*. Stał się *Kuksu* na czas potrzebny do pokonania zła w Trávisie. *Kuksu* sprowadził duchy piorunów, błyskawica uderzyła w skałę i tych, którzy na niej walczyli. *Kuksu* przetrwał. Kiedy nie był już dłużej potrzebny, zniknął. Luis stał się znowu sobą.

- Chcesz powiedzieć, że Luis był *Kuksu*.

- Ostrzegalem cię, że to trudne. Bardziej zbliżyłabyś się do prawdy mówiąc, że *Kuksu* był Luisem, ale to też nie jest całkiem tak. Musisz

przyjąć to, co widziałaś, i nie próbować zrozumieć.

Pomyślałam o olbrzymiej pierzastej postaci, która tańczyła na skale rozkładając gigantyczne skrzydła, i zadrżałam.

- Przyjmij Luisa - powiedział Biegący Lis. - Jeśli potrafisz, przyjmij go takim, jakim jest. Bo on ciebie pragnie.

Patrzyłam, jak podnosi z ziemi mały plecak i odchodzi w stronę rozświetlonej przestrzeni energicznym krokiem o wiele młodszego człowieka. Przyjąć Luisa? On już stał się częścią mnie i miał nią pozostać na zawsze. Nie znaczyło to jednak, że mamy przed sobą wspólną przyszłość. Tibbie i ja nie mogliśmy na razie wyjechać z Naranady, tak jak zaplanowałam. Czy tego chciałam, czy nie, musiałam wziąć udział w pogrzebie Trávisa. I załatwić przykrycie skały wieloma metrami sześciennymi ziemi.

Wyszłam na podwórze i zapatrzyłam się na Mount Sangre, nadal czując niepokój i lęk, jaki to wzgórze wywoływało we mnie, odkąd wzięłam udział w pierwszym straszliwym obrzędzie na jego szczycie. Kiedy spełnię wszystkie swoje powinności, wyjadę.

W tydzień później znów stałam na podwórzu, tym razem z Tibbie, i obie przyglądałyśmy się, jak ostatnia koparka zjeżdża po stromym zboczu Mount Sangre. Wierzchołek został zasypany tak grubą warstwą ziemi, że w trawie między krzewami, które kazałam posadzić, żeby zapuściwszy korzenie chroniły ziemię przed rozwianiem i rozmyciem, Jed postanowił dodać sadzonki drzew, małe dąbki.

- Już koniec, prawda, mamó? - spytała Tibbie. Sądziłam, że ma na myśli koparkę.

- Niezupełnie, ale prawie. Jeszcze musi zjechać na dół tak, żeby się nie przewrócić.

Zmarszczyła czoło.

- Chodziło mi o przykre uczucie. Od tamtej nocy nie lubiłam patrzeć na Mount Sangre. Ale już mi przeszło. To jest teraz zupełnie inne wzgórze.

Czy miała rację? Podniosłam wzrok, oczekując znajomego przypływu lęku. Nic takiego się jednak nie stało.

- Dziadek Biegący Lis miał rację - odezwała się Tibbie. - Zło zostało pochowane, tak samo jak pan York.

Próbowałam całkiem wyrzucić Trávisa z myśli, nawet podczas pogrzebu.

- Myślę, że część tej złej mocy weszła w pana Yorka - ciągnęła Tibbie - i dlatego robił takie straszne rzeczy.

Niewykluczone, że tak było. Sam Travis oświadczył, że dziesięć lat temu wchłonął w siebie część złej mocy. Ja wołałam raczej wierzyć, że coś z zewnątrz pchnęło go do takich potwornych czynów, niż sądzić, że planując zabicie własnej córki i zrobienie ze mnie niewolnicy, był sobą.

Przynajmniej znalazł w końcu pokój w śmierci.

Dziwne, lecz albo dlatego, że wreszcie również w moich myślach Travis odszedł na spoczynek, albo dlatego, że zła moc z Mount Sangre była pochowana za głęboko, by dawać znać o swym istnieniu, zrobiło mi się lżej na sercu, jakbym wyszła z mroku.

Uśmiechnęłam się do Tibbie.

- Czy mówiłam ci kiedyś, że bystre z ciebie dziecko?

Uśmiechnęła się szeroko, ale prawie natychmiast zmarszczyła brwi.

- No, nie! - wykrzyknęła. - Jak mogłam zapomnieć? Luis mi tego nie wybaczy!

Zanim zdążyłam zapytać, co się stało, popędziła do domu. Ruszyłam za nią, nieco wolniej. Będąc przy wejściu zobaczyłam, że wypada z biblioteki i trzyma coś w dłoni.

- Schowałam to w skrytce - powiedziała. - Uznałam, że tam nie zajrzysz. Ale przez to zapomniałam dać ci to wtedy, kiedy powinnam. - Podała mi małą, cieniutką paczuszkę, owiniętą w niebieską bibułkę. - Twój urodzinowy prezent od Luisa.

Przypomniałam sobie teraz, że wspominała o nim, ale przez tę koszmarną urodzinową noc prezent wyleciał mi z pamięci.

- Nie mam do ciebie żalu - powiedziałam. Przewróciła oczami.

- Ale obiecałam Luisowi.

Zdjęłam bibułkę i zobaczyłam książeczkę bankową. Zaskoczona zmarszczyłam brwi i otworzyłam ją. Była wystawiona na moje nazwisko, z adnotacją, że jestem powiernikiem majątku pani Tabithy Faith Rolland.

Kolejne zapisy były potwierdzeniami wpłat na rachunek, od niewielkich dziewięć lat temu, po pokaźne w ostatnich czasach. Długo



przypatrywałam się tym liczbom, usiłując odgadnąć, o co w tym chodzi.

- Luis powiedział, że kiedy otworzysz ten prezent, mam ci przekazać, że spłacił dług - powiedziała Tibbie.

I wtedy zrozumiałam. Luis wiedział, że nigdy nie przyjąłabym od niego zwrotu pieniędzy, które dostał od babki, więc założył rachunek dla Tibbie. Znowu spojrzałam na drobne początkowe sumy i stwierdziłam, że musiał na nie zapracować jeszcze w czasie, gdy się uczył. I wiedziałam też, że nie dręczył go finansowy wymiar długu, bo przecież te pieniądze nie były pożyczką.

Pojęłam teraz, że od chwili, gdy podpisał tamtą umowę, był zdecydowany doprowadzić do anulowania jej w jedyny sposób, jaki mógł wymyślić: przez zwrot całej sumy. Nie mnie, lecz córce Willi. Nikt nie mógł przywrócić Willi życia, ale ja adoptowałam jej dziecko, a on mógł zapewnić mu do pewnego stopnia zabezpieczenie finansowe.

Ze łzami w oczach ukryłam książeczkę w dłoniach i zatopiłam się w marzeniu. Wyobraziłam sobie Luisa, który odmawia sobie wszystkiego, żeby wpłacić pieniądze na książeczkę. Nie wiem, jak długo tak stałam, zanim głos Tibbie nie przywołał mnie do rzeczywistości.

- Proszę powiedzieć po prostu, że mojej mamie bardzo podobał się ten prezent - mówiła moja córka do słuchawki. Zorientowałam się, że rozmawia z rejestratorką Luisa.

Widziałam go przelotnie na pogrzebie Trávisa, ale od tej pory ani nie zadzwonił, ani nie przyszedł. Czy teraz to robi?

Dzień mijał powoli. W końcu zjadłyśmy kolację. Tibbie poszła spać, a ja wciąż nie miałam wieści od Luisa.

Zaniepokojona wyszłam z domu i drogą w księżycowej poświacie poszłam do świątyni dumania, nie bojąc się już ani nocy, ani stałej obecności Mount Sangre. Byłam bezpieczna, ale także samotna.

Jak wszystkie lipcowe noce w Naranadzie i ta była ciepła, ożywiana lekkimi powiewami wiatru i pachnąca jaśminem. Robaczki świętojańskie migotały w zaroślach jak gwiazdy, które spadły na ziemię. Usiadłam na ławce i zapatrzyłam się w księżyc, stojący wysoko i bliski pełni. Uśmiechnęłam się trochę smutno, bo przypomniało mi się marzenie siedemnastolatki o tym, żeby być najpiękniejszą, najbardziej pożądaną kobietą na świecie. Teraz byłam mądrzejsza.

Luis jednak dokładnie odpowiadał wizerunkowi mojego wymarzonego kochanka, a nawet był czymś więcej. Skąd, mając siedemnaście lat, mogłam przeczuć, ile żarliwej namiętności znajdę w jego objęciach?

- Wiedziałem, że będziesz tu na mnie czekała - odezwał się Luis ze stopni świątyni dumania.

Tym razem nie zaprzeczyłam. Wstałam i podeszłam do balustradki, a on stanął obok mnie.

- Tibbie zostawiła mi wiadomość, że prezent ci się spodobał - powiedział.

- Przypomniała sobie o nim dopiero dzisiaj, ale owszem, rozumiem jego znaczenie. - Obróciłam się do niego. - Przepraszam, że nie spróbowałam zrozumieć wcześniej.

Światło księżyca odbijało się w jego lśniących, ciemnych oczach.

- Pragnąłem cię od samego początku - powiedział cicho. - I pragnąłem cię na zawsze. Nigdy nie zmieniłem zdania. - Wziął mnie za rękę i przyłożył je do swego serca. - Kocham cię.

- Och, Luis, tak się bałam ciebie pokochać, ale ja też cię kocham, nic na to nie poradzę.

- Wobec tego zostań w Naranadzie i pobierzmy się.

Otworzyłam usta chcąc mu przypomnieć, że nie mogę, ale nagle uświadomiłam sobie, że wszystkie powody, które zmuszały mnie do wyjazdu, zniknęły. Duchy odeszły ze Szkarłatnego Kamienia, Tibbie i ja byliśmy tam bezpieczne. Z Luisem, a w przyszłości również z Soso, mogliśmy zamienić tę starą budowlę w prawdziwy dom. Przy pomocy Luisa mogłabym też z czasem przywrócić do dawnego stanu sady i czerpać z nich zyski Rollandów.

- Tak - wyszeptałam. - O, tak.

Otoczył mnie ramionami, ale gdy jego wargi były o milimetry od moich, znieruchomiał.

- Tibbie będzie zachwycona. Tej nocy, kiedy nawaliło światło, powiedziała mi, że ty i ja powinniśmy wziąć ślub.

- Jak ją znam, będzie przekonana, że to ona wpadła na *ten* pomysł.

Przy tych słowach coś spadło między nich i musnęło mi wargi. Odchyliłam się raptownie do tyłu i chwyciłam to coś.

- Pióro! - zawołałam, nagle pełna lęku.

Luis wziął je ode mnie, żeby mu się przyjrzeć, i uśmiechnął się.

- Nie ma się czym martwić, to jest pióro myszołowa. Najlepszy omen, o jakim moglibyśmy marzyć.

Zastanawiałam się, czy myszołów jest dla niego zwierzęcym duchem opiekuńczym, tak jak lis dla jego dziadka, ale wtedy przyciągnął mnie do siebie i pocałował, i wszystko inne straciło znaczenie. Kochałam tego mężczyznę, który trzymał mnie w ramionach, i przyjmowałam go wraz z jego pochodzeniem, wiarą i tym wszystkim, co jeszcze mogło mnie zadziwić w przyszłości. Kochałam Luisa i wiedziałam, że będę go kochać zawsze.